

# praca

do użytku wewnętrznego

rok 3

nr 4 (14)

1988

## JAN STRZELECKI

Nie zamazywał swojej tożsamości — lewicowej, socjalistycznej, markowskiej. Nie czynił tak, gdyż od początku współtworzył w obrębie tej tradycji nurt humanistyczny, dialogowy, niedeterminatywny, otwarty na spotkania z "innymi".

Wspominając ostatnie lata II Rzeczypospolitej pisał: "Dla nas, lewicowych studentów, dzielących chleb lawkowego getta z kolegami — Żydami, mierzących każdego dnia przybór rewolucji nihilizmu, chętnie żegnającej się krzyżem, lektura 'Esprit' niosła jakąś obietnicę możliwości braterstwa z tymi, którzy by w Polsce prowadzili dzieło podobne do tego, które we Francji rozpoczynał zespół skupiony wokół osoby Mouniera". Ową szansę braterstwa realizował Jan Strzelecki w czasie okupacji, kiedy wspólnym wrogiem totalitaryzmu okazały się "połączone dziedzictwa tradycji chrześcijańskiej koncepcji człowieka i europejskiego humanizmu". To wówczas po raz pierwszy z taką oczywistością ujawniło się, że obie te tradycje — cokolwiek by ich nie dzieliło — "stawiały się źródłem zasadniczego sprzeciwu wobec uroszczeń władzy, wyzwolonej z wszelkich ograniczeń". To wtedy także Strzelecki, człowiek lewicy doświadczył religii jako źródła "sil, pomocnych człowiekowi w jego walce ze złem, w sądzie, że taka władza jest rzeczą nieprawą, niszczącą godność człowieka". Pisał: "Ukazywała się na tym tle jej moc etyczna, stanowiąca wyzwanie wobec wszelkiego instrumentalizmu władzy, jakikolwiek byłby jej projekt i ideologia." Był wierny temu doświadczeniu — także i po wielkiej wojnie, kiedy wraz z innymi dostrzegał szansę zbudowania w Polsce nowego, lepszego ustroju. Wierząc w to, od początku ostrzegał przed instrumentalizacją człowieka; przed budowaniem jednostronnych zależności między aparatem partii i władzy a społeczeństwem; przed teatralizacją życia publicznego. Od początku w sporze ze stalinowską dogmatyką i praktyką "realnego socjalizmu". Milczący w latach pięćdziesiątych, jeden z animatorów polskiego października 1956 roku, od tamtego czasu zawsze towarzyszący naszym przełomom, aż po ten najważniejszy 1980 roku, kiedy popieścił do stoczni, by zostać ekspertem wspomagającym radą strajk. W wyniku grudniowego zamachu internowany, po zwolnieniu od razu włączył się w jedynie wówczas możliwy "podziemny" nurt artykulowania sądów i praktykowania wolności. Wtedy też nastąpiło Jego spotkanie ze środowiskiem "WOLP". Nie pierwsze i nie przypadkowe. Już wcześniej śladami i komentowaliśmy Jego książki i teksty, w których stale podkreślał wagę osoby i wspólnoty; w których bronił człowieka przed mechanizmami niewoli i nienawiści; w których wreszcie analizował wadliwość samych struktur społeczno-organizacyjnych realnego socjalizmu. Spotkanie to potwierdził radami i tekstami publikowanymi w "Ideach", "Naprzódzie", "Pracy", wreszcie kolejną książką złożoną w wydawnictwie GP "WOLA", zatytułowaną — jakże znamienne dla Niego — "KONTYNUACJE 3". Morderczą awierżoność małych, szarych ludzi, których zawsze bronił — przed sytuacjami, warunkami, przed nimi samymi, nie pozwoliła Mu doczekać tej książki, w której SPOTKANIE między katolicyzmem i humanizmem doprowadził do końca, tworząc zarys nowego fundamentu intelektualnego.

Kiedy w środowisku "WOLP" rodził się pomysł utworzenia wielkiego uniwersyteckiego Klubu Dyskusyjnego, w którym mogłoby się spotykać ludźmi różnych środowisk, złączeni wspólną obywatelską troską o dobro kraju, naturalna wydała nam się chęć nadania tej instytucji Jego imienia. Jemu bowiem tak bliska była troska, by mówić o polityce jako wspólnej sprawie wolnych obywateli zaangażowanych na rzecz idei, która ożywiła ruch "Solidarności" — idei społeczeństwa obywatelskiego.

Redakcja

"Wiadomo jest wszystkim na świecie, że praca odnosi się swoją dzielnością i obfitością do miary wolności: gdzie więcej wolności, tam i pracy więcej, i o ile wolniejszym społeczeństwo, o tyle dzielniejszą jest i praca."

C.K. Norwid

w numerze m.in.:

JAKUB KARPIŃSKI  
IRENEUSZ KRZEMIŃSKI  
Bp WŁADYSEAW MIZIOŁEK  
MARCIN OBLICKI  
WŁODZIMIERZ PAŃKÓW  
TADEUSZ SOBOLEWSKI  
MACIEJ ZAŁEWSKI

a także rozmowy z:

EGONEM KIEBSCHEM  
i JOHANNĄ MAIJ-WEGGEN  
oraz  
MARCINEM FRYBESSEM

## RYSZARD REIFF

BELWEDER

PO PÓLNOCY

Była sobota, 12 grudnia, dochodziła północ. Przed dom, w którym mieszkam, szechła czarza "Wolga". Wychadło z niej dwóch oficerów: podpułkownik i major. Zadawali do drzwi, a gdy im otworzono, poprosili o rozmowę ze mną. Chcieli, by wszedł do pokoju, ale odmówili, odwołując się, że mają tylko poiznać mi piśmo od przewodniczącego Rady Państwa, prof. Henryka Jabłońskiego.

Nie miałem przy sobie okularów, zamieszkałem więc wyjść z owym piśmem do gabletu i tam je przeczytać, ale sawcilli jednak na to, sprzejmie informując, że piśmo nie moge mi wydać. Przyniosłem zatem okulary. Piśmo siewierało tylko jedno zdanie: siewiedomienie o nadszycyrajnym posiedzeniu Rady Państwa 12 grudnia o godz. 1.00.

Spojrzałem na zegarek. Dopiero minęła północ, do godziny pierwszej wiele jeszcze brakowało. Byłem w piśmie i sześcioro. Powiedzialem oficerom, że mogą wracać, a ja ubiorę się, wyprowadzę samochód i za pół godziny będę w Belwederze. Odparli, że mógłbym mieć kłopoty z Belwederem, więc poszedłem, siewidząc, male do Belwederu, a po sadowiesciu posiedzeniu odwołuję mnie do domu.

Ubierając się, próbowałem odgadnąć, co to nadszycyrajne posiedzenie Rady Państwa może oznaczad. I czy listule siewidząc się w Belwederze, a nie gdzie indziej.

cd na s. 3

# SPORY. POLEMIKI. SPORY...

## MÓJ INTERES

Jeden z lewicowych dogmatów mówi o "ogólnospołecznym interesie" i jego najlepszej wyrazicielce — komunistycznej partii. Kierującą nie tym "interesem" partia przewodzi, rządzi, kontroluje nas i lupie na wszelkie możliwe sposoby: ekonomicznie, kulturowo i od czasu do czasu policyjnie. To wszystko wiemy. Wiemy także, że od czasu do czasu w dziejach narodu pojawia się coś takiego jak silny, wspólny interes — np. obrona narodowej niezawisłości. Narodowa prawica głosiła, że ów interes narodowy powinien być starym, nieświeżym codziennym wektorem życia jednostek. Lewica niby odmienne (chodzi jej wreszcie o naród, lecz o społeczeństwo jako całość), w rzeczy samej jednak podobnie, głosi interes jednostki, grup lokalnych i innych (czyli w nowomowie tzw. interesy partykularne) powinny być podporządkowane interesowi ogólnospołecznemu. Słabo jestem kształcony w lewicowej dogmatyce — najlepiej rozumem to, że kto ma więcej, ma oddać temu, który ma mniej — dlatego z konieczności sięgam do ekspertów. I pytam, w czym ogólnie lepsze jest od partykularnego? I czy owo "ogólne" w ogóle istnieje poza sytuacjami ekstremalnymi? Lub inaczej — czy aby ogólnie to nie jest suma, często sprzecznych, interesów partykularnych? I pytanie ostatnie — czy istnieje jakkolwiek grupa społeczna (poza aniołami oczyszcziciele), która może wyrażać i realizować interes ogólny w imieniu partykularnego ogółu? Komuniści mówią, że to oni, oni — aniołowie tacy właśnie są. A mój ekspert na to ze smutkiem, bo on komuniści, i to jaki (o czym za chwilę), stwierdza:

*tak długo, jak długo istnieć będą partykularne interesy tego czy innego reżimu, i jak długo nie znajdziemy mechanizmu, który by potrafił stanąć nad tym wszystkim, tak długo będą występowały różnego rodzaju wypaczenia.*

Wszystko się w to zdanie. Mowa w nim wprowadza nie o ludziach, grupach interesu, ale o komunistycznych reżimach, które zarządzają naszą rzeczywistością. Jednak pojawia się tu widmo najważniejszej sprawy — interesu partykularnego. Zaraz na samym skrytyce komunistycznej władzy? Tak. Oczyszcziciele. Gdyż "moim" ekspertem jest sam Edward Gierek składający zeznania przed Komisją Grabowskiego. I to on sam, wreszcie w sekretarz siódmej dekady, ogłasza albo — albo. Albo ludzie będą aniołami (posługując się interesami osobistych i grupowych, by być jednym — całym strukturalnym), albo z komunizmu nic! Oczyszcziciele nici, i tylko należy się cieszyć, iż światem od tego dotarła tam, gdzie trzeba. Na same komunistyczne i partykularne góry.

Marcin Rewers

## PRZEMYSŁ

Od 1987 r. wychodzi tu nieregularny tygodnik diecezjalny "ROLA KATOLIKA". Pismo ukazuje się poza zasięgiem cenzury, chociaż opatrzone jest formułą — "wydane za zgodą władz kościelnych", zaś adres redakcji to Kuria Biskupia w Przemyślu, pl. Katedralny 20a. W 16-kartkowym numerze formatu "Pracy" informacje diecezjalne, teksty liturgiczne oraz publicystyka i felietony. Pismo jest kolejnym krokiem na drodze uzyskania przez Kurie oraz społeczność diecezji katolickiego tygodnika. Wołos oporu władz oficjalnych starym dobrym zwyczajem przemysłanie — jak niegdyś tajnie budowali swoje świątynie — tak teraz rozpoczęli wydawanie własnego pisma. Sprawdzona droga oczyszczenia od totalitarnego państwa obywatelskich praw. Sprawdzona podwójnie — także jako praktyka silnego współdziałania miejscowej hierarchii ze społeczeństwem diecezji.

## RADOM

W czerwcu tego roku ukazał się pierwszy numer biuletynu środowisk ludzi pracy w Radomiu — "PRACA NAD PRACĄ". Opatrzone motto: "Laborem exercens" — "Nie całkiem dla pracy, nie praca dla człowieka" — jest kolejnym przykładem rozwoju działania środowisk pracowniczych w Radomiu. W tekście od Redakcji czytamy: "Duszpasterstwo Ludzi Pracy pragnie w tych trudnych warunkach dostarczyć człowiekowi pracy, choćby ratować jego godność i prawa osobowe. Pragnie uszyć posnać sło, a także pokazywać drogę wyzwolenia od różnych form wewnątrzprawnego zniewolenia. Obrona naturalnej ludzkiej solidarności, ukazywanie środków i historyi dla jest ważnym elementem przeciwdziałania znu. (...) Stanąć posbierania ludzi wartościowych mają parafie i duszpasterstwa parafialne. W fakcie, że lu'skie, który wiedza, czego chcą, mają gdzie się spotkać, tkwi źródło ich społecznego powodzenia." Posa tym w numerze dokumentacja odmowy rejestracji Komitetu Zakłóscielskiego Towarzystwa Obrony Nienarodzonych w Radomiu oraz esej Aleksandra Gelli "Polka — społeczeństwem zagrożonym". Redakcji życzyć należy jak najwięcej dobrych numerów, a DLP w Radomiu, aby rozwijało najważniejsze problemy własnego środowiska. Prowadzenia!

A.U.

## Z ŻYCIA...

W dniu 7 X 1982 r. z okazji 88 rocznicy utworzenia MO i SB w Komisarzacie rejonowym MO w Oleśnie otwarta została Izba Pamięci. I cóż w niej znajdujemy? Dwa zbiory eksponatów:

— "W akrominym pomieszczeniu znajdują się zakonserwowane platoety, karabiny z obręciymi lufami, broń automatyczna, bagnety, noże. Narzędzia te i broń służyły reaktywnemu podziemiu do mordowania członków partii, robotników, funkcjonariuszy MO i SB oraz bezbronnej ludności".

— "Jest tu również gablota z zabezpieczonymi narsędziami terrorystycznymi bojówek "Solidarność". Obok helmu typu amerykańskiego widać lańcuchy z umocowanymi na nich ciężarkami, pałki gumowe, zastrzone prety, kable, oraz znaczki "Solidarność".

Można się śmiać. Można trwożyć — do owej "Izby" prowadzi się systematycznie uczniów. Można pytać — jaka jest wartość "ekspozycji" z lat 1945-47 jeżeli "dowody" "solidarnościowego" terrorystycznego są takie jak w cytowanym zdaniu! Można też pytać — jaki jest udział MO i SB w tworzeniu oficjalnej historii PRL? Preparują sesznanie, dowody, świadków. potem w oparciu o ten materiał partyjny historycy napiszą kolejny rozdział historii PRL. My wprowadzić wiemy swoje, ale co będą widzieli uczniowie w Oleśnie za pięć lat?

Można jeszcze jedno — wyobrazić sobie scenariusz scenacyjnego filmu. Oto młody dziennikarz prasy katolickiej jedzie do Oleśna by opisać terror "Solidarność". Na miejscu okazuje się, że helm należał do malolita — zbieracza militarków, zastrzone prety są niewładowego pochodzenia, podobnie jak kable, których wiele leży na pobliskiej budowie młocynego odrodka z drowia. Gumowe pałki mają niestarańnie zatarte numery służbowe miejscowej drużyny ORMO. Lańcuch z ciężarkami to własność chuligana, zaś znaczki należały do siedemdziesięciu procent mieszkańców Oleśna. Artykuł zdejmując cenzura, ale wobec niepodważalnych dowodów redakcja odwołuje się do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Robi się skandal i na polecenie z góry "Solidarność" gablota znika z Izby. W Oleśnie dominującym tematem kpin staje się następcada. politycznych miejscowego komisarza, por. Henryk Kierst. Opuszcza go łona, on sam ujawnia aktywny od dawna alkoholizm. Zostaje zdegradowany i lądzuje na pobliskiej budowie jako dozorca z nieodłącznym swym towarzyszem, psem kablem.

W tej historii jedno jest tylko prawdziwe, że w krajach demokratycznych czasami tak się zdarza (np. generał Pinochet został przesłany opozycyjnych polityków zastrzeżony do sądu o zniesławienie, jako że użył w stosunku do nich określeń "adrajcy" i "szumowiny"). I jeszcze jedno — że nie ma demokracji bez maniaków małej prawdy, jak wymyślony przez mnie dziennikarz. Prawdy małej, na miarę Oleśna, nie zaś od rasu w skali całej Polski i Europy aż po Ural.

MER

## "PRACA"

Biuletyn Duszpasterstwa Ludzi Pracy Warszawa, Kościół św. Klemensa, ul. Karolkowa 40, tel. 22-00-42, wew. 84. Dział redakcyjny: środa, 16.00 — 17.30.

Redaktor odpowiedzialny: Andrzej Urbański

Zespół: Michał Boni, Grzegorz Godlewski, Przemysław Hniedziwicz, Robert Kalna, Paweł Kostory, Teodor Klinczewicz, Andrzej Kostarscyk, Ireneusz Krzeminski, Jarosław Kulikowski, Tomasz Lis, Marcin Oblicki, Maciej Radziwiłł, Tadeusz Sobolewski, Marzena Sapałkowska, Stanisław Turnau, Piotr Wróbel, Maciej Zalewski, Aleksandra Zawłocka, Tomasz Żywo.

# IRENEUSZ KRZEMIŃSKI

## NOWY KSZTAŁT "SOLIDARNOŚCI"

Uwagi o książce M. Zalewskiego "Przed granicą"

### 1.

"Przed granicą" Macieja Zalewskiego jest książką ważną — ważną dla naszej samoświadomości i refleksji politycznej. Czuje się wysilek autora, aby zrozumieć siebie, swoją drogę życiową, nazwać doświadczenie jak najbardziej osobiste, a zarazem będące naszym wspólnym doświadczeniem.

Maciej Zalewski stara się określić, co się stało z ruchem społecznym "Solidarności" po 13 XII 81; gdzie jesteśmy obecnie i co wypadła czynić w rzeczywistości drugiej połowy lat 80.? Książka niesie diagnozę sytuacji społeczno-politycznej, przede wszystkim — sytuacji środowisk opozycyjnych, nazywając po imieniu wiele spraw, na ogół nie wypowiedzianych wprost lub wręcz ukrywanych.

Autor twierdzi, że dotychczasowa, związkowa linia działania "solidarnościowych" elit politycznych w pełni się wyczerpała. "Solidarność" przestała być masowym ruchem związkowym, a w każdym razie program związkowy nie jest w stanie ożywić szerokiego ruchu społecznych działań. Zwłaszcza koncepcja społecznego nacisku na władze państwowe przez zorganizowany ruch pracowniczy i akcje strajkowe wydaje się nieaktualna. Dlaczego programy i cele polityczne, które związane były ze związkowymi działaniami "Solidarności" utraciły swoją atrakcyjność?

Zalewski zakłada, że rozkład ruchu, wyraźny odpiływ ludzi i zanik motywacji do działania społecznego jest skutkiem braku perspektyw, ten zaś spowodowany jest — między innymi — błędami i niedostatkami myślenia politycznego czy też ideowego dotychczasowych elit społecznych. "Solidarność" — pisze autor — rozpada się na coraz wyraźniejsze nurty o różnych zabarwieniach ideowych. Utrzymanie jedności Związku wymaga zgody na to, że kompromis nie może oznaczać dominacji któregoś ze środowisk politycznych opozycji. Grupy polityczne, środowiska ideowe, które de facto i tak tworzą "Solidarność" podziemną, domagają się dla siebie miejsca na scenie politycznej, nie godząc się z próbami politycznego przechwycenia ruchu "Solidarności". Bagatelizowanie tego problemu, wymuszanie jedności, które jest pokrywką dominacji, może doprowadzić do rozłamu.

Konsekwencją tej diagnozy jest przekonanie, że tylko dążenie do uzyskania "nowego konsensusu" między zróżnicowanymi orientacjami i działaczami politycznymi opozycji solidarnościowej może doprowadzić do uformowania się szerokiego porozumienia ogólnospołecznego i nowej, aktywnej świadomości.

Metoda Zalewskiego polega na zestawieniu ze sobą przeciwstawnych — bądź postrzegających się i postrzeganych jako przeciwstawne — stanowisk i programów. Zestawienie pozwala ukazać zarówno ich pozytywne, jak wzajemne błędy i ograniczenia, które ujawniają się dzięki analitycznej konfrontacji. Analiza pokazuje, czego przedstawiciele poszczególnych stanowisk nie dostrzegają lub przeliczają w programie swoich "konkurentów".

Analiza dotychczasowych stanowisk służy autorowi do sformułowania własnego projektu nowej strategii politycznej czy też perspektywy politycznej działań solidarnościowo-opozycyjnych w obecnej chwili. Ohodzi o program czy, ściślej mówiąc, program działania, które miałyby charakter "realistyczny" — niesłyby nadzieję, mogącą poderwać do wspólnego działania ludzi, którym dotychczasowe dalekosiężne cele działania wydają się "nierealne", niezdolne do ożywienia energii społecznej.

### 2.

Pierwsza teza książki głosi, że dotychczasowym "dalekosiężnym celem politycznym" działań społecznych — zarówno według "niepodległościowców", jak i KOR-u — był moment "konfrontacji": akt presji, nacisku, obalenia monopolistycznej władzy komunistów w państwie jako warunek demokratyzacji życia społecznego. Zalewski najwyraźniej sympatyzuje z szerokim programem społecznym KOR-u, zwraca jednak uwagę na negatywne skutki niedoceniania znaczenia pierwiastka narodowego dla ludzi w Polsce przez działalność "korowskich" i ich kontynuatorów. Z kolei absolutyzacja "pierwiastka narodowego" przez KPN i inne grupy niepodległościowe prowadzi do ożywienia tradycji endecko-oenerowskich, tradycji "Polaka-katolika" z całym kompleksem ksenofobiczno-antysemickim i megalomańskim, skłania do "postawy irredenty", która miałaby przywrócić władzę "narodowi" w państwie, a w konsekwencji dokonać demokratycznego przekształcenia życia społecznego. Tak pojmowany "cel polityczny" stał się — zdaniem Zalewskiego — wyznacznikiem myślenia politycznego solidarnościowej opozycji. Obecnie okazuje się on całkowicie nierealistyczny. Doświadczenie ostatnich lat wykazało, że wyzwołanie społeczeństwa czy choćby ograniczenie władzy komunistów na rzecz uwzględnienia rzeczywistych interesów społeczeństwa nie może dokonać się drogą jednorazowego aktu, drogą konfrontacji zorganizowanej społeczności z państwem. Państwo dysponuje siłą represyjną, której w ten sposób nie można pokonać.

W dniu, który wiedziałem, że nie wydarzyło się nic sensacyjnego. Oczekiwałem w powietrzu. Świadczyła o tym duża świadomość, którą otrzymałem w ciągu dnia. Mianowicie poinformowano mnie, że niektórzy wysoko notowani w partii działacze otrzymali zawiadomienie, by zabrali najbardziej potrzebne im przedmioty osobiste do użycia i zszli się do kilku określonych i chronionych przez wojsko gmachów, gdzie spędzą noc. M.in. Ignacy Krasicki, publicysta Trybuny Ludu i Eszczywistości miał udać się do gmachu MSW przy ul. Rakowieckiej. Zancello się więc na jakiejś nieszczęśliwej wydarzenie, ale niht — przez autorów przygotowywanej operacji — nie sądził, że będzie nim "noc św. Bartłomieja" dla opozycji. Wprowadzić bez długich noży, ale s długim pobytom w mieszkaniach internowania. Z drugiej jednak strony trocha o bezpieczeństwa zasłużonych dla PRL członków partii, przejawiającą się w asproszczeniu ich na noc do budynków, strażonych przez wojsko — nie udało mi się, ale ich tam asproszcono i nie jak długo — mogła snuć się wcale, lecz mogła też nie snuć się nic. Wspólnie s osoba, która przynależała mi tę wiadomość, zastanawiałem się nad tym, czy nie powinienem tej nocy spędzić poza własnym domem, odrzuciłem jednak tę myśl jako absurdalną.

— Trzeba wszystko przemyśleć — powiedziałem. — A przed wydarzeniami nie należy uciekać, bo zawsze człowieka dogoni, ale wyjść im naprzeciw.

Wieczorem wróciłem do domu z Kongresu Kultury Polskiej, który obradował w Teatrze Dramatycznym. Sobota była drugim dnem jego obrad. Miał je kontynuować i zakończyć w niedzielę, na ten też dzień przewidziane było moje wystąpienie. W chwili, gdy umundurowani goście udawali się do drzwi mego mieszkania, przystojny człowiek tezy tej wypowiedział: Telefon już wtedy nie działał, lecz — jak chyba wszyscy posiadacze owego urządzenia — sądziłem, że powodem tego jest jakaś awaria. Treść przekazanego mi pisma sprawiła jednak, że przerywając miśnienie telefonu uszanowałem się poważnie.

Uwierdziłem sobie w tym przekonaniu przejazd s Mokotowa, gdzie mieszkałem, do Belwederu. Ulice były jakby wymieczone s cywilów, pełno uatomiast żołnierzy. Pojazdy wojskowe i milicyjne mknęły jeden za drugim.

W czasie drogi młodszy s oficerów, który usiadł obok kierowcy s mniejsza nawiązał ze mną rozmowę, a to co mówił, sprawiło mi spora satysfakcję. Wiedział kim jestem, znał treść moich referatów i przemówień sejmowych, gdyż interesując się żywo historią II wojny światowej, był pilnym czytelnikiem naszego tygodnika WTK, który problematyce tej poświęcał wiele miejsca. A że WTK drukował również teksty moich ważniejszych wystąpień, miał więc możliwość zapoznania się s nimi. Deklarował się jako zdecydowany zwolennik koncepcji Włkiej Koalicji i s umianem potakiwał, gdy s hotel ja, rewanując mi się, posytywałem mówiłem o działalności wojskowych grup operacyjnych, która ukradła asinowole i naprawiła niejedną krywdę. Gdy później, wiedząc już o tym, co rzeczywiście wydarzyło się tej nocy, wróciłem myśla do owej rozmowy i pouważa ja przeanalizowałem, doszedłem do trafnego chyba wniosku, że kadra wojskowa — poza najwyższym asreblem dowodzenia — była daleka od rozumienia prawdziwej natury politycznej operacji, w której wtedy wzięła udział.

Ale oto i Belweder. W jego salach już pełno i gwaro. Próca członków Rady Państwa sobaczyla kilku generalów i wyższych oficerów. Byli to, o czym dowiedziałem się wkrótce, członkowie Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego. Dostrzegłem ponadto wciemiśnistrą Sprawiedliwości Skóre i kilku znanych mi ważniejszych urzędników Rady Państwa.

Nawój był ciężki, mimo że niemal wszyscy próbowali niepokojącą bestroską prądkiem nurytując ich niepokój. Nienaturalność tego spotkania wywodziła to, że zerowało wojskowi, jak i cywile trzymali się oddzielnie. Jakby unikali wzajemnego kontaktu. Jedynie wokół Jabłońskiego skupiło się mieszane grono.

Podszedłem do prof. Jana Szczepańskiego. Uściśliliśmy sobie dionie.

— Stało się — powiedział.

— Stan wojenny? — spytałem.

— Na to wygląda.

Także i ca nie miał pojęcia o tym, co istotnie się wydarzyło. Obydwaj wiedzieliśmy tylko tyle, że wojsko jest już na ulicach. Ale dlatego że tam wyprzedzono? Co spowodowało tę decyzję? Czy jest to operacja przeprowadzana siłami wywiadowymi, czy też akordowana a interwencją z zewnątrz?

Podszedłem do stojącego samotnie wyższego oficera, który spoglądał na mnie z szeptliwym jakby uśmiechem, przedstawiłem się i bez owijania w bawełnę spytałem, czy wdrożono stan wojenny. Rozważał się na boki i odparł półgłosem:

— Nie, ale ich zastab znajdując się o dwieście metrów stąd!

Powiedziałem to — oddalił się natychmiast.

Wybiegając nieco wprzód, dodam, że dwie godziny później, gdy było już po wszystkim, odwróciłem się do niego i usiłując głos niemal do szeptu powiedziałem:

— Marzeliś Kuzłow, który od kilku dni oczekiwał tego, co dziś nastąpiło, z pewnością ma już raport o tym podłożeniu. O tym, że pan był przeciwny, oczywiście też go poinformowano.

W słowach tych wyczułem syczliwość i zacięność.

Trzymamy się jednak chronologii wydarzeń. Odczekaliśmy jeszcze kilka minut i przybycie dwóch nieco spóźnionych członków Rady Państwa, po czym poproszono nas o przejście do sali konferencyjnej i zajęcie miejsc w fotelach, otaczających długi owalny stół. Wojskowi nadal trzymali się razem, my, cywile, także. Przed każdym widziałem spory pakiet druków. Zaczęliśmy je pospiesznie wertować. Były to teksty różnych dekretów — wśród nich najważniejszego, wprowadzającego stan wojenny — i rozporządzeń. Prof. Jabłoński udzielił głosu pierwszemu mówcy. Był nim wiceminister obrony narodowej, gen. Tadeusz Tuzsapański, jeden z wiceprzewodniczących WRON — o czym adresem się już dowiedziałem, najwyższym stopniem i funkcją osobliście w grupie przybyłych do Belwadera oficerów. Zastanawiam się, jak i inni członkowie Rady Państwa, mierzwią moment rozstrzygnięcia dotychczas nam teksty, czy słuchał tego, co mówi generał? Chyba wszyscy zdecydowali się na to drugie, wychodząc z założenia, że to zostało wydrukowane i tak nie umknie, a słowa mogą uciekać.

Od razu dodam, że aż do końca posiedzenia nie mieliśmy możliwości dokładnego zapoznania się z tą dokumentacją. Nie było ani minuty przerwy. Inna sprawa, że nawet wówczas, gdyby dano nam możliwość akrapunktnego przeczytania wszystkich tekstów, to ani przecinka nie byłobyśmy w stanie w nich znaleźć. To, czy je przeczytamy, czy nie — nie miało żadnego znaczenia. Byłaby to jeszcze jedna cześć, a więc zupełnie niepotrzebna formalność. Podobną formalnością było również rade to nadzwyczajne posiedzenie. I to formalność, świadcząca o rzadkiej kontyngencji. Trwała przecież sesja Sejmu, a Konstytucja mówi, że w trakcie trwania sesji jedynie Sejm jest uprawniony do wprowadzenia stanu wojennego, natomiast Rada Państwa przysługuje to prawo tylko w przed-

Dlatego autor proponuje uczynić głównym zadaniem — wspólnie realizowanym przez zróżnicowaną nurt opozycji solidarnościowej — wyzwalanie poszczególnych "fragmentów", pól czy obszarów życia społecznego spod dominacji władzy. Dotychczasowe "cele cząstkowe", które miały służyć jedynie przygotowaniu zbiorowego wystąpienia przeciw władzy partii-państwa, teraz mają się stać celami głównymi.

Co to znaczy? Elity polityczne powinny w swym bezpośrednim otoczeniu, w swych środowiskach organizować działania, dzięki którym "lokalne" społeczności poczułyby się odpowiedzialne za swój los, za codzienne sprawy i podjęłyby walkę o efektywny wpływ na decyzje w sprawach bezpośrednio je obchodzących. A więc walkę o uzyskanie wpływu w zakładzie pracy, w osiedlu mieszkaniowym, w danej branży itp. Decydujący dotychczas monopolistyczni urzędnicy powinni być zmuszeni do podejmowania decyzji zgodnych z opinią społeczną, z wolą większości tych, których te decyzje dotyczą. A zatem program Zalewskiego zakłada sformułowanie bogatego i spontanicznego programu "cząstkowych celów", które wyrażałyby dążenia, potrzeby, interesy poszczególnych ugrupowań i zarazem grup społecznych, środowisk, kręgów pracowniczych.

Walka o realizację "celów cząstkowych" i obudzenie ducha obywatelskiego w poszczególnych grupach i społecznościach zakłada konieczność kontaktu z przeciwnikiem. Dotychczasowa strategia zakładała postawę unikania jakichkolwiek "układów" z przedstawicielami oraz organami aparatu partyjnoparostwowego. Walka, która ma na celu wyzwolenie poszczególnych sfer życia społecznego na drodze uzyskania wpływu na decyzje, które ich dotyczą, musi prowadzić do zmiany a nawet odwrócenia tej postawy: wymaga wręcz kontaktu, wymaga negocjacji — bo przecież bez kontaktu, bez gry społecznej, gry politycznej z ludźmi władzy nie można sobie wyobrazić uzyskania wpływu na realny kształt życia. Tak pojęty program demokratyzacji zakłada stopniową przemianę całego systemu społecznego na drodze cząstkowych uzgodnień i kompromisów, ale zarazem cząstkowych zwycięstw, polegających na tym, że o życiu poszczególnych społecznych dziedzin decydować będzie opinia publiczna czy też wola lokalnej społeczności. O ile program demokratyzacji, jaki niesie ze sobą "Solidarność", zakłada przyjęcie odpowiedzialności za los całego społeczeństwa i państwa przez poszczególnych obywateli i przez ich reprezentanta, jakim był niezależny związek, o tyle program demokratyzacji, jaki zarysowuje obecnie Zalewski, zakłada uobywatelenie przez wzięcie odpowiedzialności przez ludzi z danych grup i środowisk za ich najbardziej podstawowe, "lokalne" sprawy.

3.

Drugą też autor wiąże z pierwszą tak, że trudno je od siebie oddzielić. Głosi one, iż strategia działania opozycji solidarnościowej — ufundowana na tak czy inaczej zarysowanym "celu politycznym" czyli "arywie", "buncie", "irredencie" — jest programem, który traktuje zbyt wąsko działania społeczne.

Zarówno program KOR-u, jak KPN-u i innych ugrupowań demokratycznej opozycji upstrzywał sensu działania w formowaniu widocznego i dysponującego siłą polityczną — siłą nacisku i siłą przetargową — ruchu społecznego. Wówczas nie można sobie wyobrazić efektywnego działania bez doraźnych, odczuwalnych zwycięstw na polu społecznym: uzyskania widocznej poprawy życia w jakiejś dziedzinie czy rozwiązania — w efekcie opozycyjnych działań — jakichś problemów.

Tę perspektywę przeciwstawia Zalewski inną. O ile ta pierwsza może być nazwana "polityczną", o tyle ta druga — "kulturową". Celem działania są tu podkórne, niejawnie, czasem w ogóle niedostrzegalne przekształcenia świadomości społecznej, przeobrażenia tego, co czasami socjologowie nazywali "podstawą społeczną", "morfologią" lub po prostu "kulturą": głębszych, zmierzających się powoli wzorów działania, wzorów życia, modeli obyczajowych. Rozważania Zalewskiego są w tym punkcie bardzo interesujące, lecz jednocześnie niejasne i trochę zagmatwane. Sądzę, że w gruncie rzeczy chodziło autorowi o namysł nad sensem "polityki". Przeciwstawia on w pewnym miejscu rozważania "działania politycznego" — "działaniu społecznemu" i pisze tak oto: "Uznaję za działania społeczne to wszystko, co dotyczące społeczeństwa nie redukuje położenia jego struktur do relacji zachodzących pomiędzy grupami posiadającymi władzę polityczną a grupami tej władzy podlegającymi. Działaniem społecznym nie będzie żadna taka aktywność, której intencje bądź — co ważniejsze — efekty dadzą się sprowadzić wyłącznie do przekształcenia systemu władzy, nie wynikającego z rzeczywistej wybudowanej struktury społecznej i położenia grup społecznych, tej władzy podległych. Działanie społeczne jest autoteliczne — ujawnia się w nim chęć przekształcenia struktury społecznej, społecznej świadomości, typu kultury". (podkr. moje — L.K.)

Polityka jawi się tutaj jako coś podporządkowanego szerszemu, bardziej dalekosyżnemu i głębszemu programowi społecznemu. Zmiana sytuacji grup, a zwłaszcza — jeżeli można to dopowiedzieć do słów Zalewskiego — samych grup u władzy może niewiele zmienić i wcale nie doprowadzić do wcielenia w życie ideałów. Nie chodzi o to, aby u władzy byli "nasi", "swoi", a usunięci zostali "oni", "obcy". Sprawa jest poważniejsza: chodzi o zmianę samej relacji między "władzącymi" a "podległymi władzy". Zmiana tej relacji jest

niemożliwa bez przekształcenia się innych stosunków, jakie zachodzą między różnymi grupami społecznymi. Jeżeli naszym ideałem jest demokracja, a więc model społeczeństwa pluralistycznego, nie można go efektywnie wprowadzić w życie jedynie na drodze "politycznej": zmiana władzy komunistycznej na inną, "naszą" — np. narodową — władzę bynajmniej nie oznacza tym samym przybliżenia się do ideału społeczeństwa, w którym szanuje się inność drugiego, w którym jest miejsce na odrębność, na tajemnicę i na szacunek wobec ludzi, różnych form współżycia, związków i grup. Czysto "polityczna" perspektywa wprowadzania w życie modelu pluralizmu, tolerancji i szacunku wzajemnego ludzi i odmiennych grup jest w istocie nierealistyczna. Podobnie — rzecz można — nierealistyczne jest założenie, że postawa obywatelska, postawa odpowiedzialności za własny los, los najbliższych i całej społeczności może się rozwinąć dopiero wtedy, gdy ubezwłasnowalniający obywateli system rządzenia zostanie obalony. Kto miałby go obalić, skoro wszyscy potencjalni obywatele będą czekać momentu, w którym będą mogli bezpiecznie poczuć się... obywatelami?

4.

Trzecią tęzę Zalewskiego można wypowiedzieć mniej więcej tak: myślenie polityczne czy też myślenie, które mogłoby w tej chwili wyrwać z narazem i porzucenia beznadziejności większość ludzi w Polsce, musiałoby formułować własną wizję przyszłości. A więc wizję możliwego świata, dobrego urządzenia rzeczywistości społecznej, wizję, powiemy "dobrego życia", wedle której interesy indywidualne i zbiorowe są ze sobą splecione. Bowiem to właśnie brak takiej wizji w kręgu solidarnościowej opozycji jest przyczyną załamania się dynamiki ruchu i przyczyną nie do marazmu społeczeństwa.

Teza ta stoi właściwie w sprzeczności z pierwszą, a może nawet częściowo drugą — przynajmniej dopóty, dopóki program pozytywny autora sprowadzić do apelu o podjęcie "cząstkowych celów", wynikających z rozpoznania interesów, potrzeb i pragnień poszczególnych grup i środowisk społecznych. Program "obywatelnienia" ludzi poprzez działania "oddolne", "lokalne", zmiernające do uzyskania wpływu na decyzje, dotyczące spraw danej zbiorowości likwiduje właściwie — przynajmniej na pierwszy rzut oka — myśl o sformułowaniu całościowej, wspólnej tym wszystkim działającym grupom i elitom, wizji urządzenia świata. Być może sprzeczność jest pozorna, ale wówczas musi pojawić się jakiś nowy element w rozumowaniu.

Stanowisko autora wydaje mi się tutaj niekonsekwentne. W eseju "Kilka uwag o polityce realnej" przeciwstawia on "polityce pragmatyków i realistów", przystosowujących się do okoliczności, wizję polityki "o większym zakresie", stanowiącej w istocie "filozofię przebudowy status quo", "filozofię buntu i niezgody", opartej na "podstawowym uzasadnieniu", jakim jest "racja moralna, prawo do wypowiedziania krzywdy, uposzczenia, emocji (...) prawo do nadziei". Konieczność wypracowania szerokiej perspektywy, która dopiero pozwalałaby rozwiązać konkretne, "polityczne" w węższym sensie problemy, zakłada właśnie ideał, ideał społeczny i ideał moralny, swoisty miernik i wyznacznik przyszłości, niosący w sobie "mit wolności": "To nie dojrzały podmiot polityczny, rozpoznający własną pozycję społeczną (...) formułuje zasady, cele i sposoby realizacji polityki, przez którą wypowiada się jego tożsamość i podmiotowość. Jest a reguły odwrotnie. Wizja polityczna, program przebudowy, który nie odwołuje się do wyklarowanej sytuacji społecznej, a jej przeczy i walczy na domniemane lub rzeczywiste, ale skryte przesłanki jej przewyższania, powołuje, wymyśla i stwarza dopiero siły mogące zmian dokonać. Przejaskrawiając (...) można powiedzieć, że to program polityczny powołuje do życia swój podmiot i wykreśla nieliniową przestrzeń dla jego realizacji". (podkr. moje — I.K.)

Konkluzja tych rozważań jest prosta: właśnie w imię możliwości realnej zmiany politycznej i społecznego przekształcenia życia działające elity muszą dysponować wizją urządzenia świata, niosącą ze sobą element porwijającej ludai utopii, bez której trudno wyobrazić sobie społeczną aktywność.

Ale nieco dalej Zalewski mówi — jak się wydaje — coś innego: "Czy, aby uprawiać politykę, trzeba mieć taki plan generalny, wielką, wszechogarniającą wizję? Ale to dzisiaj jest niemożliwe, albowiem nie ma przesłanek, aby przyspieszyć realny bieg historii. Gdybym miał kogoś przekonać do własnego programu, to bym mu nie mówił, jak to będzie w państwie, które stworzymy, tylko co on ma dzisiaj robić. Zdobywać świadomość polityczną, rozumieć świat, móc myśleć tak, jak się chce, nie tak, jak się musi. Ale nie tylko myśleć: także mówić, pisać, słuchać innych. Ale chciałbym mu także móc powiedzieć, co możemy razem kombinować, żeby w życiu było lepiej. Żeby i na życie starczyło. Tutaj widzę wielką szansę". (podkr. moje — I.K.)

Zatem nie wizja, nie globalny program, nie przygotowywanie się do konfrontacji z władzą państwową — ale działanie bieżące, oparte na "kombinacji", co jest potrzebne i możliwe do zrobienia, aby — aż się chce powiedzieć: "tu i teraz" — poczuć się lepiej w życiu i "coś" ze swoim życiem zrobić. Natychmiast nasuwa się pytanie: w jaki sposób działające społecznie, aktywni mają mówić ludziom, co warto zrobić "tu i teraz"? Jak mogą to uczynić bez całościowej wizji świata? Wizji tego, co dobre, pożądane, szlachetne!

cd na s. 6

rwach między naszymi. A przy tym — co najważniejsze — stan wojenny już od kilku godzin był faktem. Wojsko wprowadzono na ulice bez pytania Rady Państwa o zgodę, przed uzyskaniem tej zgody aresztowano tysiące ludzi, machina przemocy stała na czele wyjątkowych obrotach, niezależnie od tego, co działo się w Belwedrze.

Gen. Tużarecki nawet nie próbował prawdy tej tak. Oświadczył, że wojsko przejmie odpowiedzialność za kraj i nieład uchwalenia stanu wojennego. Słowa te całkowicie wyznaczyły sytuację.

Zrozumiałem, że i dla mnie nadchodzi chwila próby. Oto zdarzyły się ze sobą dwie koncepcje polskiej racji stanu. Pierwsza, władze w tej chwili grabieża, dążąca do porozumienia, jest koncepcją trudną, bo wymaga wspólnego, a więc wymagającego czasu i cierpliwości, wytyczenia przed narodem takiej drogi rozwojowej, która odpowiadabym i jego aspiracjom i realiom międzynarodowym. Druga, porówna łatwiejsza i krótsza, to konfrontacja, która umożliwiłaby szybkie, bo ignorujące przesłanki i poglądy społeczeństwa, a dokonane wyłączenie się miliznarskie, przywrócenie monopolu władzy oraz ponowne i całkowite znalezienie przez nią narodu.

Za jedną z tych koncepcji należał się opowiedzieć. Wiedziałem, że nadchodzi moment, w którym muszę to uczynić i dokonać wyboru na resztę — być może — życia. W takich chwilach los osobisty spleta się bowiem z losem publicznym. Musiałem więc najpierw sam sobie odpowiedzieć na pytanie: czego chcę dla Polski i czy potrafię ująć efekt podjętej decyzji? Bo przecież, niezależnie od tego, jaka będzie ta decyzja, to w każdym wypadku przyszedł ona nowa, inne warunki i kłopoty. Dozkonale zdawałem sobie sprawę z tego, że opowiedzenie się za koncepcją pierwszą dążyłoby do male wcale kłopotów, zmarnotwien i traci, porzuciłaby atrybutów i możliwości działania, płynących z zajmowanych stanowisk oraz przesunie z głównego toru życia politycznego na boczny. W owym przemówieniu momencie myślałem też jeszcze o tym, że ta decyzja taką przyjdzie mi zapłacić odejściem z drożdżówką, w którym spędziłem niemal całe życie. Nie mogłem wreszcie wykluczyć, że zagraża ono mojemu bezpieczeństwu osobistemu. Czy więc — pytałem sam siebie — decyzja tę udźwigniesz? Czy wistocie, gdy opadną emocje i przyjdą pełne gorzkie refleksje, nie będziesz tego kroku żałował?

Opcja była dla mnie od początku jednoznaczna i ale budziła największą wątpliwość. Wiele razy myślałem o tym, że sprawy tak ważne mogą się potoczyć. Ale co innego przewidywać choć, a co innego odczuć silę jego rażenia. Zważałem, że do końca sądziłem, że ten czas nie spadnie, wierzylem bowiem w możliwość wypracowania nowej jakości politycznej, instytucjonalizacji tej specyficznej formy życia publicznego w Polsce, które wytworzyły się w ciągu kilkunastu ostatnich miesięcy i stanowiły wielki krok naprzód w porównaniu z tym, co narodziło się przed czterdziestym, w październiku 1956. Do końca też zachowałem wiary w to, że można było — jak wtedy — wyprowadzić kraj z kryzysu przez przewyższenie istniejących podziałów, a nie ich pogłębianie.

Uważałem również, że formułę szerokiej ugody społecznej — ukazywającej warunki i punkt wyjścia dla zdecydowania polskiej demokracji — trzeba sformułować jak krótko i uczynić wszystko, by nie została pogrzebana, lecz nadal była w świadomości Polaków. Po prostu dlatego, że i wtedy nie było dla niej — i dziś także nie ma — rozwiązania, a naszym patriotycznym alteratywą. Zachowa ona

cd na s. 6

aktualność tak długo, jak długo model realnego socjalizmu nie będzie liczył się z tożsamością narodową i zderzał z tradycją cywilizacyjną Polski.

To właśnie moja decyzja przesażono. Po krótkim dialogu z samym sobą uznałem, że w innej obronie tej jedynie słusznej w warunkach polskich koncepcji, należało przeciwstawić się tym, którzy uważali, że polskie umiłowanie wolności, sprawiedliwości i demokracji, mocna adwersarna przemocą. że muszą być twierdzo powiedziano: nie!

Rozumowałem przy tym, że już wówczas — gdy opadła nadzieja, wstrząsane wywieraniem broni przez polskich kolaborantów w piemi polskich robotników i przygnanie euforii władzy, świętującej sukces, jako ostateczny, dławiący społeczne aspiracje, których partia nie potrafiła pogodzić ze swą hierarchiczną rolą — znowa pojawił się zapotrzebowanie na koncepcję aserożnej i autentycznej umowy społecznej. Ktośby więc ją oczekiwał. Nie wolno dopuścić, by utonął w odmętach stanu wojennego, który przesłonił nrocznym cieniem perspektywę narodową. Bo tylko w tej koncepcji tkwiły linie, których uruchomienie będzie mogło rozbudzić w społeczeństwie energię, konieczną do otrząśnięcia się Polski z rozkładającej się apatii, w której pograżył się ten cały kraj. A gdy przyjdzie następne przesilenie — czego przecież należało oczekiwać — to właśnie ta koncepcja stanie się busolą, wskazująca właściwy kierunek.

Jednym z wix tematów, w tę noc, w tym miejscu, pod presją tego, co zostało — przyszedł mi się przeciwstawiam linii porozumienia, odległej się od niej i ją odrzucał, byłoby to nie tylko moja osobista klęka. Głoszący za stanem wojennym — zrealizowali dotychczas ciosa idei, którą uważałem za słuszną i o słusznosci której starałem się przekonać innych, przeciwnie byłby jej wiarygodność. Opinia publiczna miałaby wtedy prawo powiedzieć, że wszystko, co mówiłem na ten temat, było fałszem i demagogią, obliczoną na zrujnowanie jej pokładów. Albo też uznaliby to za zdradę i kapitalizację przed obywatelskimi sennymi, dochodząc do z gruntu fałszywego wniosku, że wtedy, gdy ktoś wjeżdżał na ulicę, to nawet ludziami najbardziej ludzymi i głęboko przekonanym o słusznosci reprezentowanej przez nich sprawy, nie pozostało nic innego, jak podniecenie ręk do góry i naniecie swaj fanatycznej bezsilności.

A to przecież nieprawda. Myślę się ci, którym wydaje się, że w ten sposób, strachem i przemocą, zdołają wykreślić Solidarność i jej czas z dziejów walki Polaków o sprawę narodową, że świadomość społecznej naszego i następnych pokoleń. Do takiej Polski, w jakiej żyliśmy przed narodzinami Solidarności nie ma już powrotu. Dla nikogo. Dla mnie też. Przemiany, jakie zaszły w Polsce w okresie tych kilkunastu miesięcy, były bowiem nie tylko ogromne, ale i trwałe. Wszakże pod warunkiem, że Polacy zdołają je ochronić przed antycentem. Walka o to staje się więc zadaniem pierwsoplanowym. Należy przeciwstawić dekompozycji tych wartości, które odchodzą już w historię czasu wytworzył i zakończył w polskich umysłach i sercach, choć nie zdążył utrwalić ich w życiu publicznym. Na tym kierunku winna słowem, poważyć się aktywność obywatelska, rozbudzona Sierpniem 1980, a teraz tak brutalnie dławiona.

W tym momencie natychmiast jednak rozdziło się pytanie: z jakiej pozycji o to walczyć? Czy może nie byłoby mądrzej dobrać oczekiwanego przez władzę zwrotu i bez odciągania się wkroczyć w stan wojenny, pozornie go aprobować, by w ten sposób uzyskać lepsze możliwości służenia wartościom prawdziwym? Droga to trudna, dълга, ale czy ryzyka, które z tym się wiąże, nie rekompensuje z nadwyżką zwiększona skuteczność salawiania takich bolesnych, ludzkich spraw? Humanitarnych, interwencyjnych?

Sprzecznosc w poglądach autora nie wydaje mi się przypadkowa. Polega ona na tym, że uważa on program "czastkowych zadań", czyli walki społeczności "lokalnych" i określonych grup politycznych o wpływ na decyzje, za identyczny z programem przebudowy świadomości, powolnej przemiany wzorów i wypracowania nowych sposobów życia niezależnie od sytuacji politycznej (a więc relacji władza — i jej podporządkowani). Podobnie program "celu politycznego", przygotowywania konfrontacji "społeczeństwa" z "władzą" jako warunku przemiany ustrojowej utożsamia autor z działaniem opartym na jednoczącej wizji ideologicznej, która scala globalnie i zbiera wszystkie czastkowe poczynania w jedno — właśnie w wizję, która będzie możliwa do realizacji, gdy obali się władzę komunistów bądź wymusi na nich zasadnicze ustępowstwa.

Błąd polega — jak sądzę — na tym, że te dwie warstwy, które dosyć zgrabnie Zalewski wyodrębnił, nie pozostają ze sobą w takich relacjach, jakie im przypisuje. Jedną z warstw działania społecznego jest oddziaływanie głębsze i dalekosigzne, którego celem jest przekształcanie wzorów, modeli, typów postaw — przemiana "kultury". Ta warstwa jest właśnie warstwą wizji i — zarazem — zasadniczych pytań: pytań o wartości i ich wzajemne zależności, o skutki psychologiczne i egzystencjonalne takich a nie innych rozwiązań społecznych, o skutki określonych postaw, sposobów porozumiewania się ludzi ze sobą i myślenia o sobie itd. Jest więc to warstwa poszukiwania prawdy i zarazem badania wartości. Wizje i ideały, które się w niej pojawiają i ku którym ma zmierzać to wyraz konfrontacji doświadczenia z przeżyciem niepodważalnych zasad, podstaw moralnych, transcendentnego sensu życia.

Dругa warstwa, której sens ustala się w tej szerszej, pierwszej perspektywie, ma za zadanie precyzować opis bieżącej sytuacji, formułować diagnozę polityczną i wskazywać, co warto i co można zrobić w danej chwili. Ta warstwa polityczna byłaby poszukiwana przez autora "przekładnią", która pozwala pragmatycznie wolności i lepszemu życiu ująć w kategorie motywów, skłaniających ludzi do działania. Program rysowany na tej płaszczyźnie raz byłby "programem celu politycznego" czy też konfrontacji, kiedy indziej — programem "czastkowych działań". Oczywiście, analiza Zalewskiego wydaje mi się całkiem przekonująca, kiedy dowodzi on, że idea narodowej irredenty i idea rewolucyjnego buntu jest nadwyżką mało realna we współczesnej Polsce. Ale zarazem uderza mnie w książce Zalewskiego pewne ograniczenie wyobraźni w myśleniu o możliwościach walki politycznej.

Dyktatury rzadko upadają pod naciskiem masowych ruchów społecznych — znacznie częściej wtedy, kiedy część aparatu przemocy opowie się za programem społecznych reform, kiedy będzie skłonna poprzeć żądania i postulaty społeczne, wypowiadając dotychczasową lojalność. Z tego wynika, że "strona społeczna" musi koniecznie dysponować takim programem reformy, który pozwalałby identyfikować się z nim również przedstawicielom obozu władzy. A zatem programem reformy, który nie byłby tylko przeciw, ale który realistycznie uwzględniłby całość społeczną i jej sytuację.

Nie rozumiem więc, dlaczego autor nie żąda od solidarnościowej opozycji — przynajmniej od najstarszych i najbardziej doświadczonych grup politycznych — sformułowania całościowego programu rozwiązania narastających dylematów społecznych, czyli programu działania państwa? Sam przecież mówi, że w pewnym sensie podmiot polityczny wytworza się albo jest wytwarzany przez społeczeństwo wtedy, kiedy pojawia się myśl, która budzi nadzieję na rzeczywiste rozwiązanie dotkierających ludziom problemów. Choć solidarnościowa opozycja nie ma w tej chwili większych szans na samodzielne wprowadzenie w życie albo poddanie kontroli procesowi realizowania jakiegokolwiek programu społeczno-gospodarczego — nie znaczy to, że nie ma obowiązku sformułowania takiego programu. W sytuacji, gdy od wielu miesięcy władze poszukują sposobu poradzenia sobie z przerażająco pogarszającą się sytuacją społeczną i ekonomiczną, znaczący byłby program opozycji — program całościowy, pomyślany z "rządowego" — że tak powiem — punktu widzenia: co należałoby zrobić, co powinien obecnie zrobić rząd, którego celem byłaby realizacja interesów społecznych i obrona "dobra wspólnego"? Wydaje się dosyć banalne przypomnienie, że jednym z podstawowych zadań opozycji w systemach demokratycznych jest przygotowywanie alternatywnych rozwiązań, samodzielne rozpoznawanie sytuacji społecznej, szukanie nowych dróg poradzenia sobie z problemami, wobec których staje społeczeństwo i jego państwo, bez względu na to, kto sprawuje w nim aktualnie rządy.

Widzę zatem niekonsekwencję w myśleniu Zalewskiego. Tym bardziej że jego program "czastkowych celów" i "oddolnego" wyzwiania poszczególnych obszarów społecznych spod monopolistycznych decyzji, zakłada nie tyle eliminację "ludzi władzy", ile grę i przetarg z nimi, tak aby — przynajmniej na tym "lokalnym" szczeblu — zostali włączeni w szersze porozumienie; aby decyzje urzędników uwzględniały i liczyły się z opinią publiczną, z interesami społecznymi, ze zdaniem elit społecznych.

Jednakże doświadczenie całego okresu powojennego wskazuje, że efektywne może być tylko takie działanie, które wiąże ze sobą to, co na ogół bywa oddzielone: program "czastkowych działań" i program nacisku społecznego na

państwo, na rząd. O ile jestem skłonny przyznać rację Zalewskiemu, że nakierowanie strategii na "konfrontację" pokojowego ruchu społecznego z (uzbrojonym) państwem jest nierealistyczne, o tyle jego program stopniowej i "odolnej" demokratyzacji wydaje się również nie całkiem realistyczny. Bowiernie — bez względu na konkretne osiągnięcia "cząstkowych programów" i bieżące zyski społeczne, które z tego będą płynęły — struktura organizacji partyjno-państwowej oraz utrwalone postawy i symboliczne zasady działania będą interweniowały, prędzej czy później niszcząc "wyzwolone obszary" lub też — blokując rozwój inicjatyw na szerszą skalę.

Innego typu zadanie i bardzo istotne wyzwanie dla elit politycznych solidarnościowej opozycji wynika z "drugiej warstwy" rozważań Zalewskiego, dotyczącej sensu strictly myślenia politycznego. Powyższe rozumowanie prowadzi do wniosku, że trudno sobie wyobrazić demokratyczną przemianę, jeżeli nie nastąpi proces przebudowy świadomości społecznej, spontanicznej przemiany postaw ludzi oraz gdy nie ulegnie przemianie filozofia polityczna, która nadaje treść państwu i sposobowi pełnienia władzy w społeczeństwie. Myślę, że postulaty Zalewskiego, dotyczące głębokich, kulturowych przekształceń jako warunku przemiany społecznej — w tym ustrojowej — noszą ze sobą nie wypowiedziany dokładnie postulat nowej filozofii rządzenia, nowej filozofii władzy, nowego spojrzenia na państwo — i to zarówno przez opozycję, jak i przez rządzącą PZPR. Można więc wyróżnić czwartą, tęszą Zalewskiego, która dotyczy państwa.

Mówi ona, że państwo jest złożoną, swoistą rzeczywistością; koniecznością społeczną, a zarazem dobrem społecznym. Zalewski krytykuje hasła i nastawienia solidarnościowej opozycji — na czele z doprawdy absurdalnym hasłem "podziemnego społeczeństwa", autorstwa Wiktora Kulerskiego — które przeciwstawiały "społeczeństwo" "państwu" i wyrażały mniej lub bardziej świadomie "lewicowe" przekonanie o możliwości pozapaństwowego zorganizowania się społeczeństwa, a w konsekwencji obalenia państwa rozumianego wyłącznie jako forma dominacji mniejszości nad większością.

Z kolei "niepodległościowcy" traktują państwo od początku do końca jako wyraz i strażnię niepodległości, narodowej niezawisłości. Państwo komunistyczne jest "nie-nasze", trzeba je więc całkowicie odrzucić, a "większa niefunkcjonalność i represyjność państwa podkreślił tylko potrzebę upominania się o państwo wolne i niepodległe (...). Problem państwa jako urządzenia społecznego — rysuje się zaledwie na drugim planie".

Jest wreszcie trzecie stanowisko, stanowisko "konserwatystów", którzy tradycyjnie przypisują państwu istotną rolę w życiu społecznym, którzy szanują państwo i sądzą, że nie można sobie wyobrazić pozytywnej wolności w społeczeństwie, które nie jest zorganizowane w dobrze rządzone państwo. Państwo wymaga podporządkowania, ale podporządkowanie to jest koniecznym wymogiem rozwoju i rozkwitu zróżnicowanego społeczeństwa.

Zalewski konfrontuje ze sobą te stanowiska, tak jak przedtem konfrontował stanowisko KOR-u i KPN-u, wykazując ich ograniczenia. Wynik tej analizy pokazuje, że stanowisko konserwatywne prowadzi do postaw paternalistycznych, które na dłuższą metę hamują rozwój obywatelstwa. Z kolei stanowisko — czy stanowiska — "lewicowe" prowadzić może na bezdroża. Idealizm pozapaństwowego społeczeństwa prowadzi do idei rewolucji, która umiatając się i następnie prowadzi do ustanowienia przemocy państwowej o niespotykanym przedtem charakterze. Zalewski zdaje sobie sprawę, że socjalistyczna definicja "państwa" i władzy stała się podstawą "realnego socjalizmu", ale jednocześnie pragnąłby uratować — jeśli rzecz tak można — ideał wolności, swobody działania społecznego, spontanicznego tworzenia form "lepszego życia" i wspólnoty, które niewątpliwie nosiła ze sobą tradycja socjalistyczna, zwłaszcza tradycja Polskiej Partii Socjalistycznej, której program można nazwać, paradoksalnie, "rewolucyjnym reformizmem".

Oo twierdzi pozytywnie na temat państwa autor "Przed granicą"? "Państwo stało się niezbędną formą zorganizowania społeczeństwa masowego, tylko ono gwarantuje społeczeństwu jako całości sprawność działania, mobilizację wokół celów, spokój wewnętrzny i względną suwerenność. (...) Ważny jest mechanizm jego działania i on podlega dyskusji, ale nie podlega dyskusji potrzeba państwa jako takiego, jako regulatora społecznego." (Podkr. moje — I.K.) I dalej: "Oznacza to rezygnację z utopii przewrotu rewolucyjnego i automatyzmu przekształceń społecznych dokonujących się poza strukturami państwa i umacniających społeczny samorząd. (...) prymat państwa nie oznacza — przeciwnie niż twierdzą dogmaty konserwatywni — społecznego podporządkowania państwu autorytarnemu, państwu, które rości sobie prawo wszechobecności i wszechmocy".

Chodzi zatem o zbudowanie takiego państwa, w którym sposób sprawowania władzy nie jest ani przemocą, ani paternalizmem. "Państwo silne i sprawne oznacza minimum państwa rozumianego jako aparat administracji, biurokracji, przymusu a maksimum prawa, tzn. ustalonego w wyniku gra sił społecznych konsensusu interesów, wpływów, władzy."

7.

"Nowa strategia", zarysowana przez Zalewskiego, ma służyć tak pojmowanej, ewolucyjnej przebudowie państwa. Już nie chodzi o to, aby "odebrać państwo" komunistom czy też obalić władzę komunistów jako warunek demokratycznej reformy. Chodzi raczej o to, aby w wyniku codziennej, "cząstkowej"

Przyznam, że ten dyktando, dawne obecnym w rozmowach Polaków, stał się przedmiotem owej nocy. Ale tylko na krótką chwilę. Na tychmiast przyszedł refleksja nowej i w polityce są granice relatywizmu. Czegoś trzeba bronić, ale i o coś trzeba walczyć. Tak było w mijającym właśnie rozdźwięk polskich delegatów, tak będzie w tym, który teraz się rozpoczyna. Każdy z nas, ludzi, którzy w okresie ostatnich kilkunastu miesięcy zajmowali pierwszoplanowe miejsca na polskiej scenie — odegrał w tym największym dramacie narodowym jakąś rolę. A ról tych nikt nam przecież nie narzucił. Wybraliśmy je sami. Trzeba zatem w nich pozostać. Oj, którzy byli w awangardzie, nadal muszą bronić strategicznych interesów narodu. Oj, którzy szli w drugiej linii, nie naradzając się zbyt wiele, mogą dokonać taktycznego odwrótu i służyć społeczeństwu. Z tym, że jeśli pragną zachować wewnętrzna uściwość, nie mogą sprzeniewierzyć się wobec nadrzędnym, określonym kryteriami moralnymi. Nie wolno im też być poświęconym dla pomysłowego rozwiązywania takich czy innych spraw doradczych. Z pewnością i one są ważne i trzeba trzeźwość się o nie, lecz nie kosztem pryncypów.

Cały ten proces myślowy dokonał się we mnie w czasie, gdy przemawiał gen. Taczowski. Były w nim zarówno elementy retrospekcji, jak i widzenia perspektywicznego. Zawierał syntezę mych przemyśleń, dokonał i porządek od Sierpnia 1980, a zarazem zarys programu na czas, który nadajeł. Trwał krótko, niż dokonywana teraz jego rekonstrukcja.

Gdy przemysłowa rzecz do końca — wiedziałem, jak postąpię. Tu, w Belwederze, byłem przecież jedynym człowiekiem, który mógłby wpaść na siebie obowiązek reprezentowania w tej historycznej chwili oczekiwań społecznych, skupianych w Solidarności i przez nią wyrażanych. I tym bardziej musiałem to uczynić, że miałem mandat zbrojonej Rady Państwa, tej kluczkowej — przynajmniej pod względem prawnym-formalnym — instancji w strukturze władzy w PRL. Jeśliżym teraz skapitulował, nie tylko sprzeniewierzyłbym się sam sobie, ale także zdradził tych wszystkich, dla których problemowanie stanu wojennego tymczasem nie oznaczała końca walki o nasze prawa narodu.

Taczowski nadal przemawiał. Energicznie, zdecydowanie i ostro. Mówił takim tonem, jakby przekasał władzę przez Rząd Państwa generalom z WRON już się dokonano. Język silnego nie uchwaliliby, a jaż umiałem — pomyślałem.

Gdy skończył zapadła cisza, którą prze-walałem raczej o głos. Miałem absolutną pewność, że muszę ma odpowiedzieć. Wszystkie spojrzenia skierowały się w moją stronę.

Zaczętem od stanowczego protestu przeciw odrzuceniu możliwości rozwiązania konfliktu na drodze politycznej. Zwrócone ku mnie wzrocz generalów nasycał miast stwierdzenia. Nikt już się nie uśmiechał.

Nie będę tu streszczał swego przemówienia, ani przyniesiał argumentów, po jakie sięgnęłam, ponieważ wszystkie one znajdują się w tej pracy, a to, co powiedziałem było ich najbardziej skondensowaną kwintesencją. Niemniej uważam za swój obowiązek wobec Czytelników naprezentować bodaj schemat tej wypowiedzi.

Po owym pryncypialnym protestie, powiedziałem, że jak umowy podpisano w Gdańsku były sukcesem obydwa strona, tak stan wojenny jest porażką obydwa stron. Mówiłem, że zamiast pozyskiwać tę energię społeczną, którą ujął klasa robotnicza, a szczególnie młode pokolenie, zadaje się jej dookreślić klasę. Ze wykorzystaniem kapitału, jakim dysponujemy, ludzkie zaangażowanie, zostaje przekierowy. Ze socjalizm traci bieżące społeczną, co musi nieschronnie prowa-

dał do pogłębienia rozdziału władzy od społeczeństwa, a w konstytucji odbije się niekorzystnie na interesach Polski i realizacji jej roli stanu. Za wojsko wkroczyło na drogę własną, podejmując działalność interwencyjną w terenie, czym mogło zbudować sobie autorytet, który teraz utraci, występując przeciw społeczeństwu.

W tym miejscu gen. Tuczapski przerwał mi i powiedział, że zna moje stanowisko w tej sprawie, wyrażane zarówno przez mnie osobistie, jak i przez psów PAX-u przemawiających w Sejmie, ale musi dodać — tu na moment zawiesił głos — iż skierowanie wojska w teren miało na celu właśnie przygotowanie stanu wojennego.

Wyznając to sprawił, że niektórzy spośród obecnych skrzywili się z niesmakiem. Było ono bowiem równoznaczne z przyznaniem, że rząd, zapewniając społeczeństwo ustami swych najwyższych przedstawicieli, iż wojskowe grupy operacyjne po to tylko ruszają w teren, by tam społeczeństwu pomóc w rozwiązywaniu różnych lokalnych konfliktów i trudności, po prostu kłamali.

General zdawał się jednak tego nie pamiętać. Spogladal na mnie ironicznie, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że jeśli wówczas poparłem decyzję wyłączenia w teren wojskowych grup operacyjnych, która była Alexym innym jak rozpoznaniem pola działań, popierającą wprowadzenie stanu wojennego, to i teraz, gdy stan wojenny jest faktem, powinien go poprzeć. Albo dlatego, że należy postępować konsekwentnie, albo dlatego, że za naiwność trzeba płacić.

Chwili kłopotliwego milczenia przerwał mi prof. Jan Szczepański, wciągając tonem cierpliwego krytycyzmu taką oto kapitalną uwagę:

— Rozwinięcie takiej partii. Jest szansa, że wtedy wami się uda.

— Nie można — zareplikował general — bo napli konstytucyjny.

Porozmawiałem, że duża dyskusja jest bezcelowa. Inni chyba doszli do tego samego wniosku. Prawdopodobnie w tym momencie przewodniczący Rady Państwa, prof. Henryk Jabłoński chciał już podjąć temat. Zwrócił się bowiem w moją stronę i z wręcz osobistym daniem do mnie, malującym się na jego twarzy, sprostował, że wczasy są na, a wygłębiam panna panna Belfa. Samim jednak Jabłoński zdążył wypowiedzieć sakramentalną końcową formułę — wyciszył się Władysław Kruczek. Poprosił, by posiedzenia jeszcze nie zamykać, gdyż chce zwrócić się z apelem do mnie.

— To, co tu mówimy, przekazać do opinii publicznej — powiedział — Jest nas za dużo, a sprawy takie raczej nie pozostaną tajemnicą. Jeśli obywateli jedynym, stan wojenny będzie przepłył przez opinię publiczną jako obrona interesów narodu. Jeśli choć jeden z nas będzie przeciwny, może to zaszczyt, że stan wojenny ma inne cele i służy obronie władzy. Dłoby to się, jeśli byśmy dali okazji do takiej interpretacji.

Skręcając Kruczek skierował wprost do mnie, byłem więc zobowiązany do odpowiedzi.

— Interpretacja ma być uwzględniana fakt, że chodzi o ten głębszy i z tej perspektywy trzeba ocenić decyzję, która będzie podjęta — mówię. — I nie z intencji do pustego gestu, który nikogo nie zmieni, o czym wiem równie dobrze, jak wczasy tu obecni, zgłaszam swój sprzeciw. Zwycięstwo będzie zależało nie od tego, ile przemawia się rezygnując z walki o sprawy narodu, ale od tego, ile wytrwa w tej walce o prawo do niezależnego bytu, które jest warunkiem do lepszego życia. Wpływajcie swoje, narodziło na listę tych dróg. Jestem na tej pierwiastku, ale jutro będzie na niej

walki przebudować relacje między rządzącymi a rządzonymi, aby uzyskać zmianę nastawienia sprawujących władzę wobec potrzeb, aspiracji i inicjatyw obywateli oraz zorganizowanych środowisk społecznych. Chodzi o to, aby państwo inaczej było rządzone, a instytucje państwowe znalazły się w innej sytuacji wobec interesów i woli społeczeństwa.

Zalewski zdaje się być przekonany, że jego program "działań cząstkowych" i "demokratyzacji oddolnej" jest właściwą drogą ewolucji państwa. Niefunkcjonalność państwa komunistycznego dotyka bowiem nie tylko rządzonych — "społeczeństwo"; dotykać zaczyna również samą władzę, "która wbrew pozorom wszechmocy rządzi coraz mniej, bo coraz słabiej są jej posłuszne organy państwa". Dlatego też powodzenia swego programu upatruje on w tym, że: "Władzę zmusza się, by zobaczyła interes w częściowej redystrybucji kompetencji rządu, w samej reformie państwa, by zachowując zasadniczo swój monopol w decydujących dziedzinach, a ustępując w dziedzinach dla siebie peryferyjnych, a dla społeczeństwa i jego samoorganizacji znaczących, usprawniała państwo — a więc swoją możliwość rządu. Ruch społeczny, jeśli potrafi tworzyć stały nacisk wymuszający ustępstwa władzy i pogłębiający proces reformowania państwa, otworzy sobie szanse przejścia realnych pól działania, na których można stopniowo poszerzać zakres społecznej autonomii".

Czy program ten jest "bardziej realny" niż programy "niepodległościowców", "lewicowców" i "konserwatystów"? Niż dotychczasowa linia solidarnościowej opozycji, generalnie bojkotująca państwo i czekająca na spozobny moment wywarcia presji na rządzających komunistów? Jakże są przesłanki, które pozwalałyby mniemać, że władze partii-państwa dostrzegają nieefektywność swych rządów sprawowanych przez przemoc i że skłonne byłyby wyrzec się "części władzy", aby uzyskać mniej, ale za to realny i oparty na akceptacji społecznej wpływ na bieg spraw? Dlaczego miałyby do tego dojść właśnie teraz, skoro nic takiego nie nastąpiło w okresie legalnego działania "Solidarności", kiedy istniały bez porównania większe szanse na realizację tej przemiany?

Sądzę, że są to ważne pytania i chyba brak na nie jednoznacznej odpowiedzi w rozważaniach Zalewskiego. Są one jakby urwane, niedokończone. Wymagają dalszego namysłu.

8.

Chciałbym wreszcie powiedzieć o piątej tezie Zalewskiego, której treścią jest — jak to ujmuje autor w świetnej metaforze — "wzięcie gotowego świata": "Polega na bezwiednym przyjęciu jakiegoś przedwstępnego założenia, które później decyduje w każdym szczególe o tym, jak rozumiemy świat i co jesteśmy mu od siebie winni. Dotykam tu problemu filozoficznego (...). Ale gotowy świat to także coś bardzo potoczego i codziennego, coś, co obywateli się z reguły bez całościowej refleksji (...). W takim świecie gubi się nie tylko głębszy sens istnienia ludzi; gubi się w nim znaczenie każdego wysiłku podjętego w nadziei zmiany. (...) Wzięcie gotowego świata, bo właśnie takim tworzy go nasza myśl, bo taki jest świat naszej świadomości, ma wyższe mury niż wzięcie faktów, ale takie, które możemy poruszyć." Przejście perspektywy "gotowego świata"

prowadzi do poczucia bezsilności politycznej i zaniku aktywności społecznej. Sami, poprzez sposób swojego myślenia, interpretowania sytuacji, zamykamy się w więzieniu, gorzszym niż więzienie, które wyznacza naszemu działaniu zorganizowana przemoc i przymus.

Teza Zalewskiego, jak często u niego, daje się interpretować dwojako: raz jako teza opisująca świadomość społeczną czy też wskazująca na pewną rozpowszechnioną postawę ludzi, to znów jako teza dotycząca aktywistów społecznych. W pierwszym przypadku byłaby to próba zrozumienia poczucia bezsilności, marazmu i rozpaczki ludzi. W okresie "Solidarności" wyraził się najlepiej określony ideał urzędzenia życia społecznego, ideał raczej moralny niż polityczny. Wiadomo było, "jak-powinno-być-żeby-było-dobrze". Ale okazało się, że tak być nie może: "nie można zrobić", bo "oni nie pozwolą". "Gotowy wzór" dobrego albo przynajmniej "normalnego" świata wydaje się potocznie dany ludziom, ale ponieważ "nie można zrobić", podejmowanie jakichkolwiek działań w kierunku zbliżenia się do tego ideału jest pozbawione sensu. Oznacza to — właściwie — całkowite zerwanie z rzeczywistością: postrzegana jest ona globalnie jako "nieswoja", "nienormalna", "sła", ale zarazem to w tej rzeczywistości trzeba żyć, trzeba z niej czerpać środki do życia własnego i własnej rodziny. Aby więc "móc żyć", trzeba wycofać się ze wspólnej przestrzni, zaszyć się w jakiś "swoją kąt" lub skierować całą aktywność życiową na jego ochronę przeciwko wrogiemu światu i nienormalnym regulom, które w nim rządzą.

Drugie znaczenie tezy "gotowego świata" penetruje treść przekonań elit społecznych, które wpływając na potoczne rozumienie, na "normalność", przyczyniają się właśnie do konstrukcji "gotowego świata", przeciwstawionego "światu rzeczywistemu". Jakże myślenie elit politycznych prowadzi do pogłębienia się poczucia bezsilności w społeczeństwie?

Otóż myślenie, które całkowicie neguje czy też ocenia całkowicie krytycznie aktualny stan rzeczy z punktu widzenia pewnej gotowej wizji. Zdaniem Za-



ławskiego, myślenie elit solidarnościowych buduje "wieszenie gotowego świata" przez odwołanie się do klasycznej myśli liberalnej. Totalne zanegowanie marksizmu, przypisanie mu wyłącznie negatywnych funkcji i skutków w procesie historycznym (bo to przecież fundament "realnego socjalizmu") oklania niemal automatycznie do uznania za "normę" i właściwą receptę na urządzenie Polaki klasycznych koncepcji liberalnych. Wiadomo, że "powinno być" wolna konkurencja i gospodarka rynkowa; wiadomo, że "powinno być" państwo demokratyczne; wiadomo, że "powinno się" wybierać rząd spośród wielu partii politycznych itp. Wszystko to jest niemożliwe do wprowadzenia w życie, bo właśnie "oni" dysponują siłą polityczną, represyjnym państwem i "za nimi stoi" ZSRR. Tak oto, ponieważ wiemy, "jak-powinno-być" i w świetle tego całkowicie negatywnie opisujemy aktualną rzeczywistość ustrojową, a drugiej zaś strony nie dysponujemy siłą, która mogłaby "coś zmienić" — realna myśl o bieżącym działaniu jest właściwie niemożliwa. Sposób interpretowania świata i aktualnej sytuacji społecznej przez grupy solidarnościowej opozycji zamyka nie tylko ich myślenie, ale również potoczną świadomość społeczną w "wieszeniu gotowego świata".

## 9.

pozytywna propozycja Zalewskiego związana jest i w tym punkcie z przemyśleniem na nowo problematyki państwa. Tym razem rozważania dotyczą polityki międzynarodowej i wizji państwa jako instytucji, która ma chronić najogólniejsze, narodowe interesy społeczeństwa wobec innych państw i narodów.

Zarówno w tradycji myślenia, które Zalewski opatruje etykietką "konserwatywną", jak i w programach "niepodległościowców", często przywołujących klasyczną ideologię liberalną, "państwo" jako urządzenie chroniące narodowe interesy ujmowane jest jako niezależny, niepodległy organizm czy też niezawisła organizacja. Dopóki nie spełni się zatem warunek niezależności i niepodlegania obcym wpływom, państwo będzie "nie-nasze" i nie można będzie do końca czuć się za nie odpowiedzialnym. Ten sposób myślenia wyznacza — zasadniczo — perspektywę, w której rozpatruje się zależność rządzonej przez komunistów Polski od ZSRR. Ponieważ ZSRR najwyraźniej nie zamierza wcale zrezygnować ze swoich wpływów i tracić kontroli nad Polską, rzetelne i odpowiedzialne myślenie o urządzeniu państwa jest niemożliwe.

Podążając tą sprawą, Zalewski wskazuje, że w rzeczywistości współczesnego świata, podzielonego na sfery wpływów dwóch mocarstw, ponadto zaś uwikłanego we wtórne zależności, pełna niezależność państwowa jest czystą fikcją. To raczej stan uzależnienia, konieczność liczenia się ze zdaniem hegemonu jest normą we współczesnych realiach; przy czym podległość mniejszych państw supermocarstwu ma zarazem swoją drugą stronę: mocarstwa są również na swój sposób zależne od swoich podporządkowanych.

Co z tego wynika w rozważaniach Zalewskiego? Otóż zdaje się on twierdzić, że pozytywne myślenie o państwie polskim nie może ograniczać się do obrazu całkowicie niezależnej od ZSRR Polski — musi opierać się na odmiennym spojrzeniu na kwestię zależności. Czy rzeczywiście jesteśmy zdani na "dyktat Moskwy"? Czy rzeczywiście kształt podległości i podporządkowania ZSRR jest raz na zawsze dany, gotowy, niezmienny i zawsze tylko niewolący, ograniczający nasze społeczne i narodowe interesy? Czy oznacza to, w szczególności, bezwarunkowe poparcie ZSRR dla każdej ekipy komunistycznej w Polsce i poparcie dla każdego porządku państwowego, firmowanego przez PZPR?

Rozważania Zalewskiego sugerują możliwość różnorodnej na nie odpowiedzi. W szczególności autor sugeruje możliwość aktywnego wpływu na kształt politycznej zależności Polski od ZSRR. Możliwość ta zależy od zmiany sposobu myślenia o sytuacji Polski, a co za tym idzie — zmiany nastawienia wobec historycznego faktu zależności od ZSRR. Jeżeli bowiem spojrzymy na sytuację podległości jako fakt, może przykry, ale dany i stanowiący nie tylko nasz wyjątkowy, ale raczej powszechny przypadek, to wówczas mogą się pojawić możliwości i sposoby wykorzystania zależności i podporządkowania dla wspólnego dobra. Inaczej się myśli, gdy się ją przyjmuje, zakładając możliwość aktywnego wpływania na jej kształt — tak aby dawała ona korzyści również stronie podległej.

Książka Zalewskiego ledwie dotyka tej arcyważnej sprawy. Tym ważniejszej, że w chwili obecnej rządzący w Polsce świadomie starają się uzasadnić swoje panowanie właśnie przez odwołanie się do woli i potęgi mocarnego sąsiada. W propagandzie potęga ZSRR jest argumentem przeciwko niezależnej, społecznej działalności. Jest obrazem, który wpływać ma na wygaszenie inicjatyw i zahamowanie odwagi działania szerokich kręgów społecznych. Temu propagandowemu obrazowi nie powinniśmy jednak bezrefleksyjnie ulegać. Zwłaszcza w dobie Gorbaczowskiej "pieriestrojki".

Ireneusz Krzemiński

wielomilionowy legion. Zwycięstwo, o którym mówię i którego pragnę, nie oznacza "wybicia się na niepodległość", bo to obecnie postulat nierealny, ale poszerzenie polskiego modelu o zdobycie klasy robotniczej. Uchwalać stan wojenny, szanując takiego zwycięzcy, która nadal istnieje, smilenny w książkę. Odwołując strukturę władzy i łańcuch dialogu, mobilizując albo przymusu i udrażniając do wojny z narodem służby specjalne i wojsko, sprawiamy, że następuje zasadniczy realizm. Naród traci możliwość wyegzekwowania swych racji, bo jego część, ci rządzący, nie tylko nie jest razem z nim, ale swych się przeciw niemu, przeciw rządzącym. To wprowadzić mniejszość wysięguje z inicjatywą rozprawy sądowej, ale jest to mniejszość sbrojna i czująca na sobą potęgę swych zagrożonych sojuszników".

Chciałem jeszcze mówić, ale poczułem przypływ niechęci i smutku. Sytuacja była wprost kuriozalna. Odi bowiem te Rada Państwa ma ochotę? Wapócienną brankę (dla sważa Internowaniem) by zapobiec niekomo powstaniu (dla sważemu wojsz domowu), którego nikt nie szuka i w ten sposób od razu widmo sbrojnej inwazji obcych wojsk (dla sważa amikdyznanowieniem konfliktu bądź łagodnie) — brania pomocu? To przecież potworna mistyfikacja. Interwencja nikt nie chce, nie leży ona w naszym interesie, ani naszym, ani naszych sąsiadów i trzeba by dopiero monstrualnej prowokacji, by do niej doprowadzić. Społeczeństwo na taką prowokację z pewnością nie pójdzie. Jest więc jeszcze moment, by satyrnym bleg wydarzać i przywrócić komu trzeba trzeźwość w ocenie sytuacji w Polsce, wyjaśniając, że to, by ustabilizowała się ona w pełni, wymaga nieco czasu. Zadaniem nas, Rady Państwa, powinno być nieodpowiedzenie do zaprzeczania

nie wielkiej sprawy, która naród może uratować, wstał na fundamentach powstającej jedności, jaką zbudował, a na jaką, poczyny od dnia zakończenia wojny nigdy uprzednio się nie zdobył. To jest naszym zadaniem, a nie podejmowanie uchwały, która odwraca porządek rzeczy, gdyż stanowi wyraźne potępienie narodu przez władzę, arbitralnie przerywa jego uprawniony protest wobec pożyty tej władzy, określony przez nią miarą sważa, a równocześnie otwiera czas jej protestu wobec narodu; wyrażanego, przy pomocy superle innych metod, a propagandowo nazywanego przywróceniem ludu i porządku. O to przecież wyłącznie chodzi, ku temu wszystko zmierza, taka jest prawda. Trzeba ją jednak całkiem aktem prawym, który usankcjonuje wewnętrzną okupację całego kraju, obejmującą ogromną część społeczeństwa. Nie da się zaprzeczyć, że my, członkowie Rady Państwa, też jesteśmy częścią tej władzy i to — według miar konstytucyjnych — untytułowana, na najwyższym szczeblu. Ale przecież to nie my odpowiedzialny ten wojenny scenariusz. Nam tylko przyślesiono w teście — ale ma żadnej przesady, lecz doświadczeń — akt, na którym mamy przystawić plece naszej egoty, by łani, faktyczni autorzy tej wymierzonej w naród operacji, mogli powoływać się na jej legalność. Do tego Rada Państwa jest poirszana, do niczego więcej.

Taki był też cel tego nadzwyczajnego posiedzenia. Nie tylko ja, lecz wszyscy członkowie Rady Państwa, także a jej przewodniczącym, dokonane o tym wstąpieli. Oczywiście tłumaczenie im tego i wyjaśnianie miałyby jakikolwiek sens?

Spojrzałem na Władysława Krzeska i powiedziałem spokojnie:

— Tu interpretacja niekiego ale smilni, bo wynowa faktów jest jednoczesna.

Z kolei odwróciłem się w stronę gen. Tu- czepkiego i sległem po argument notary gospodarczej.

— Stan wojenny kosztuje — mówiliem. — Są to koszty dwójakie. Przede wszystkim bezpośrednie. To polisyć można. Ale są i koszty pośrednie: zerwanie współpracy gospodarczej z Zachodem, co uniemożliwił dotychczas inwestycje rozpoczętych w ostatnich latach i odebrało nas od pomocy, warunkującej jeśli nie pełną technologię naszej gospodarki, to bodajże trzecią jej na stabilnym poziomie. Najbardziej aktywności społecznej też nie pozostało bez wpływu na wydajność pracy i jej jakość. To wszystko na tle kryzysu wygląda wprost przeraźliwie. Czy ktoś obliczył koszty stanu wojennego?

Pytanie to skierowałem bezpośrednio do generała. Teraz mu się jakby zasępiła. Odniósł mnie wręcz, że o ile argumentacja polityczna nie ulegała na nim żadnego wręczenia, o tyle skala konsekwencji ekonomicznych była rzeczywista i trwała i jego, i wszystkich, którzy podjęli i realizowali decyzje o stanie wojennym. Byli to przecież zawodowcy wojskowi, wiadomo zaś, że dla tego gatunku ludzi polityczne oparcie w sytuacji poprzek wprowadzenia militarną kontrolę całego życia publicznego, jest niezmiernie ważnym aktem siły i przemocy, eliminującym przeciwnika, którego w inny sposób nie można pokonać. Ale co dalej? Jak później zmobilizować społeczeństwo do pracy? O tym wojskowi nie mieli pojęcia.

Wprawdzie gen. Taczowski w odpowiedzi na moje pytanie sucho stwierdził, że koszty stanu wojennego zostały polichone, nie zabrakło to jednak przekonywującego. Wyrodnie zastosowane mowy miały także iani wojskowi, którzy w tym momencie pilnie zaczęli przeglądać leżące przed nimi papiery, nie przejawiając zamiaru pospieszenia z odsieczą swemu przeciwnikowi.

Odwróciłem się z innej strony. Członkowie Rady Państwa, aparcie dotychczas milczący, zaczęli widocznie do wniosku, że należy zabraknąć głębiej. Pośredzenie trwało już ponad godzinę, którą w dalszej mierze wypełnił miś dialog z generałem, uzupełniony kilkoma krótkimi wtrętami innych osób. Teraz ruszyli generałowi w sakurę. Zastawiono mnie w sposób gwałtowny i agresywny, a taką przy tym jednostronną argumentację jakby ci, którzy ten znak przypuścił, byli świątce przekonani, że walkę o ocenienie ofensywy przeciwko jednemu wprowadziłem, ale bardzo niebezpiecznemu apostacie przegranemu jej agubę.

Tu niewielka dygresja: rozpoczynając przed południem posiedzenia Rady Państwa z reguły koczowały się wózonym obiedem, co pozwalało nieco żyć się temu kilkunastoosobowemu gronu, swobodnie porozmawiać, podzielić nowinami. To właśnie w czasie takiego obiadu trzy miesiące wcześniej opowiadałem o swoich wrażeniach ze Zjazdu Solidarności, w którym uczestniczyłem, nie reprezentując ani PAX-u, ani tym bardziej Rady Państwa, tylko samego siebie, gdyż zostałem osobliwie zaproszony przez Lecha Wałęsę. Opowiedziałem wzbudziła tak duże zainteresowanie, że obiad przedsięwziętą się poza przewidziany limit czasu. Słuchano uważnie, a w komentarzach do tego, co opowiadałem o Zjeździe, nie było cienia siośliwoci.

Teraz ci, skądinąd sympatyczny ludzie, pokazali całej szej i kszani z zadziwieniem, której nigdy bym się po nich nie spodziewał. Oczekiwanie nie wazył, kilka osób, nie tając przyglądania i smutku, mikało do końca. Nawet ani jednych, ani drugich nie wymieniałem z wyjątkiem p. Eugenii Kemparowej, która atakowała mnie z taką peją, a decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego broziła z takim powściągliwaniem, że chyba jeszcze dziś jest z siebie dumna.

W sumie był to incydent mało ważny, po którym nie pozostało nic prócz nieprzyjemnego wspomnienia. Myślę, że nie jest to tylko moje opini. Niektórzy nie mogli amienić, na nie nie mógł wpływać. Jeśli go wspominaam

## WŁODZIMIERZ PAŃKÓW O NORMIE DZIAŁANIA BEZ PRZEMOCY

(Od Red.: Publikujemy część I eseju "Normy działania 'Solidarności': przeciw zasadzie 'cel uświęca środki'". Skróty pochodzą od redakcji.)

Zacznijmy od spraw wyśkich, całkowicie elementarnych. Szeroką czynników — m.in. pamięć tragicznych doświadczeń z lat 1956 (Poznań), 1970 (szczególnie Gdańsk i Szczecin) i 1976 (Ursus, Radom) — skłoniło robotników Wybrzeża, podejmujących protest przeciwko zaistniałej sytuacji, do rezygnacji z gwałtownych jego form. Od początku zdecydowano się stosować środki i sposoby działania pozbawione elementów przemocy (non-violence). Wybór takiej normy działania, która — podobnie jak wiele norm moralnych i społecznych — określa jedynie czego nie należy robić, a więc ma poniekąd charakter "negatywny", przesądził — tym razem rzeczywiście wyłącznie pozytywnie — zasadniczy bieg wydarzeń nie tylko na nadchodzące dni i tygodnie, lecz być może na wiele lat. Był może przywoływanie znanych z historii najnowszymi dwóm przykładów podobnych wyborów, tzn. decyzji Ghandiego oraz przywódce Murzynów północno-amerykańskich, Martina Luthera Kinga, może wydać się trochę "na wyrost", ale o tym rozstrzygnie dalszy bieg wypadków, nie tylko w naszym kraju, jak sądzę. (...)

Może zabrzmi to paradoksalnie, ale wydaje się, że wybór dokonany w tamte dni przez robotników Wybrzeża oznacza niepewne próby przeszczerpienia na polski grunt (społeczny) tych zasad walki o pewne wartości, w tym również sprawiedliwość społeczną, które były lansowane i stosowane przez ruch komunistyczny, a u podstaw których leżało przekonanie, że "cel uświęca środki". Nie było to zresztą pierwsze tego typu niepowodzenie; można chyba odpowiedzialnie stwierdzić, że szczególnie niechęć otacza w Polsce te środki walki, które w praktyce oznaczają bratobójstwo.

Konsekwentne przestrzeganie zasady nie stosowania siły i związanych z nią form protestu, znanych z poprzednich robotniczych wystąpień, określiło wiele innych istotnych elementów zaistniałej sytuacji.

Zastosowanie tej zasady miało niewątpliwie pewien wpływ — nie wlemy jak daleko — na wybór metod rozwiązywania ujawniającego się konfliktu przez władzę, która we wszystkich znanych dotychczas przypadkach poważnych społecznych protestów stosowała w pierwszej kolejności właśnie przemoc; za każdym razem dobrym pretekstem do zastosowania takich "rozwiązań" było przeniesienie się protestu na ulicę i pojawienie się jakichś gwałtownych ("siłowych") jego form. W sierpniu 1960 r. protestujący robotnicy nie dotarli do takiego pretekstu. Nie wyjaśnia to, oczekiwali, w pełni rezygnacji władzy ze stosowania siły, gdyż, jak wykazał dalszy bieg wypadków, dla jej zastosowania może wystarczyć domniemanie przedstawicieli władzy, że społeczny protest może przybrać gwałtowną postać. Niewątpliwie istotną rolę odegrały tu dodatkowe czynniki działające po obu stronach ujawniającego się konfliktu: szybkie tempo rozpraszającego się społecznego protestu, dezintegracja w obozie przedstawicieli władzy, niepewność co do postaw sił represyjnych, względnie na opinie światową itp. Nie można również wykluczyć, że w interesie części aparatu władzy — szczególnie tej, która srykowała się do stoku w górę, a kontrolowała właśnie siły represyjne — leżało pojawienie się pewnych,

ograniczonych form protestu społecznego; posierpnioły kierunek przetasowań w aparacie władzy potwierdzały tę hipotezę, chociaż należy raczej sądzić, że wazyści członkowie aparatu władzy, którzy poszli "w górę" na fall posierpniołych przemian, nie przewidzieli aż tak wielkich rozmiarów społecznego protestu i tak wysokich kosztów swego awansu.

Mając na uwadze powyższe wątpliwości można jednak sformułować hipotezę, że latem 1980 r. to właśnie robotnicy polscy, a szczególnie robotnicy i pracownicy zakładów pracy Wybrzeża, narzucili swemu przeciwnikowi, tzn. "władzy ludowej", sposób rozwiązywania konfliktu społecznego pozbawiony elementu przemocy. Wybór tego sposobu w tamtym momencie może być traktowany jako sukces, nie tylko taktyczny, dla obu stron wchodzących we właśnie ujawniający się konflikt.

Strona, którą określamy tu ogólnym pojęciem "władza" uzyskiwała czas niezbędny do zorientowania się w posiadanych zasobach sił i środków działania, wewnętrznej konsolidacji i przygotowania się do kontrofensywy. Ale i strona, którą można tu określić również nieprecyzyjnym terminem "społeczność" uzyskiwała możliwość stwarzania faktów w sferze świadomościowej, instytucjonalnej i materialnej. Następowo szeroko rozumiane "otwarcie", stwarzające warunki i szanse działania dla rozmaitych sił społecznych; główną niewiadomą stanowiła długość okresu jego trwania.

Wybór "nie-siłowych" metod działania posiadał w tym momencie jedną kolosalną zaletę: obniżał potencjalne koszty i ryzyko związane z uczestnictwem w społecznym protestie, chociaż nie eliminował ich całkowicie. Dotychczasowe doświadczenia z "władzą ludową" nie pozwalały tylko żadnych studentów. Jednakże wybór ten umożliwiał wyjątkowo powszechną mobilizację zarówno samych protestujących, jak i tych, którzy udzielał im wsparcia i poparcia. Dzięki owemu wyborowi możliwe stało się stosunkowo szybkie i raczej pozbawione wahań poparcie ze strony przedstawicieli hierarchii jednej legalnie istniejącej niezależnej instytucji w Polsce — instytucji Kościoła katolickiego. Jej przedstawiciele pojawili się wśród protestujących zarówno "oddolnie" i spontanicznie, jak też na mocy decyzji jej najwyższych władz. Fakt ten zresztą w istotnym stopniu umacniał protestujących robotników w poczuciu aluzności dokonanego wyboru metody do swoje prawa. Wprawdzie istniały tu różnice postaw i zachowań, szczególnie pomiędzy Szczecinem i Gdańskiem, jednakże nie można zakwestionować istotnego, modyfikującego wpływ Kościoła instytucjonalnego na postawy i działania protestujących robotników, jak również poparcia tej organizacji dla robotniczych działań.

Instytucjonalnym wyrazem dokonanego wyboru metod protestu i walki był strajk. Instytucja strajku nie pojawiła się w Sierpniu jako coś nowego i nieznanego polskim robotnikom. Pomijając już fakt, że strajki w stoczniach Wybrzeża poprzedzone były ponad miesięcznym okresem tego rodzaju protestów w setkach zakładów pracy w całym kraju, szczególnie w województwach lubelskim i warszawskim, należy stwierdzić, że w miłej lub bardziej jawnej postaci ta forma protestu robotniczego była praktykowana przez cały niemal okres istnienia PRL, a szczególnie w okresach jawnych konfliktów i napięć. W Sierpniu jednak pojawiły się pewne istotne nowe elementy związane z tą instytucją.

Po pierwsze świadomie ograniczono się tylko do tej formy protestu, postępując wyraźnie odmiennie niż w czerwcu 1956 r., grudniu 1970 r. czy też w czerwcu 1976 r.; ry-

gorystycznie dbano o to, by protest nie wy-  
szedł poza wytyczone granice. Równocześnie,  
również inaczej niż to było w przypadku se-  
tek innych strajków, nie ukrywano jego wy-  
stąpienia, nie wręcz przeciwnie — zrobiono  
wszystko, co było możliwe w tamtych warun-  
kach, dla jego "popularyzacji"; szczególnie do-  
tyczy to Gdańska.

Po drugie, nie tylko podjęto strajk, lecz  
alemal od początku domagano się jego le-  
galizacji, zarówno w tym jednym konkretnym  
przypadku, jak i w ogóle — jako praw-  
mocnej formy walki robotników o swoje  
prawa. Było to wyraźnie nawiązanie do sta-  
rej robotniczej tradycji, a równocześnie forma  
świadczona i zaświadczenia, że wbrew oficjal-  
nej ideologii: a) robotnicy nie czują się fak-  
tycznymi współwłaścicielami używanych przez  
siebie środków produkcji i współgospodarzami  
zakładów pracy, b) faktyczni właściciele  
zakładów pracy i pracodawcy są kimś obcym,  
a nawet wrogiem, kimś, z kim należy walczyć  
starą robotniczą bronią, wynaleśnią i wypra-  
cowaną w systemie, gdzie dominuje prywatna  
własność środków produkcji.

Pośrednio robotnicy dawali do zrozumie-  
nia, że uważają się za wysykalnianych przez  
swoich pracodawców i że w przyszłości nie sa-  
mierzą już leżeć na ich dobrą wolę; obietnice  
muszą zostać uzupełnione określonymi gwa-  
rancjami instytucjonalnymi, których istnienie  
bądź nielubienie nie jest II tylko efektem do-  
brej woli pracodawców.

Trzecim istotnym elementem związanym  
z instytucją strajku, który pojawił się czę-  
ściej jako efekt dwóch poprzednich, zaczęło  
zawo jako funkcja całości ówczesnej situa-  
cji, było pojawianie się samego słowa "strajk"  
w języku oficjalnej propagandy. Do momentu  
użycia tego słowa przez ówczesnego sekre-  
tara rządzącej partii komunistycznej, w osta-  
tnich dniach sierpnia 1980 r. nie pojawiała  
się ono nigdy w oficjalnym języku; zawsze  
używano enigmatycznego określenia "przerwy  
w pracy". Nie można przeceniać tego faktu,  
należy jednak pamiętać, że w systemie, który  
nazywa się "sojalistycznym", bardziej niż  
w jakimkolwiek innym nazywają się "przerwy  
w pracy" społecznej rzeczywistości. Tak więc  
również użycie słowa "strajk" przez przedsta-  
wiciele najwyższych władz oznaczało faktyczne  
przyzwolenie na pojawienie się tego typu insty-  
tucji.

Oczywistym uzupełnieniem instytucji  
strajku, a równocześnie dalszą konkretyza-  
cją normy "non-violence", było wprowadzenie  
dwóch usatysfakcjonujących elementów do ujawnio-  
nego konfliktu: postulata jako formy artyku-  
lacji robotniczych (pracowniczych) interesów  
oraz negocjacji jako instytucji, która w danych  
konkretnych warunkach historycznych stano-  
wiała w domniującym stopniu kanał transmisji  
ujawnionych pracowniczych (społecznych)  
interesów do ośrodków dyspozycji politycznej  
i gospodarczej, czyli do faktycznego "sojalis-  
tycznego pracodawcy".

Naturalnym uzupełnieniem, a raczej  
włączeniem powyższych elementów, w za-  
stulanych w sierpniu 1980 r. okolicznościach,  
była kolejna instytucja, stanowiąca inte-  
gralny człon "nie-allowowych" sposobów roz-  
wiązywania konfliktów społecznych, tzn. insty-  
tucja porozumienia, przez niektórych nazywa-  
na "umową społeczną". Najbardziej znane  
są trzy "wyjściowe" porozumienia — ze Sze-  
cyna, Gdańska i Jastrzębia; wiadomo jed-  
nak, że zawarło ok. 600 innych "porozu-  
mień" — branżowych, resortowych, regional-  
nych, problemowych itp. Ich szczegółowa sa-  
wartość mogłaby stanowić przedmiot niejed-  
nego, obszernego studium, podobnie sformu-  
lacja ich formy, sensu czy funkcji. Nie wchodząc  
w te zagadnienia chciałbym zwrócić uwagę na

jedną sprawę, raczej mało zauważalną i wi-  
doczną.

Odtąd wydaje mi się, że stosowanie poje-  
cia "porozumienie", a tym bardziej "umowa  
społeczna" do wszystkich wspomnianych fak-  
tów, na czele z treścią "wyjściowym" Po-  
rozumieniami, ma sens jedynie wtedy, gdy  
uwzględniamy ich zewnętrzną stronę, ich  
formę. Rzeczywiście, we wszystkich tych przy-  
padkach dochodzono do jakiegoś porozumienia  
i podpisywano — obustronnie lub trójstronnie  
(gdy pojawiał się mediator) — pewne ustale-  
nia. Gdy się jednak weźmie pod uwagę treść  
tych ustaleń, to można stwierdzić, że choć  
na wyrost, że "porozumienia" te były w zna-  
cznej mierze "aktami kapitulacji", czasami  
warunkowymi, a najczęściej bezwarunkowymi;  
zawierały one określenie warunków, na których  
ci, którzy sprawują władzę mogą ją dalej spro-  
wadzać. Odnosi się wrażenie, że dla tych ostat-  
nich, tzn. sprawujących władzę na różnych  
szczeblach jej hierarchii, "porozumienia" te  
były niemal zawsze aktem wyrażenia zgody na  
czasowe oddanie przeciwnikowi kolejnej "linii  
obrony", kolejnych "okopów". Można powie-  
dzieć, że były to kolejne decyzje o odwrocie  
podejmowane ze świadomością, że trzeba uszy-  
kać czas niezbędny na zgromadzenie odwodów  
i przygotowanie kontruderzenia, które pozwoli  
odzyskać wszystkie utracone pozycje. Jest przy  
tym rzecz charakterystyczna, że przedsta-  
wiciele strony nazywanej "władzą" trakto-  
wali negocjacje, składane w trakcie ich prowa-  
dzenia obietnice i podpisywane porozumienia  
poważnie i z uważaniem tylko do pewnego  
momentu. Gdy usłali, że już są w sąsied-  
nie przygotowaniu do kontruderzenia, sposób trak-  
towania drugiej strony wyraźnie się zmienił;  
w tym momencie — najwyraźniej wystąpiło  
to po raz pierwszy w sierpniu 1981 r., tuż po  
zakładaniu IX Zjazdu PZPR — uznano, że  
ten element taktyki, jaki stanowiły negocjacje,  
obietnice i porozumienia już nie ma istotnego  
znaczenia.

Dobrym ilustracją sposobu traktowania ne-  
gocjacji z "Solidarnością" przez stronę rządo-  
wą było zachowanie rządowych negocjatorów  
na czele z Skakowkim w czasie rozmów prze-  
prowadzonych w sierpniu 1981 r.; dawali oni  
wyraźnie do zrozumienia drugiej stronie, że  
czas "porozumienia" już się skończył i zaczyna  
się czas walki (zgodnie z decyzjami IX Zjazdu).  
Podobne zjawiska, w jeszcze szerszej skali,  
wystąpiły w trakcie kompleksowych negocjacji,  
które miały być prowadzone przez negocja-  
torów z "Solidarności", z inicjatywą jej Kom-  
isji Krajowej, w listopadzie 1981 r.; tym razem  
w znaczącej części tematów negocjacje w ogóle  
nie zostały podjęte wskutek bojkotu podjętego  
przez Komisję rządową.

W planetyzacji personalnej to wycofy-  
wanie się władzy z "porozumień" wyraziło się  
m.in. w faktu wyeliminowania z politycznego  
"oblegu" ważnych rządowych (partyjnych)  
negocjatorów z Sierpina, szczególnie zaś tych,  
którzy podpisali Porozumienia Gdańskie (Ja-  
gelski, Florkbach). Oczywiście, mogły tu ode-  
grać istotną rolę inne względy, ale to votum  
nieufności partii wobec tych, którzy "pono-  
sili winę" za podpisanie wspomnianych poro-  
zumień jest dość symptomatyczne. Dotyczy to  
również głównego kierownika partii po Sierpi-  
niu, który opowiedział się za taktyką "poro-  
zumienia, a nawet policy" (partii) wobec zre-  
wolowanego społeczeństwa — w październiku  
1981 r. musiał on ustąpić zwołaniu walki  
danej "porozumienia" — Jaruzel-  
skiemu.

Warto tu jeszcze dodać, że pierwsza  
poważna próba zerwania z taktyką "porozu-  
mień" pojawiła się po stronie władzy bardzo  
wczesnie, bo niewiele ponad pół roku po pod-  
pisaniu Porozumień; chodzi oczywiście o tzw.

to tylko dlatego, że świadcząc o tym, jak szybko  
niektórzy ludzie, nawet intelektualnie doj-  
rażli i dysponujący niemałym doświadczeniem  
życiowym, potrafili dowieść się do nowej zyn-  
sacji. Ponadto wskazywał na czemuś listem.

Ta polemiczna erupcja była ostatnim  
akordem nadzwyczajnego posiedzenia Rady  
Państwa. Zanim ją zakończymy podsumo-  
waniem prof. Jabłoński. Również spoglądał na  
mnie z tym samym wyrazem, co poprzednio.  
Kazimierz Barcikowski, członek Między-  
uczniowskiego, a więc jeśli chodzi o rangę poli-  
tyczną, najważniejszą osobistość w tym gro-  
nie, nadał nie odczytał się ani jednym słowem.  
Robił jakiegoś rodzaju "Netychizmat" po tym, gdy  
Jabłoński skończył, wstał i szybko wyszedł.  
Wiedziałem, że jako współprzewodniczący Kom-  
isji Wspólnej Przedstawicieli Rządu i Episko-  
patu ma powłóczyć o tym, co wydarzyło się  
w Polsce Kościoła Prymasa i bp. Bronisława  
Dąbrowskiego.

Wstał i my. Krótka wymiana słów-  
kowych, ale nie znaczących. Wątkowi  
byli rozluźnieni, jakby uczestnictwo w tym  
posiedzeniu, które nielegalizowało ich poe-  
zusa, dodało im otuchy i serwilno. Wskazy-  
wał na to, że jeśli któryś z nich je miał.  
Główni przywódcy musieli dodać, że gdy legali się  
ze mną, nie widziałem w ich twarzach wrogoci.  
Pamiętam na mnie raczej z szacunkiem. Powe-  
dziećbym nawet, że niektóre udeślniki dawał były  
możliwe niż przy powitaniu.

O! ciekawym był Radę Państwa, który —  
jak sądzę — trzymał się będą ode mnie z  
daleka, by nie zaczął się na konieczność pod-  
nie mi wki po tym wszystkim, co powiedziałem,  
zachował się, że mojemu zdaniem, inaczej.  
Zganił się ze mną z ostentacyjnie zszarganiem,  
kurtażem. Ale widać od nich chłocim.

Wstałem do "Wolgi", która stała  
w kierunku mojego domu. Jadący wraz ze  
mną oficjownie byli już wyraźnie zmęczeni.  
Wojna była na ulicach znacznie więcej  
niż przed północą. W kilku punktach do-  
strzegłem żołnierzy (głównie) się wki do-  
cielnymi wypalonymi łecem. Byli smutni,  
czuli, że nie mieli poważnie, bez cienia  
zniechęci. Z charakterem gwałtownie uszyli do-  
Warszawa wyglądała upiornie. Jak opusta-  
nie miasto, arupowane przez wroga wnik, z  
którego przed jej wrociemem uciekli wszyscy  
mieszkańcy.

We mnie też była pustka, ale i spój-  
Spogłądałem przez szybę z obywatelami, którzy  
już nie nie mogli uciekać. Wiedziałem, gdzie  
oto koficzy się epoka. Za mną zszargani  
czas, wypalony bez reszty pańa idowa, w  
którym dalem z siebie wszystko, by dochować  
własności sprawie mego narodu. Wielką spra-  
wie, której ta grudniowa noc z pewnością, nie  
udala przekreślić. Zgłanem ten czas, czas So-  
lidarności i legulem siebie, wpływając wki  
daruwa walka ostatnich nocy, tocząca w  
linie porozumienia. Zaczęła się nowa epoka.  
Nie zostało nam nie uszczędnione. Iść schra-  
sły, by dalej żyć?

Ryszard Reiff

\* Poniżej tego fragmentu nocnego posie-  
dzenia w Belwederze wkrótce dopisał Lylec.  
A była to polska bardzo charakterystyczna  
dla metod stosowanych przez kolejne elity  
kierownicze. Odtąd w pigułkę mijały posiedze-  
nia, aż w końcu ja, jak i Władysław Kruczek szan-  
sowali przez Sejm z Rady Państwa. Ja  
za pro-solidarnościowe sympatie, co za to, że  
przez uszy był był przewodniczącym OZZ,  
co w r. 1981 nie stanowiło zbyt dobrej re-  
komendacji dla człowieka tak dostojnego gro-  
nasywał się to elitycznym po aktywności.

Od Redakcji: Tekst Ryszarda Reiffa stanowi  
ostateczny i niezmieniony tekst "CZAS SOLIDARNOSCI".  
W ten sposób po raz pierwszy opublikowana została  
relacja jednego z uczestników pamiętnego posiedzenia  
Rady Państwa z 10 grudnia 1981 r.

Jan Król

## W SPRAWIE PRACY

Ogromna rzesza Polaków nie ma zadowolenia z pracy, bez względu na stanowisko, wykonywany zawód i wiek. Powodów są różne. Ale w większości wypadków znajdują się poza wpływem indywidualnego pracownika na ich wyeliminowanie. Są elementem systemu, struktury, mechanizmów, w których funkcjonuje pojedynczy przedsiębiorca lub przedsiębiorca. Sacryficyjnym celem nowej, powojennej rzeczywistości ustrojowej miało być wyzwolenie człowieka poprzez pracę. Praca miała przynieść zadowolenie, satysfakcję, być czynnikiem osobowościowym, tworzyć odpowiednie warunki życia zarówno pojedynczym ludziom jak i całemu społeczeństwu. Tymczasem w Polsce realnego socjalizmu można zaobserwować proces odwrotny. Praca staje się ciężarem i koniecznością. Przerabiana jest ilość ludzi, stosunkowo młodych, marzących o wcześniejszej rencie lub emeryturze. Na jednego emeryta przypada u nas jeden rencista, gdy w innych krajach rozwiniętych stosunek ten wynosi 2:1. Studenci przesiedlają studia, uważając je za ostatni etap swojej niezależności. Setki tysięcy myślą przynajmniej o czasowym wyjeździe na zachód, aby zarobić na jakiś start życiowy. "Polska praca jest chora". I o ile wyzysk towarzyszy systemom kapitalistycznym, to marionetrawstwo, rozumiane również jako niewykonalność siły, możliwości, talentów ludzi i ich pracy, stało się plagą naszej sytuacji — konstatuje słusznie ks. prof. J. Tischner. Od czego więc zacząć terapię?

Charakterystyczny dla kapitalizmu antagonizm między pracą i kapitałem zastąpiony został w naszych warunkach krytycznym antagonizmem pomiędzy polityką i pracą wynikającym z upaństwowienia kapitału. Kolejne powojenne przesilenia, szczególnie w latach 1956, 1970 i 1980, były próbami zlikwidowania tej sprzeczności przez rozdzielanie sfery polityki i sfery pracy. Praca musi mieć potrzebny jej autonomiczny, aby mogła być wydajna i satysfakcjonująca. Polityka ma za zadanie tworzyć określone warunki pracy — prawodawcze, społeczne, międzynarodowe — nie może jej jednak narzucać swoich reguł, ale może jej zniewalać.

Ludzie nie czują się gospodarzami fabryk, zakładów, przedsiębiorstw. Dbają stosunkowo mało o swoje mieszkania, bo mają poczucie ich własności. To poczucie własności jest ważne. Dlatego tam, gdzie to możliwe — powinno mieć miejsce nadanie własności indywidualnej (handel, usługi, rzemiosło, drobna wytwórczość), gdzie innej uregulowana winna być spółdzielczość. W przypadku wielkich zakładów część danej fabryki mogłaby być własnością państwa, a część własnością załogi i akcjonariuszy.

W ramach chińskiej reformy sekretarski komitetu partyjnego może być współnikiem prywatnego przedsiębiorstwa, np. przewozowego. W Związku Radzieckim, jak donosi ostatnio komunikat z obrad KC KP Kazachstanu, we wspólnym stadnie zwierząt hodowlanych kółchozów i sochozów trzymają własne zwierzęta niemała liczba pracow-

W. Pańków, O normie działania bez przemocy

wypadki bydgoskie z marca 1981 r. Na podstawie pewnych informacji można sądzić, że konsekwencje tych wypadków miały w planach ich inicjatorów wyjść znacznie poza teren jednego regionu; mogły one stać się uverturem do jakiegoś "stanu wyjątkowego" czy "wojennego". Nie stało się tak dlatego, że: 1) była to inicjatywa tylko pewnej części aparatu władzy, i to tała inicjatywa, która napotkała zdecydowany sprzeciw wśród szeregowych członków partii, a przy tym nie została wsparta przez te części aparatu władzy, które dysponowały siłą (wojsko, służba bezpieczeństwa), 2) organizacyjna sprawność "Solidarności" umożliwiła szybką i powszechną akcję protestu niemal wszystkich jej członków, a nawet sympatyków z innych organizacji, w tym również z partii i stronnictw politycznych.

Wszystkie te fakty stanowiły dowód na to, że "jeszcze nie czas" i dlatego kryzys wokółbydgoski skończył się jeszcze jednym "porozumieniem"; władza jeszcze raz się cofnęła na "z góry upatrzone pozycje", zaś Ruch-Związek mógł kontynuować swoje legalne istnienie.

Zarysowany wyżej proces odchodzenia obozu partyjno-rządowego od taktyki "porozumień" na przestrzeni 1981 r., a szczególnie w drugiej jego połowie, był raczej widoczny i trudno uwierzyć, by przywódcy Związku-Ruchu, szczególnie ci, którzy uczestniczyli w coraz mniej udanych negocjacjach ze stroną rządową, nie zauważyli tego procesu. W każdym razie Związek-Ruch nie zmienił w jakimś istotnym stopniu sponobów "gry" ze swoim partnerem, a raczej przeciwnie. Ogólna norma "non-violence" obowiązywała nadal mimo nasilenia się aktów przemocy z drugiej strony, początkowo raczej niezbyt akordynowanych, lecz stopniowo przechodzących w planową akcję. Kulminacją tej eskalacji przemocy w okresie "przedwojennym" była akcja sił represyjnych wobec strajkujących studentów Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarnictwa.

Tymczasem w Związku-Ruchu nadal obowiązywała wiara w skuteczność sposobów działania wypracowanych w Sierpniu; sposoby te stały obejmowały cztery wymienione już wyżej elementy: postulaty — społeczna presja na władzę — negocjacje — porozumienia. Gwoli ścisłości należy jednak stwierdzić, że następowały istotne zmiany w samych tych elementach; szczególnie są one widoczne w drugiej połowie 1981 r.

Przed wszystkim, reszpty postulatów formułowanych przez reprezentantów Związku-Ruchu nabierały coraz bardziej kompleksowego, rzecz można — systemowego charakteru. Kierownictwo "Solidarności" usiłuje skłonić stronę rządową do objęcia negocjacjami i porozumieniami całokształtu zagadnień społecznych, ekonomicznych i, w dużej mierze, politycznych. Znalazło to najpełniejszy wyraz w programie negocjacji opracowanym przez Związek-Ruch w październiku i listopadzie 1981 r. Strona rządowa odnosi się do tych zamierzeń z niechęcią, czemu daje wyraz na wiele sposobów: podejmując szereg bardzo ważnych decyzji (np. dotyczących reformy gospodarczej, cenowej) bez konsultacji czy tym bardziej negocjacji ze związkami zawodowymi, blokując pewne, proponowane przez Związek-Ruch obszary negocjacji, opóźniając podjęcie innych bądź prowadząc je w sposób niedbaly. Latwo można zauważyć, że negocjacje nie są równie poważnie traktowane przez obie strony i że nie ma szans na prawdziwe porozumienie.

Po stronie Związku-Ruchu następuje pewne poszerzenie repertuaru form nacisku społecznego. W drugiej połowie 1981 r. rozpowszechniła się forma ulicznych manifestacji, marszów oraz okupacji budynków publicznych; tę ostatnią formę stosują najczęściej rolnicy — członkowie chłopskich związków zawo-

dowych, którzy raczej nie chcą stosować metod, które w i tak kryzysowej sytuacji mogłyby w jakikolwiek sposób godzić w produkcję czy dystrybucję żywności. Kierownictwo "Solidarności" stara się przy tym — i to skutecznie — wygaszczyć "dzikie", nieskoordynowane strajki w zakładach przemysłowych; między wrześniem a grudniem liczebność pracowników uczestniczących w strajkach obniża się radykalnie, czego stara się nie zauważyć oficjalna propaganda, rozpętlając historię strajkowa. Teraz już widać, że było to psychologiczne przygotowanie "stanu wojennego".

Wygaszanie niekontrolowanych strajków przez kierownictwo Związku-Ruchu nie oznacza jego rezygnacji ze stosowania tej podstawowej, pokojowej broni pracowników i najskuteczniejszej formy presji społecznej. Chodzi tu raczej o jej podporządkowanie nadrzędnym celom i strategii "Solidarności"; chodzi też o to, by uniknąć strajków świadomie prowokowanych przez drugą stronę, w momentach i miejscach dla niej najwygodniejszych. Warto przy tym zaznaczyć, że właśnie jesienią 1981 r. coraz powszechniejsze poparcie zdobywa w "Solidarności" koncepcja tzw. strajku czynnego; ta paradoksalna i wewnętrznie sprzeczna nazwa kryje w sobie formę protestu, która w praktyce oznaczałaby przejęcie kierowania zakładami pracy przez ich załogi zorganizowane w jakiejś formie samorządu, przy czym zarówno produkcja, jak i dystrybucja wymknęłaby się z rąk aparatu gospodarczego. Wprawdzie nie wszystkie załogi były merytorycznie przygotowane do tego typu "strajku", jednakże sam już jego powstanie mocno zaniepokoiło władzę — wytracił bowiem jej z rąk pewne atuty propagandowe, którymi chętnie posługiwała się w odniesieniu do strajku tradycyjnego.

Ograniczając zasięg strajków w jesienią 1981 r. kierownictwo Związku-Ruchu "oblażyło" równocześnie groźbą strajku powszechnego proponowane przez negocjacje i porozumienia o charakterze kompleksowym. Oznaczało to, że w przypadku, gdy nie osiągnie się porozumienia z rządem w okresie 3 miesięcy (licząc od 4 listopada 1981 r. — daty tej decyzji) w kwestiach stanowiących przedmiot zainteresowania Ruchu-Związku, a równocześnie przedmiot proponowanych negocjacji, kierownictwo "Solidarności" rozważy zastosowanie tej formy społecznego nacisku. W tym się zamyka scena owej przygotowywanej "konfrontacji", o której tak wiele mówiła oficjalna propaganda późną jesienią 1981 r. I w pierwszych miesiącach stanu wojennego; rozwój wypadków po 18 grudnia a szczególnie charakter społecznego oporu wykazał, że pojęcie to nie miało żadnej innej treści. Do ostatnich chwil swej legalnej działalności Ruch-Związek konsekwentnie trzymał się normy "non-violence", stosując środki i sposoby działania, które nie sagrażały ludzkiemu życiu i nie narażały na szwank społecznego mienia; ani jeden zaistniał fakt nie podważa powyższej tezy. Monopol przemocy — główna podstawa "państwa socjalistycznego" — został przez to państwo utrzymany w stu procentach; prowadzone przez władzę stanu wojennego po 18 grudnia intensywne poszukiwania nie dostarczyły ani jednego liczącego się dowodu przygotowań Ruchu-Związku do zbrojnego powstania i przejęcia władzy siłą.

Czy ta absolutyzacja normy "non-violence", nie budząca wątpliwości z moralnego punktu widzenia, zasługuje na równie oczywistą aprobatę przy zastosowaniu kryteriów pragmatycznych?

Być może powyższe pytanie należy usnać za bezprzedmiotowe z tej prostej przyczyny, że "brakowało czasu", a więc nie było realnych przesłanek dla wyboru innych środków

I sposobów działania. Wydaje się jednak, że warto się nad nim przez moment zatrzymać, choćby dla oceny rezultatów wyboru dokonanego w Sierpniu — wyboru "nie-silowych" zasad walki o realizację nadrzędnych społecznych wartości. Wśród zasadniczych rezultatów tego wyboru można wymienić:

— szersze i głębsze istnienie niezależnego społeczeństwa obywatelskiego, znaczących m.in. intensywnym rozwojem jego samorządnych i demokratycznych struktur, oraz przemianami społecznej świadomości na miarę Wielkiego Przebudzenia Narodowego;

— rozbudzenie refleksji społecznej, ekonomicznej i politycznej oraz stworzenie pewnego modelu kultury politycznej, obejmującego określone elementy polskiej tradycji politycznej, europejskiej myśli socjalistycznej (niekomunistycznej), liberalnej i chrześcijańskodemokratycznej;

— powzięcie poparcie dla aspiracji, zamierzeń i przedsięwzięć ujawnionych, podjętych i realizowanych przez aktywne grupy i środowiska polskiego społeczeństwa w okresie owych historycznych szeregów miesięcy; chodzi zarówno o poparcie wewnętrzne — tych mniej aktywnych odłamów polskiego społeczeństwa, hierarchii Kościoła katolickiego, a nawet części działaczy i poważnego odłamu członków partii i stronnictw, zauważalnej części funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa i armii — jak i zewnętrzne, tzn. ze strony innych społeczeństw i ich przywódców, szczególnie europejskich, zainteresowanych rozwojem sytuacji w Polsce.

Wszystkie powyższe zjawiska, związane niewątpliwie z charakterem "nie-silowych" metod działania "Solidarności", wychodzą swoim znaczeniem i wpływem daleko poza granice okresu legalnego istnienia tego Związku-Ruchu, a także — w pewnym stopniu — poza granice naszego kraju. Jest rzeczą raczej wątpliwą, by wystąpienie wszystkich tych zjawisk było możliwe przy wyborze innych środków i metod działania, w myśl zasady "cel uświęca środki".

Można oczywiście powiedzieć, że powyższy sposób rozumowania posiada jedną, ale za to zasadniczą wadę: wybrane przez "Solidarność" środki i sposoby działania, oparte na przestrzeganiu normy "non-violence", nie zapewniły osiągnięcia zasadniczych celów, które stawiali przed sobą Związek-Ruch, tzn. zasadniczego przekształcenia systemu, który wciągnął polskie społeczeństwo w niebывалы kryzys, obejmujący wszystkie obszary społecznego życia, na ciele i ekonomika.

Zarzut ten można, jak sądzę, odeprzeć na parę sposobów.

Przede wszystkim, gdyby w Sierpniu wybrano inne, "silowe" sposoby działania, bądź zastosowano je w jakimkolwiek innym momencie, to jest rzeczą wielce wątpliwą, by Związek-Ruch mógł w ogóle zaistnieć, a tym bardziej postawić przed sobą ambitne cele przebudowy systemu organizacji polskiego społeczeństwa.

Po drugie, w okresie owych 18 miesięcy uzyskanych dla Polski dzięki wybranym zasadom działania zrobiono dla przebudowy systemu organizacji polskiego społeczeństwa i tak bardzo wiele; niektórzy sądzą, że zbyt wiele. Nie można było usunąć z tej "stajni Augiasza" w tak krótkim okresie tego wszystkiego, co było w niej gronionione przez dziesiątki lat. Przy tym można zapytać: czy odrodzenie moralno-polityczne, które stało się udziałem milionów Polaków, szczególnie młodych, między Sierpniem a grudniem 1981 r., i którego rezultaty wybiegają daleko poza ten okres, byłoby możliwe przy wyborze innych zasad działania. Wiele

przykładów z bliższej i dalszej przeszłości świadczą o groźbie "zdeklarowania" ludzi uczestniczących w przewrotach przeprowadzanych z zastosowaniem siły.

Po trzecie, nawet ten regres, którego jesteśmy uczestnikami i świadkami po 13 grudnia 1981 r., mógłby być o wiele głębszy, gdyby społeczeństwo polskie zrezygnowało z przestrzegania normy-wartości "non-violence" i związanych z nią metod biernego oporu. To, że władza, która "zadekretowała" w grudniu 1981 r. wojnę przeciwko polskiemu społeczeństwu, stara się przestrzec pewnych elementów humanitarnych zasad rzadko stosowanych w państwach nazywających siebie "socjalistycznymi", również w poważnym stopniu związane jest z charakterem środków i sposobów działania stosowanych przez członków Związku-Ruchu "Solidarność" zarówno przed 13 grudnia, jak i po tej dacie. To "samoochronienie się" polskiej kontrrewolucji i jej względnie bezkrwawy charakter — wyrażający się w rezygnacji z fizycznej eliminacji politycznych przeciwników — umożliwiła zachowanie "tkanki społecznej" i politycznego potencjału polskiego społeczeństwa. W żadnym wypadku nie jest to sprawa obojętna dla kierunków dalszej ewolucji sytuacji w naszym kraju i szans zasadniczej przebudowy systemu organizacji polskiego społeczeństwa.

Dwa, przywołane już wyżej, historyczne przykłady skuteczności działań zgodnych z normą "non-violence" — gandhizmu oraz ruchu w obronę praw Murzynów amerykańskich pod przewodnictwem M.L. Kinga — pokazują, że zanim przyniosą one zamierzone rezultaty, wymagają dziesiątków lat wysiłków i ludzkich ofiar; dowodem tego jest m.in. los przywódców tych ruchów. Tym, którzy kwestionują wartość doświadczeń płynących z losów wspomnianych ruchów dla naszej sytuacji — bo ich polityczne otoczenie miało względnie liberalny charakter — można odpowiedzieć pytaniem: kto wie, czy w odniesieniu do istniejącego u nas systemu, który z liberalizmem ma niewiele wspólnego, właśnie sposoby działania oparte na normie "non-violence" nie okazały się jedynie skuteczne? Sprawa decydująca może się okazać powaschność, konsekwencja i wytrwałość różnych odłamów społeczeństwa w stosowaniu rozmaitych form biernego oporu.

Zresztą, orientacja polskiej opozycji politycznej na "nie-silowe" sposoby działania wydaje się w poważnym stopniu określona przez wpływ jednego z zasadniczych czynników polskiej sceny publicznej: Kościoła katolickiego, w chwili obecnej i w najbliższym okresie — nie tylko polskiego. Wszelkie oddolne działania społeczne zmierzające do przekształcenia systemu organizacji polskiego społeczeństwa muszą brać pod uwagę wpływ tej instytucji na polskie życie polityczne, a także szukać jej poparcia dla planowanych przedsięwzięć. Jest rzeczą raczej oczywistą, że zaleg tego poparcia uzależniony jest i będzie przez charakter środków i sposobów stosowanych celem przekształcenia społecznej rzeczywistości. Fakt ten może sprzyjać eliminacji takich form protestu i nacisku społecznego, które uprzedzone są z głównymi zasadami etyki chrześcijańskiej. "Spełnia się" tu kolejny "polski" paradoks: zasady wypracowane i upowszechnione przez religię chrześcijańską chronią przed społecznym gniewem i społeczną przemocą tych, którzy wielokrotnie swoimi działaniami godali w instytucję religii. Nie jest jednak rzeczą pewną, czy wszystkie orientacje składające się na obecną i przyszłą polską opozycję dobrowolnie przyjmą ograniczenia generowane przez powyższy paradoksalny układ.

Włodzisław Pańków

ników aparatu partyjnego i rad terenowych, związków zawodowych, przedstawicieli prokuratury, sądownictwa i milicji. Mimo 70 lat "budownictwa socjalistycznego" Instytut posiadania na własność nie został zabity.

Urealnienie własności kapitału poprzez powiązanie go z pracą i powołanie do życia organizmów podrelnych o celach gospodarczych, społecznych i kulturalnych, które czerpałyby się rzeczywistą autonomią w stosunku do władz publicznych, byłoby wyjściem na przeciw idei Jana Pawła II zarysowanej w encyklice "Laborem exercens". Posiadanie, nie służąc pracy, a nie na odwrót. Prawo, a dyktando i podstawowe do sawnasczania, nie tylko ten, który jest w stanie dać im wartość przez pracę" — stwierdza ks. prof. J. Majka. I jest to droga do rzeczywistego uspołecznienia własności i usensownienia pracy.

Inny problem to szeroko rozumiana organizacja pracy. W Polsce istnieje 1,2 miliona stanowisk kierowniczych (od majstra do premera). 900 tys. tych stanowisk, a więc 75% (w tym 80% dyrektorów przedsiębiorstw) obsadzonych jest przez członków PZPR. Natomiast 250 tys. stanowisk objętych jest tzw. nomenklaturą — czyli pozostawianiem tych stanowisk w gestii odpowiedniej instancji partyjnej. Idąc tym tropem należałoby powiedzieć, że Polska ma nieodpowiednich kierowników organizujących pracę. Istniejący system powoływała i odwoływała ludzi z kierowniczych stanowisk nie daje żadnych gwarancji wysuwania najlepszych, od majstra do premera, mówię, że w zasadzie to od nich też niewiele zależy. Tak przynajmniej tłumaczyło się kilku premierów, tak np. mówi obecny dyrektor naczelny Fabryki Samochodów Osobowych w Warszawie sapytywany o plany rozwojowe fabryki. Tak mówią setki i tysiące innych. Pojawia się jakiś bezosobowy twór w postaci uchwał, planów, układów, wyższych racji w obliczu których ginie problem przyszłowości uszczelki i w obliczu których zanika odpowiedzialność poszczególnego kierownika. Dodatkowo szef każdej placówki obwarowany jest tyngciem biurokratycznych przepisów, zarządzeń, ustaw i dyrektyw ograniczających go. Nakłada się na to stanowisko komórek partyjnej, szeregów czy ministerstwa. Na takiego kierownika nakierowanych jest dziesiątki organów kontrolnych (słód dni, w których przedsiębiorstwo jest kontrolowane dochodzi nawet do ponad 200 w ciągu roku). Jak z tym pracować?

Jest i inna przyczyna zlej, beznasownej, mało wydajnej pracy. Jest nią brak mechanizmu wymuszającego "dobrą robotę" i szacunek dla pracy u pracobiorców. Obowiązująca doktryna o przodującej roli klasy robotniczej postawiła na głowie rolę szefa — podwładny. Kto kim rzadzi? — powstaje zbyt często pytanie. Robotnik aszem czy szef robotnikiem? W wielu wypadkach szef staje się niejako zakładnikiem robotnika. Tutaj ma także swoje źródło zachwianie właściwego stosunku na styku obywatel — urzędnik, czy konsument — producent. Te społeczeństwa obsługują wysoką wydajność, które nie były i nadal nie są wolne od przymusu rzetelnej pracy. Musi to być przymus ekonomiczny i organizacyjny.

Powtarzam sobie: autonomia — własność — organizacja. Jakikolwiek nie byłby to etap reformy, bez rozwiązania tych spraw nie się w Polsce nie zmienić. Co jest własnością barłanym, jak i samo życie.

Jan Król

Sprawę społeczną Kościół zajmuje się już od przeszło 190 lat, od encykliki Leona XIII o kwestii robotniczej, ale wiadome jest to zwłaszcza w ostatnich pontyfikatach. Sprawy społeczne urosły dzięki do rangi zasadniczego problemu współczesności. Wpływa na to i fakt szybkiego rozwoju społecznego, i konieczność rozwiązania między życiem i pracą, a jednocześnie narastające konflikty, które z życia społecznego wypływają, i dlatego od trzech ostatnich pontyfikatów, Jan XXIII, Paweł VI i Jan Paweł II (jeśli nie liczyć Jana Pawła I) stałe poruszają zagadnienia społeczne w swoich encyklikach czy innych wypowiedziach. I tak encyklika Jana Pawła II "Sollicitudo rei socialis" — mówiąca o społecznej trosce Kościoła — podejmuje zagadnienie całego dzisiejszego rozwoju — tak jak wygląda ono na Wschodzie i na Zachodzie. Spośród wszystkich problemów, które omawia Ojciec Święty, dwa zwłaszcza potraktujemy bardziej szczegółowo, mianowicie państwo i kwestia społecznej odpowiedzialności, powożąc sprawy społecznej, i jej niepełny, niewłaściwy obraz rozwoju.

Najbardziej to ukazało się w dwadziestolecie alijanej encykliki Pawła VI "Populorum progressio" — "o postępie ludzkości", co symbolicznie potwierdza ciągłość społecznej troski Kościoła, a zarazem potrzebę nowego ukształtowania nowych, pojawiających się czy narastających problemów. W rozdziale podsumowującym całość Ojciec Święty mówi "Nasze zadanie i odpowiedzialność ludzi społecznej wspólnoty w zakresie ewangelizacyjnej troski Kościoła. Kościół nie może nie podejmować tych zagadnień społecznych, które dotyczą i jego posłannictwa".

Dlatego i z jakiego punktu widzenia Kościół zajmuje się zagadnieniami społecznymi? Ojciec Święty nie przedstawia jakiegoś konkretnego programu społecznego, a tylko ukazuje ogólne zasady, według których powinna rozwijać się sprawa społeczna. Kościół ma uczyć moralności, to należy ściśle do zadań Kościoła — bo moralność jest zawsze związana z Bogiem, a jej polny sens i ukształtowanie znajduje odpowiedź tylko w Bogu i w nieomylnej Boga sprawiedliwości kierującej system ludzkiej i doczesnej, i wiecznej w sferze indywidualnej i w sferze życia społecznego; a ponieważ dzisiaj problemy społeczne narastają coraz bardziej, więc narodziła i troska ewangelizacyjna Kościoła o sprawy społeczne.

I druga sprawa, którą podkreśla Ojciec Święty: Kościół ma dbać o człowieka. Ma bronić człowieka. Przeciw zadaniu Chrystusa polepna na tym, by przywrócić światu wyswolenie od niego; Chrystus zawsze troszczył się o człowieka, o jego dobro, o jego prawa, o jego nieustanną odnowę, podniesienie. I szczególnie w dzisiejszych czasach, gdy człowiek niegdyś różnym prądom, gdy był wykorzystywany, manipulowany — i to w różnorodni sposób, niemał poprzez środki przemocy, uśmierzające całkowicie człowieka poczucie odpowiedzialności. Dlatego drugim polem działania Kościoła jest człowiek, jego dobro, jego władzy rozwój. I właśnie te dwie dziedzin — sprawy moralne oraz władzy dobro człowieka i jego polny rozwój, obrosła przed wszelkim słowem, które ma służyć — nakładają do zadań Kościoła w jego społecznej nauce.

Przejdźmy teraz do przedstawionej przez Ojca Świętego panoramy świata "współczesnego. W związku z zagadnieniami społecznymi Ojciec Święty stwierdza, że niedzielną na powagę rozwoju wydają się dzisiaj bardziej daleko od umiarkowania. Zanim dawa

optymizm, wiara w przemianę świata, która miała przynieść dobro wszystkim ludziom. Również na Zachodzie, gdzie rozwój ekonomiczny doszedł do szczytu potęgi, pojawia się szereg problemów, które wskazują, że coś jest nie w porządku nawet w świecie tak bogatym. Coraz więcej jest agresji, coraz więcej lęku i zagrożenia człowieka. To prawda — mówi Papiś — że różna lukrytywy w celach rozwoju nie były całkiem czerpane. Ale w ogólnych zarysach sytuacja świata z punktu widzenia rozwoju daje wrażenie raczej negatywne: nie doprowadza do właściwego celu i nie czyni ludzkości szczęśliwą. Mimo dążeń do wszechstronnego rozwoju, przedział między

KS. DR WŁADYSŁAW MACHOLEK  
O ENCYKLICE  
"SOLICITUDO REI SOCIALIS"

krajami bogatymi i biednymi, między rozwiniętą Północą a zaniedbanym Południem wciąż się nie zmniejsza. Co gorsza, w krajach poludniowych zdają często jeszcze się pogłębiać, a i w krajach bogatych, rozwiniętych różnica między bogactwem a biedą pogłębia się. Dochodzą do tego czynnik niedorozwoju w dziedzinie kulturowej i społeczno-politycznej. Przykładem może być analfabetyzm, który w niektórych krajach osiąga 80% ludności i niekiedy nie maleje, a nawet pogłębia — tam zwłaszcza, gdzie występują trudności politycznego czy ekonomicznego rozwoju.

Też występuje dziś form wyzysku czy ucisku ekonomicznego, społecznego, politycznego, religijnego. Nie mniej tego rozwój któregoś kraju, nie zmienia przedsięwzięcia różnego rodzaju rządów czy grup. Zwłaszcza, że tak dojmującego — jak pisał Ojciec Święty — ograniczanie się prawa człowieka do lukrytywy gospodarczej, które są tak ważne nie tylko dla jednostki, ale także dla dobra wspólnego. Doświadczenie wykazuje, że narogowanie tego prawa i jego ograniczanie w imię rzekomej równości wszystkich w społeczeństwie faktycznie niweluje i więcej niszczy przedsiębiorczość, czyli tworzą podmiotowość obywatela. W rezultacie kształtuje się w ten sposób nie tyle równość, ile równanie w dół. Zamiast twórczej lukrytywy rodzi się bierność, zależność i podporządkowanie wobec biurokratycznego aparatu, który jako jedyny dysponuje i decyduje, jeśli nie wręcz posiada ogólny dobry wytwórczy, stawia wszystkie w pozycji malej lub bardziej głębokiej zależności. Stąd rodzi się poczucie frustracji czy bezradności. A także brak zaangażowania w życie narodowe, skłonność do emigracji, choćby tzw. emigracji wewnętrznej. Taki kraj — mówi dalej Papiś — ma swoje konsekwencje również w odniesieniu do praw państwowych narodów. Często bowiem zdarza się, że naród zostaje również pozbawiony swej podmiotowości, odpowiedzialnej mu suwerenności w znaczeniu ekonomicznym, politycznym i kulturalnym, gdyż wszystkie te wymiary życia we wspólnotę narodową są ze sobą powiązane. Ponadto należy podkreślić, że żadna grupa społeczna, np. partia, nie ma prawa usurpować sobie roli jedynego przewodnika. Nikt nie powinien stać się, podobnie jak w przypadku każdego totalizmu, władcą prawdziwej podmiotowości społeczeństwa oraz innych ludzi, obywateli. O człowiek i naród — poniamo

wszystkich deklaracji i werbalnych zapewnień — staje się w tego rodzaju systemie słuszym innym jak tylko przedmiotem.

Trzeba w tym punkcie dodać — mówi Ojciec Święty — że w dzisiejszym świecie istnieje wiele innych jeszcze form ucisku. W istocie bowiem cały regowale lub ograniczanie praw — np. prawa do wolności religijnej, prawa do udziału w budowaniu społeczeństwa, swobody zrzeszania się czy tworzenia związków zawodowych, a także podejmowania inicjatyw w sferach ekonomicznych — nie uzbęda osoby ludzkiej tak samo, jeśli nie bardziej, niż pozbawienie jej dóbr materialnych? A czy rozwój, który nie bierze pod uwagę pełnego potwierdzenia tych praw jest naprawdę rozwojem na miarę człowieka? Długo wciąż pod uwagę kryteria materialne, który powstaje i na Wschodzie i na Zachodzie, a zwłaszcza u nas — szczególnie na skutek urbanizacji społeczeństwa, naciska do miast, ale i na skutek różnej niewydolności budowania mieszkań. Następnie Ojciec Święty porusza sprawę bezrobocia. Bezrobocie, którym na świecie dotknięty jest kilkudziesiąt milionów ludzi. Zarządzają, że nie chodzi tutaj tylko o brak środków do życia. W krajach rozwiniętych zasłki dla bezrobotnych są bardzo wysokie. Znam Polkę mieszającą w Stanach Zjednoczonych, która idzie do prac na rok, potem swabła się; jako bezrobotna dostaje zasłki w wysokości 800 dolarów; przyjechała do Polski, gdzie udaje "wieloletnią", żonę jakiegoś wielkiego fabrykanta, podczas gdy jest swyczajną bezrobotną, która dzięki korzystnej wymianie dolarów na złotówki żyje jak hrabina.

Ale chodzi o co innego o człowieka, który nie może znaleźć pracy albo nie może znaleźć pracy w swoim zawodzie, więc szuka się niepotrzebny, ubdny, sfrustrowany. Co ma tym większe znaczenie, że warunki dzisiejszego życia, pod życia, znacznie osłabiły odporność psychiczną człowieka. I to wszędzie, na całym świecie.

Następnie Ojciec Święty wskazuje na kwestię zadłużenia międzynarodowych. Kwestia nie tylko w tym, że są one obrymne, ale też w tym, że polityczne pieniądze często nie zostają użyte na właściwy cel, lecz dla zaspokojenia dorocznych potrzeb. Dlatego potem trudno je spłacić, przychodzą procenty, które obciążają bardzo gospodarkę narodową, jak to się dzieje u nas; jednym z powodów naszego kryzysu są te zobowiązania zadłużenia, których procentów nawet nie jesteśmy w stanie w całości spłacać. Ojciec Święty powołuje się na to, że Komisja "Justicia et Pax" wydała dokument na ten temat, który wskazuje na niebezpieczeństwa, jakie powstają dla całej kwestii społecznej i ekonomicznej, i sąda rewizji tej sytuacji w duchu ułatwienia czy darowania spłat, żeby nie pogłębiać się przepaść między krajami bogatymi i biednymi.

Ojciec Święty zaznacza, że rozwój nie jest — jak niektórzy sądzą — procesem przebiegającym po liniach prostych — jakby automatycznie i w sposób nieograniczony, zdążający do nieokreślonej doskonałości. Sam parzysm czasu międzywojennego, kiedy się wydawało, że świat rozwija i zasobów świata jest nieograniczona. Gdy się wówczas czytało historię czy słowa Chrystusa o końcu świata, brzmiało to jak fantazja. A przecież dzisiaj nasz świat jest zagrożony w swoim istnieniu — zagrożony nie tylko przez ewentualną wojnę z użyciem broni atomowej, ale i przez cały dzisiejszy rozwój, który niszczy drodowika życia ludzkiego. Rozwój, który w sferze ekonomiczno-społecznej musi obecnie zostać poważnie skwestionowany. Coraz więcej się mówi, że

współczesny kierunek rozwoju prowadzi nie do szczęścia, a raczej do katastrofy. Miejscę naukowego optymizmu mechanistycznego zajął uszczuplony niepokój o los ludzkości. Zdaniem Ojca Świętego, koncepcja ekonomiczna rozwoju przeżywa obecnie kryzys. Dalej szarą rozwijowi przypisano jednostronnie tylko wartości ekonomiczne, podczas gdy daliśmy wiadomo, że samo nagromadzenie dóbr i usług — choćby z korzyścią dla pewnej liczby ludzi czy nawet większości — nie wystarcza dla urzeczywistnienia ludzkiego szczęścia.

I druga jeszcze sprawa: rozwój dziełszej nauki i techniki, łączenie z informatyką, nie przynosił nam w sobie wyzwolenia człowieka spod wszelkiego rodzaju uzależnienia, a nawet pod pewnymi względami przynosił jego niewolnicę. Doświadczenie niedawnych lat uczy, że jeśli cała wielka masa zasobów i możliwości oddana do dyspozycji człowieka nie jest kierowana zmysłem moralnym, nie jest skierowana na prawdziwe dobro człowieka, łatwo obraca się przeciwko człowiekowi, łatwo go niewoli. A więc znów — jak podkreśla Ojciec Święty — nie sposób wyobrazić sobie moralności, bez istnienia zasad moralnych rozwoju i bez względu na dobro człowieka. Istnieje bowiem grzech niedorozwoju, ale też istnieje grzech "nadorozwoju", "Nadorozwój" oddaje nadmierną rozporządzalność wszelkiego typu dóbr materialnych w ręce niektórych warstw społecznych. I to gromadzenie dóbr, stale ich pomnażanie, sprawia, że trzeba odrzucić to, co stare, wszystko musi być nowocześniejsze, przemieniając ludzi w niewolników posiadania i natychmiastowego zadowolenia, nie widzących innego korzyści, jak tylko mnożenie dóbr już posiadanych lub stale zastępowanie ich innymi, jeszcze doskonalszymi. Jest to racja materializmu budowanego na radykalnym nihilizmie. I tutaj Oj-

ciec Święty przypomina, że dla dobra człowieka i całej społeczności, całej ludzkości, musi być uwzględniona ta racja, którą często powtarzał Paweł VI: "być" musi wyprzedzać "mieć". Nie posiadanie ma być najwyższą wartością, ale życie człowiekiem, dobrym człowiekiem; jeżeli to człowiek będzie na pierwszym miejscu, wówczas i "mieć" uzyska odpowiedni znaczenie.

Ojciec Święty uważa, że to nie są dwie odrębne rzeczy, które się sobie przeciwstawia. Człowiek przecież powinien dysponować odpowiednią liczbą dóbr do życia i rozwoju, ale trzeba też pamiętać, że wszystko to ma prowadzić do Jego ulepszenia, do Jego "być". Sam rozwój — mówi Ojciec Święty — jest nadaniem człowieka wprost wybitnym i Planu Świętego. Sam opis stworzenia świata i człowieka i oddania mu świata, czyli człowieka odpowiedzialnym za rozwój świata, ale też posiadania, panowanie nad nim i użycie musi być podporządkowane wyższej sferze człowieka, jego podobieństwu do Boga oraz powołaniu do nieśmiertelności, stanowiącym kryterium transcendentnej osoby ludzkiej. Z tak pojętego rozwoju wynika także obowiązek niesienia nęgi cierpiącym nędze, bliskim czy dalekim, nie tylko a tego, co zbywa, ale też posiadanie, panowanie nad tym i użycie. I oto konkluzja Ojca Świętego: rozwój ograniczony tylko do dalszego gospodarczego jest wewnątrznie sprzeczny — hitwo podporządkowane osobie ludzkiej, jej najbliższe potrzeby wymogom planowania gospodarczego lub samego tylko systemu. Jest tak i na Zachodzie, i u nas. Na Zachodzie ze względu na rynek, kapital, a u nas — również ze względu na potrzeby systemu, ideologii. Wewnątrznie związek pomiędzy prawdziwym rozwojem i poszanowaniem praw człowieka ras jeszcze ujawala jego

charakter moralny: prawdziwego wyniesienia człowieka, zgodnie z jego naturą i historycznym powołaniem. I ten prawdziwy rozwój na niemię wymogów wiódłowych może ludzkości zakładać tym świadomości wartości praw wszystkich i każdego z osobna. A także konieczność poszanowania przynależącego każdemu prawa do pełnego korzystania z dobrodziejstw nauki i techniki.

I wątek już ostatni: moralny charakter rozwoju odnosi się także do całej natury obywatela i nieobywatela, bo — jak mówi Ojciec Święty — nie można używać zdolności naturalnych, rozumu i wolności w sposób dowolny, jedynie ze względu na nieodkowne potrzeby gospodarcze. Przeciwnie, należy brać pod uwagę naturę wszystkich bytów oraz ich wzajemne powiązania w uporządkowanym systemie. Ojciec Święty przypomina, że greckie słowo "kosmos" oznacza całość uporządkowanego ładu. I dlatego niesłuszne jest uprzywilejowanie gospodarczego punktu widzenia: ile ja z tego mogę wyciągnąć? A dalej wskazuje na to, co stwierdził Raport Rzymski: niepokojące wyczerpywanie się niektórych zasobów naturalnych, których odpowiedź się nie da, i zanikanie środowiska naturalnego, które grozi katastrofą, wspólnotowy odpowiedzialność człowieka za sprawy społeczne.

Ostatnia encyklika ubiśnie te wszystkie zagadnienia w odwołaniu do całości świata, ale szereg s nich jest i naszym szczególnym problemem, choćby zanleczymy środowiska, podmiotowość człowieka w środowisku społecznej i gospodarczej, a także wiele innych. Wszystkie one muszą być rozwijywane na drodze starań o rozwój społeczny i gospodarczy poprzez uwzględnianie i zasad moralnych, i dobra człowieka.

Ka. by Władysław A. Iniekt

Może warto zacząć od określenia, co uważam za przemiany pozytywne i negatywne. Przemiany pozytywne to te, które zwiększają jakość życia i sprawiają, że ma ono sens (także w tym, co w życiu jednostek jest społeczne, związane ze sprawami zbiorowości). Przemiany, które uważam za pozytywne, zmniejszają podporządkowanie człowieka państwu, zwiększają podmiotowość i różnorodność, efektywność gospodarki i jej dostosowanie do potrzeb ludzi.

Czynnik przemian negatywnych są dość stale i wplerają się wzajemnie. Należą do nich władzności ustroju, także jak centralizacja i władza grupy, nie kontrolowanej przez nikogo, a dążącej do kontrolowania wszystkiego, akceptacja podporządkowania politycznego i uzależnienia sewnętrznego, zacofanie i sia organizacja gospodarki, zaniedbanie usług i uprzywilejowanie anachronicznych gałęzi przemysłu, wybranych z przyczyn sewnętrnych, doktrynalnych i militarnych. Są też czynniki psychologiczne — wśród nich zalechcenie, czasem strach, przekonanie o nieskuteczności działań własnych i o tym, że państwo i władza powinny zajmować się niemal wszystkim.

Wśród czynników przemian pozytywnych widzę niezależność i wartość kultury przekazywane przez tradycje i wychowanie. Wykastakone w ostatnich latach niezależne działania, porozumienia i instytucje. Zasada "z własnego prawa bierz nadania" okazała się skuteczną metodą zmian, zwłaszcza gdy terror nie jest znany, a porozumienia społeczne nie są rozbite.

### Rola katolicyzmu

Jeśli mówi się o "katolicyzmie Polaków", chodzi o przekonania, postawy, wierzenia, motywacje. W religiach, w chrześcijaństwie, a w tym — w katolicyzmie zawarte są przekonania moralne, sądy o tym, co dobre i złe. Trudno, by takie przekonania mogły się wykorzystać, ale je ograniczają.

## JAKUB KARPIŃSKI

### Uwagi o czynnikach przemian społecznych w Polsce

Przekonanom pomaga Kościół jako struktura, organizacja, instytucja, która nauca, piętuję, bierze w obronę. Kościół katolicki w Polsce potrafi utrzymać znaczącą niezależność od władz państwowo-partyjnych (co nie było łatwe i nie we wszystkich krajach się udało).

Encykliki społeczne papieży mówią o ograniczeniu roli państwa i zalecają, by państwo nie podejmowało działań, którymi mogą sprostać zbiorowości niższego rzędu. Pamięć o tych sformulowaniach może sprzyjać porozumieniom i działaniom niezależnym.

Trudno, by Kościół jako instytucja wyrczał państwo i podejmował wszelkie działania gospodarcze i kulturalne. Podejmuje się je niekiedy pod opieką Kościoła, ale często i poza Kościołem (jako instytucja), choć z motywacji religijnych lub choćby z pamięcią o wskazaniach religij.

### Co zostało z "Solidarności"

Niektórzy nie tracą się o dokładne rozgranżenie "Solidarności" i wszelkiego rodzaju opozycji, która często ma jakiś związek z "Solidarnością", używa jej nazwy i powołuje się na jej tradycje.

Podstawowe idee "Solidarności" są utrwalone w jej nazwie; są to: niezależność, samorządność i solidarność. Te idee są żywe i podtrzymywane dość powszechnie. Pozostały z "Solidarności" elementy organizacji i porozumień, "struktury", nieco obecnie rozchylane i niekiedy powiązane w sposób niejasny (co ma też dobre strony), pozostało — kłopot praktycznie — przywiązanie do "Solidarności" w

Polsce i jej dobre imię; za granicą (które od czasu stanu wojennego można było — jak się zdaje — lepiej dla "aprawy polskiej" wykorzystać).

"Solidarność" często chciała być legalną opozycją, a to jest połączenie, które w ustroju komunistycznym trudno zrealizować. Co legalne, przestało być opozycją; jest ulaszona lub przyawajane.

W tradycji "Solidarności" mówilo się zwykle o potrzebie porozumienia, negocjacji, legalności. Jest to sfera dążeń i skłórczeń obca niektórym działaniom opozycyjnym i traktowana jako złudzenie. Wybiera się wtedy niezależność, samorządność i solidarność, bez pytania władz o pozwolenie i nie starając się z nimi porozumiewać.

"Solidarność" dbała o obronę pracowników. Jednak poważność upaństwowienia sprawia, że państwo jest nie tylko pracodawcą, ale jednocześnie wychowawcą, nauczycielem, sprzedawcą, polkijantem i sędzią, autorem artykułów i reportażów telewizyjnych. Stąd wazachronność "Solidarności", łączącej cechy związku zawodowego, ruchu obrony praw człowieka, przedawizję dawniejszego i kulturalno-odwiatowego. Obecnie na tę wazachronność nakłada się — ugruntowana w stanie wojennym i później — specyficznie i srdnicowanie.

"Solidarność" ukształtowała różne, deleżące się tradycje rozwijywania własnych spraw wewnętrznych i kontaktów z ugrupowaniami niezależnymi. Dbano w niej o więcej lub mniej demokracji, o większą lub mniejszą tajemność przy podejmowaniu podstawowych decyzji, o więcej lub mniej centralizacji, jednoci i podporządkowania. Te sprawy rozstrzyga się do dziś rozmaicie. Wydaje się jednak, że usunie i stronięcie zalet różnorodności różnie, nawet wśród poprzednio nieprzekonanych i opornych.

Jakub Karpiński

Jarosław Raszewski

## O ARYSTOKRACJI ROBOTNICZEJ

Dla kilku pokoleń wysławców "ideal postępu cywilizacyjnego" Anglia — ów "warsztat świata" — stanowiła wzór i natchnienie. Nie było chyba polemiki prasowej dotyczącej rozwoju społeczeństw przemysłowych, w której nie powoływano by się na przykład tego kraju. Szczególnie wtedy, gdy liberalna koncepcja postępu zdawała się zagrożona, gdy konflikty społeczne i polityczne, anachroniczna polityka władzy odbierały nadzieję na ewolucyjną przeobrażenie struktury społecznej, dobrze było popatrzeć na Zachód. Takie spojrzenie zapawało otuchę. Jeśli innym powiodło się, dlaczego nie miałoby się powieść i nam?

Po wielkich i krwawych konfliktach społecznych, które miały miejsce na Wyspach w pierwszej połowie XIX w. (luddyzm, czartyzm), następują lata spokoju. Konflikt pomiędzy "pracą a kapitałem" rozstrzygnięty nie na barykadach, ale w zaciszu fabrycznego kantoru. Oferowane przez pracodawców warunki okazały się na tyle krocne czy wręcz atrakcyjne, że masowe wystąpienia zamary aż do końca lat osiemdziesiątych. W historii społecznej Wielkiej Brytanii władca wyraża lukę pokoleniową pomiędzy socjalizmem Owena a tryw. odrodzeniem socjalizmu przy końcu stulecia. Nie znaczy to, że nie się w tym czasie nie działo. Dość często spotykana, a błędna, opinia głosząca, że warto zajmować się tylko "momentami przelomowymi", skrajnie upraszcza obraz rzeczywistości społecznej. Owszem, warto, a nawet trzeba analizować punkty zwrotne naszej historii (choćby po to, aby stwierdzić, że wiele przelomów nie były), ale nie należy pomijać okresów spokoju, kiedy w szarej na posór codzienności ludzki i narody kształtowani są przez siły, o których, tak naprawdę, bardzo niewiele wiemy.

Przypatrzymy się zatem Anglii w "cichych" okresach jej historii. Stan społeczeństwa brytyjskiego w początkach XIX w. wyraźnie różni się od tego, co działo się na kontynencie. Występują tu bowiem trzy podstawowe klasy: właściciele ziemscy, burżuazja i szeroko pojmowany "świat pracy", który wchłonił tak ważne dla kontynentalnej struktury społecznej tzw. niższe warstwy mieszkalic. Może o tym świadczyć fakt, że pojęcia szarych wiazane z rzemiosłem, ze strukturą cechową, tak ważną np. w Niemczech czy we Francji, w Anglii służyły opisywaniu struktury klasy robotniczej. "Rzemieślnik" czy "czeladnik" to terminy, które dla mieszkańca Wysp od lat czterdziestych XIX w. nieodmiennie oznaczały wykwalifikowanego robotnika. Dopiero schyłek stulecia przyniósł wydarzenia obnażające istotne zmiany w strukturze społecznej Wielkiej Brytanii.

Jakże to fenomen spowodował zejście na dalszy plan warstw, bez których nie bardzo możemy wyobrazić sobie funkcjonowanie społeczeństwa, choćby odległego o kilka pokoleń?

Śledźmy w głąb struktury klasy robotniczej. Już pierwsze spojrzenie ujawnia, jak bardzo jest zróżnicowana. Od homogenicznej masy proletariatu wyraźnie oddelna się warstwa wyższa — lepiej płatna, lepiej traktowana, politycznie umiarkowana i na ogół uważana za "godną szacunku". Współcześni nadali jej miano "arystokracji", chcąc ją zarzewowaną dla najwyższych kręgów społecznych nazwą podkreślić dystans, jaki w ich oczach dzielił wykwalifikowanych robotników od reszty świata pracy.

Co wpłynęło na odrębność tej warstwy? Jak zwykle przy tego rodzaju rozważaniach, natrafiamy na cały splot czynników. Zaczniemy

od najważniejszych. Pierwszy wyróżnik to, wspomniane już, kwalifikacje. Ale umiejętności niezbędne do wykonywania zawodu same w sobie nie mogą jeszcze tłumaczyć. Przeciwnie, najsprawniejszego nawet robotnika można zastąpić jeszcze sprawniejszą maszyną. Ale od lat czterdziestych do dziewięćdziesiątych, a w wielu branżach do I wojny światowej, potęgą przemysłowa Wielkiej Brytanii oparta była na funkcjonowaniu wielkiej liczby stosunkowo małych zakładów, a niewielki udział maszyn w produkcji wyrównywały wysokie kwalifikacje siły roboczej. Zastępowały umiejętności ludzkie prostymi w obsłudze, a zatem skomplikowanymi w budowie i drogimi mechanizmami było przedsięwzięciem nieopłacalnym i ryzykownym. Osobok właściciela przedsiębiorstwa — przypominającego raczej duży warsztat niż fabrykę — nie było stać na taki wydatek. Na rynku pracy zaś popyt na specjalistów przewyższał podaż. "Fabryczni rzemieślnicy" byli w cenie. Musiało to wpłynąć na poziom i regularność zarobków oraz perspektywy bezpieczeństwa społecznego. Niełatwo bowiem przychodziło przedsiębiorcy zwolnić, powiedzmy, mechanika obsługującego maszynę parową, jeśli wiedział, że na jego miejsce może nie znaleźć następcy, zwłaszcza takiego, który zgodziłby się pracować za niższą od przyjętej stawkę. Zresztą kto chciałby mieć do czynienia ze związkami zawodowymi? I tu przechodzimy do następnej sprawy. Wysoki stopień organizacji "arystokracji robotniczej" decydował o jej sile w pertraktacjach z pracodawcami. Związek walczył o poziom wynagrodzenia, co więcej, na wzór cechów regulamentował podaż wykwalifikowanej siły roboczej.

Polityka społeczna "arystokracji robotniczej" wynikała nie tylko z lepszych warunków

zarabkowania. Był to czynnik niesmiernie ważny, od niego zależał bowiem poziom i styl życia, ale sam przez się nie decydował o poczuciu odrębności grupy. Świadomość wyższości umacniał i konserwował związek zawodowy. Prowadząc celową politykę zatrudnienia, ograniczając możliwość uzyskania kwalifikacji, które w owych czasach zdobywano w sposób nieformalizowany, na polu rzemieślniczym — poprzez praktykę — związek nie dopuszczał do rozpowszechnienia się wśród mas jednego z najważniejszych atrybutów określających przynależność do "arystokracji". Gdy brakło związku wysokie umiejętności zawodowe mogły nie wystarczać do uzyskania odpowiednich zarobków; a koleś tam, gdzie istniała silna organizacja, niewielkie stosunkowo kwalifikacje nie musiały wpływać na obniżenie wynagrodzenia i nie wykluczały z grona "arystokratów".

Związki zawodowe nie wyczerpywały zdolności organizacyjnych warstwy. Różnego rodzaju kluby, koła i stowarzyszenia umacniały odrębność, a zarazem pozwalały na szerokie granice przynależności. Było to o tyle ważne, że status społeczny "arystokratów" był wysoki tylko względnie — w porównaniu z resztą klasy robotniczej — a przekroczenie granicy, za którą zaczynała się nędza, mogło się zdarzyć, zdarzało się i było ciągłym a groźnym memento. Tym większą wagę przywiązywano do zewnętrznych cech charakterystycznych, w poważnym mniemaniu, członka robotniczej elity. Odpowiedni ubiór, odpowiednio położone i wyposażone mieszkanie, odpowiednie towarzystwo, odpowiednie marża. Naśladowano zamożne mieszczaństwo. Stąd melonik, tuferek i segarek na grubej dełce, stąd dąbność do wyprowadzania się z dzielnic proletariackich (co zresztą ułatwiał rozwój komunikacji miejskiej — nie trzeba było mieszkać w pobliżu fabryki, żeby nie spóźnieć do pracy), stąd dbałość o komfortowe wyposażenie mieszkania — konieczność kompletowania mebli, a jeśli pieniądze starszy, to i planino, i jeszcze bieżąca woda, żeby żona nie musiała rasem s plebsem stać w kolejce do studni ulicznej, stąd rozwinięte, a zaressem ścisłe regulamentowane przynależnością do klubu życie koleżeńskie itd.

Liberalnym radykałom długo nie udawało się utworzyć partii reprezentującej świat pracy. Brytyjczy unioniści do końca lat osiemdziesiątych wynosili do siebie umiarkowane polityczne i możliwość wypowiedzania swej woli w wyborach — bynajmniej nie poważających. Pewien bezrobotny wykwalifikowany murarz (w budownictwie praca była sezonowa), sapytany, dlatego nie korzysta z przysługującego



mu zasilku, odrzekł, że woli cierpieć niedostatek, niż wyrzec się możliwości pójścia do urny i zrealizowania tym samym swej brytyjskości. Gdyby — jako "ubogi" — brał zaniek, pozbawiony byłby prawa głosu.

Można by odnieść wrażenie, że i w sferze ideologicznej górna warstwa klasy robotniczej została zdominowana przez burżuazję. Byłoby to jednak mylne wrażenie. "Arystokracja robotnicza" uważała się za część świata pracy. Duma ze statusu nie przeszkadzała "rzemieślnikom fabrycznym" występować w charakterze przedstawicieli całej klasy robotniczej. Identyfikowali się z nią i w jej obrębie lokowali wszystkie swoje aspiracje.

\* \* \*

I oto nadzszedł koniec wieku, a wraz z nim — wstąpiły społeczne, które zakodowały klasyczny okres "arystokracji robotniczej". Wielkie strajki londyńskich dołków i robotników gasowni ukazały strukturę brytyjskiego świata pracy w zupełnie innym świetle. Na londyńskich nabrzeżach wśród zamarych portowych żurawi rozdził się nowy unium. Gdzie podzielała się stara, poczciwa "arystokracja robotnicza" ze swymi elitarnymi związkami zawodowymi? Gdzie podzielała się błoga pewność brytyjskiego mieszczaństwa, że od niespokojnego żywiołu mas proletariackich oddziela go ostateczna warstwa "godnych powań" rzemieślników fabrycznych?

Rok 1889 upamiętnił się w historii Wielkiej Brytanii strajkami powszechnymi o nie spotykanych wcześniej rozmiarach. Organizacje związkowe, do tej pory ściśle branżowe, zamknęły dla niewykwalifikowanych (ale nie elitarnie — ponad 600 000 członków w latach osiemdziesiątych), rozrastała się do niesłychanych rozmiarów. Przybierała formę organizacji terytorjalnych. W ich szeregi wstępowały robotnicy ze całej pory nie szerszej i, jak się wydawało, niechętni wszelkim organizacjom. Niewykwalifikowani w związkach zawodowych Skoro tak, to przestały one być atrybutem "arystokracji". Zanikają inne symbole rozwarstwienia mas pracujących, jak np. melonik. Od tej pory na zdjęciach z epoki nastąpił go kaskiet, słynny "Andy Capp", równie charakterystyczny dla robotnika, jak brak krawata dla Witosza.

Do tej pory mieliśmy do czynienia z wieloma światami pracy, egzystującymi odrębnie, w różnych branżach, w różnych regionach. Teraz połączyły się one w jeden ogólnonarodowy organism. Nie znaczy to, że klasa robotnicza uległa homogenizacji. Wewnętrzna segmentacja, a nawet różnicowanie struktury subordynacji nie zanikły, zmieniły się tylko. Związki zawodowe stały się powszechne, ale nadal nadawała im ton dość wyraźnie wyodrębniona grupa robotników wykwalifikowanych. Każdy, kto trudził się najemną pracą fizyczną, miał dostęp do organizacji, ale wymagało się od niego zaakceptowania "arystokratycznego" obyczaju. Bojowość nowych związków także nie była czymś zupełnie nowym. Zaskakiwała co prawda skala zjawiska i jego powszechność, ale i wiktoriańscy rzemieślnicy fabryczni nie zawsze zachowywali się jak potulne baranki. Polityka elitarnego związku zawodowego, prowadzona przeważnie na skale lokalnej, odznaczała się tą samą spontaniczną gotowością do czynu, która później odkrywamy w nowych powszechnych związkach terytorjalnych. Oweżni, następuje radykalizacja polityczna i światopoglądowa, wyrażająca się w "odrodzeniu socjalizmu", a taką nadzieję witanym przez Engelsa i jego towarzyszy jako wstęp do radykalnej, rewolucyjnej przebudowy społeczeństwa. Aż rewolucji nie będzie. Powstanie Partia Pracy, światło mieszczańskie w ramach systemu parlamentarnego. Radykalizm hasel głoszonych przez gar-

stkę agitatorów nie oznacza jeszcze radykalizmu mas, nawet jeśli tych hasel nie odrzucają. Znamienne, że inaczej niż na kontynencie, w Anglii to związki powołały partię, a zatem czynnik polityczny był wtórny wobec kwestii organizacyjno-ekonomicznych. Liberalizm, podatny na reformowanie ustroj Wysp pozwolił na w miarę bezkonfliktowe przeobrażenie przez trudny okres przeobrażeń społecznych.

"Arystokracja robotnicza" nie zaniknęła, lecz zmienił się nieco jej skład, atrybuty i kontekst społeczny. Unowocześnienie technologii i zmiany organizacji produkcji spowodowały upadek znaczenia tak niegdyś cenionych kwalifikacji. Coraz powszechniej wprowadzano maszyny, których obsługa nie wymagała już specjalistycznych umiejętności. Gdy wystarczało "przyuczenie" kwalifikacje w coraz mniejszym stopniu zapewniały godziwy zarobek i ochronę przed bezrobociem. Zagrożonej pozycji "arystokratów" w kombinatach należało bronić organizując wszystkich, którzy mogli zastąpić "rzemieślnika fabrycznego" przy warzaniu. Stąd nagła ekspansja związków zawodowych, stąd egalitarne hasła i postulaty.

Nie wszystko da się jednak wytłumaczyć zmianami w procesie wytwarzania. Od połowy XIX wieku, od okresu pomiędzy Wiosną Ludów a Komuną Paryską, narodził się w zachodniej Weny w okresie stabilizacji społecznej i wszechstronnego rozwoju cywilizacyjnego. Postępował proces integracji, a warstwy i klasy, które dotąd funkcjonowały niejako poza społeczeństwem, zaczęły uważać się za jego pełnoprawnych uczestników. Rozrastał się i komplikował aparat administracyjny, a obecność państwa we wszystkich dziedzinach życia publicznego stała się faktem. Co więcej, państwo stało się powszechną własnością. Świadczyć o tym może masowy udział w wyborach i walka o rozszerzenie prawa wyborczego na wszystkich obywateli. Również w dziedzinie walk klasowych "konflikty nie do pogodzenia" odłożono do lamusa dziejów. Zdarzały się akty przemocy, wysyłano przeciw strajkującym wojsko, niejedną "trybun ludu" wreształ — jak napisał Tuwim w znanym wierszu — "Ze czasu, że Jusz...", na burkujących skóra cierpiła na widok czerwonego standardu, wybuchały bomby anarchistów, ale... żaden "przełom" nie nastąpił. Przeciwnie kryzys ustroju oznaczał większą biedę dla robotników niż dla kapitalistów.

Walka toczyła się więc o inną stawkę niż to sobie wyobrażali brodzący klasyści. Należało utrwalić i, tam gdzie to było możliwe, rozszerzyć katalog podstawowych wolności, owych norwidowskich "prawd co nielewo". Masowy ruch robotniczy stał się dźwignią demokracji, promotorem społeczeństwa obywatelskiego coraz wyraźniej zarysowującego się na horyzoncie cywilizacji europejskiej.

W "starych, dobrych czasach" wiktoriańskich robotnicy wykwalifikowani czepiali dumę ze świadomości bezpośredniego posiadania warstw posiadających. Niczas zdarzało się, że właściciele przedsiębiorstwa przekazywał nadzór nad produkcją "rzemieślnikowi fabrycznemu". Tym samym niejako awansował go na stanowisko substerpeniera mającego udział zarówno w zarządzaniu, jak i w wyzyskiwaniu współzabudulowanych. Skomplikowane się struktury społecznej, rozrost "klas średnich", wejście pomiędzy właścicieli a wykwalifikowanych robotników grupy techników, inżynierów, menadżerów i urzędników różnych stopni, wreszcie anonimowość własności charakterystyczna apokryficznie gwałtownie obniżyły pozycję "arystokracji robotniczej". Gód z tego, że niejedni właściciele fabryczni w białym kombinezonie nie mogli dorównać ani zarobkami, ani statusem robotnikowi wykwalifikowanemu? Nie zmieniało to, wyraźnie już teraz określonego, "porządku, dziobania", Robot-

nik, choćby wysoko wykwalifikowany, pozostał robotnikiem.

Ta swoista demokratyzacja wyglądująca różnice w obrębie świata pracy była również wynikiem ogólnych zmian, jakie zaszły w warunkach życia mieszczańców Wysp. Rozwój tkanki mieszczyńskiej i ogólne polepszenie warunków bytowych sprawiły, że to, co kiedyś było udziałem lepiej zarabiających (wzrost, kanalizacja, środki komunikacji miejskiej, "porządne" ubranie itp.), stało się powszechne i oczywiste. Powoli nasycała także demokratyzacja obyczaju. Z czasem postulaty wkroczyły w sferę polityki. Spośród dość różnorodnych rzesz robotniczych jakaś warstwa musiała wybijać się na czoło ruchu. Długo nie nazwał jej starym mianem "arystokracji robotniczej". Tym bardziej że mimo wszystkich zmian nadal istniała grupa robotników lepiej usytuowanych, żyjących na poziomie wyższym od przeciętnego, posiadających nowe, nadal potrzebne kwalifikacje, a przede wszystkim lepiej zorganizowanych, bo mimo upowszechnienia się związków zawodowych różnice w stopniu zorganizowania nie zanikły do końca. Siła związku zwiększała nawet w wadze przy wyodrębnianiu uprzywilejowanej warstwy robotniczej, jako że jej pozycja społeczna nie wynikała teraz tylko z bezpośrednich pertraktacji z pracodawcą, lecz była potwierdzana przez państwo. Tak oto "arystokracja robotnicza" nie trzymając się kurczowo starych form, w sposób niejako naturalny stawiała się elementem nowego świata pracy, który uznał za swoje jej stare atrybuty.

\* \* \*

Przyglądając się z perspektywy stulecia przemianom społeczeństwa brytyjskiego pod koniec XIX wieku, łatwo możemy zapomnieć, jak dramatycznie przeżywali je współcześni. Co jednak powodowało, że w samej Anglii po krótkotrwałym szok opinia klas "wyszarych" a wolna uspokajała się, choć napłyła społeczne roszczenia, a ruch robotniczy rozwijał się z niesłabnącym impetem?

Czynnikiem łagodzącym stres i poczucie zagrożenia był przede wszystkim mit "arystokracji robotniczej". Stosownie terminu "arystokracja" do świata pracy około lat trzydziestych i czterdziestych XIX stulecia — a więc czasów, gdy dla całej europejskiej lewicy głównym wrogiem "prostego człowieka" był uprzywilejowany. Pamięć o rewolucji francuskiej, obawa przed sankcjami głęboko wryły się w umysły konserwatystów i liberałów. Podczas gdy dla rozprawiania się z demonstrującymi w okresie szaryzmu robotnikami rząd gromadził ogromne, jak na owe czasy, hordy wojska — liberałowie widzieli w "arystokracji fabrycznej" warstwę "rdrową" polityczną, niepodatną na idee anarchistyczne i rewolucyjne. Później to rozumowanie podjęli socjaliści. Masowy ruch robotniczy w najbardziej uprzemysłowanym kraju świata zdawał się wrócić rychły wybuch rewolucji. Gdy ten nie nastąpił, porażkę doktryny wyrażano zdaniem "arystokracji robotniczej", akorupowanej przez burżuazję, reformistycznej i tłumiącej potencjalną rewolucyjność mas. Zbyt wiek w takim sądzie doktrynarystwa, by go w paru zdaniach objaśnić. Zauważmy tylko, że protest społeczny niekoniecznie bywa wyprost związany z nędzą i uciskiem, zwłaszcza z taką świadomością polityczną, a wykwalifikowany proletariatus (czekolwiew skłonni do prymitywnego buntu) przejawiali znacznie mniejszą świadomość i umiejętność organizowania się niż "zdradziłcy arystokracji".

A może "arystokracja robotnicza" nigdy nie istniała inaczej niż jako mit? Strukturę społeczną można tłumaczyć na różne sposoby. Klasa robotnicza zawsze była wewnętrznie zróżnicowana. Jej skład można opisywać i bez

uciekania się do pojęcia tak mocno utrwalonego w języku politycznym badając np. hierarchię subordynacji w zakładzie pracy czy stopień zorganizowania w różnych działach produkcji. Pamiętajmy, jednak, że mit jest również faktem społecznym. Gała nasza świadomość oparta jest na wyobrażeniach, które nie zawsze zgodnie są z tym, co nazywany "obiektywną rzeczywistością". Zwróćmy uwagę, jak mit "rzemieślników fabrycznych" — umiarkowanych, statecznych i miśujących porządek — kojąco wpłynął na reakcje brytyjskich klas posiadających. Uchronił je przed

paniką, być może przed kardynalnymi błędami politycznymi w obliczu protestu społecznego. Nie bano się już tak bardzo Czarnej Łada, gdy przybrał on postać wasatego i szalonego mechanika z zegarkiem w kieszonec kamizelki.

Czy warto przypominać poczciwe, dzielnie i pracowite mity pokoleniom, które w zbiorowej pamięci mają zapisane straszliwe, a nie do końca minione doświadczenia bieżącego stulecia? Warto, choćby po to, by przypominać, że może być inaczej, że społeczeństwa mogą kierować się wyobrażeniami, które budują, a nie niszczą. Mit, kształtując naszą wizję

rzeczywistości, antycypując przyszłość, wkaazuje perspektywy działania, określa dążenia, daje nadzieję i pozwala widzieć szanse stojące zarówno przed jednostką, jak i przed zbiorowością. A jeśli takich szans nie ma? Może wtedy rodzi się desperacja, a z niej mity ponure?

Alc to już inna historia, nieszyt pasująca do optymistycznych wyobrażeń wieku pary i elektryczności.

Janusz Raszewski

## MYŚLEĆ »NAPRZÓD«

Ostatnie oświadczenia i opracowania programowe esolowych kręgów opozycyjnych pozwalają zaobserwować upowszechnianie się nowej filozofii politycznego myślenia i działania. Filozofia ta, przewartościowując dotychczasowe pojęcia opozycyjnej świadomości, stwarza możliwość bardziej wnikliwego postrzegania konfliktu społecznego, jego mechanizmów i dynamiki. Warto zwrócić uwagę na dwa charakterystyczne elementy tego procesu.

Po pierwsze, coraz rzadszej spotyka się schemat — jeszcze do niedawna traktowany jak swoisty opozycyjny dogmat — wedle którego stronami polskiego konfliktu były dwie, totalnie skonfliktowane i wewnętrznie nieszczone "supergrupy" społeczne: władza i społeczeństwo. Schemat ten, podważony przez badania socjologiczne i refleksje społeczne, a także obiektywne fakty polityczne (jak choćby ostatnie referendum), powoli i nieodwołalnie ustępuje miejsca nowemu, dynamiczniejszemu postrzeganiu sprzeczności społecznych, w którym stronami przetargu i negocjacji stają się poszczególne grupy społeczno-zawodowe, pracownice, pokoleniowe czy etniczne, artykułujące swoje interesy, cele i wartości. W miejsce niezczonej, stoczniowej "klasy", pojawia się pewien zmienny blok interesów o dynamicznych konfiguracjach, do którego każdorazowo musi dostosowywać się strategia i taktyka działań politycznych.

Po drugie — a wynika to z pierwszego — coraz powszechniej się staje myślenie kategoriami ewolucyjnymi w przeciwieństwie do dominujących dotąd dwóch typów myślenia: "beakompromisowego rewolucjonizmu" z jednej strony i tzw. "bojkotu i odmowy" z drugiej. Obu tym rozwiązaniom, opartym w istocie rzeczy na wspólnym przekonaniu, że rozwiązania polskiego konfliktu musi mieć radykalny charakter polityczny, ewolucjonizm przeciwstawia punkt widzenia, w którym rozwiązanie polityczne, o ile ma być trwałe, musi być oparte na przebudowie społecznej tworzącej mocną konstrukcję społeczeństwa obywatelskiego, samoorganizującego się na różnych poziomach. Ten proces — bo nie jednorazowy akt — nie może zaś odbywać się w izolowanym getcie drugiego obiegu, ale "na powierzchni", poprzez nieustanny nacisk społeczny na rozszerzanie przestrzeni autonomii, swobodnej artykulacji i integracji grupowej. Stąd w oczywisty sposób wynika postulat uczestnictwa opierającego się na zdobywaniu praw, których odmowy dziś już czynniki rządzące nie są w stanie usasadnić i egzekwować.

Podkreślić wypada rolę tych środowisk i sferalnych peylodyktów, które wcześniej prezentowały opinie podobne teraz w opozycji do dominujących schematów. Z pewnością trudno

tu mówić o prekursorstwie; świadomość polityczną kształtują bowiem fakty społeczne w stopniu tym samym przynajmniej, co nowe idee, które, jak słusznie zauważył pewien filozof, czekać muszą zawsze na "swoje czasy". Czy nie należy się jednak kilka słów przypomnieć tym, którzy czas ten choćby o kilka chwil wyprzedzili?

Z całą pewnością można do nich zaliczyć redaktorów i autorów pisma "Naprzód", reprezentującego środowiska grup politycznych "Wola". Pismo to, nie istniejące już, aczkolwiek nie odłągnęło nigdy polityki i rozgłosu odpowiadającego niemal, jak można sądzić, ambicjom jego twórców, zasługuje na naszą uwagę i zachowanie w pamięci z racji podjęcia tych właśnie wyzwań, które obecnie wydają się oczywiste, wówczas jednak przyjmowane były co najmniej obojętnie.

Przebiegając dziś kolejne numery "Naprzodu" z lat 1985 i 1986 trudno oprzeć się refleksji, że była to jedna z nielicznych prób wykreowania alternatywnej filozofii politycznej w obliczu swobodnego samozablockowania się opcji "bojkotowej", próba podjęcia z niemalym rozmachem i nieukrywaniem zamiarem wypracowania nowej, skuteczniejszej strategii działania. Myśli przewodnią kilkumiesięcznych artykułów programowych, które jeszcze dziś czytam z uwagą, da się pokazać jako zakwestionowanie powszechnego wyobrażenia o możliwości bezkonfliktowego niejakiego przejścia od systemu monocentrycznego do systemu demokratycznego i rynkowego, nie tylko ze względu na opory polityczno-ideologiczne, ale i ze względu na latniejące w samym społeczeństwie trwałe interesy grupowe, stabilizujące ład autorytarno-paternalistyczny. Przeświadczenie, iż wcale nie "całe społeczeństwo" jest skonfliktowane z władzą, a poważne jego odłamy, choć nastawione rewindykacyjnie, nie są zainteresowane w zmianie logiki systemu, dało ów paradoksalny na posór wniosek, że podmiotem przebudowy systemu jest w istocie mniejszość (identyfikowana niekiedy jako "nowa klasa średnia"), a mechanizm tej przebudowy — o wiele bardziej skomplikowany lub wręcz problematyczny.

Ta podstawowa teza, która i dziś wydaje się interesująca, stała się dla autorów "Naprzodu" przesłanką wniosków praktycznych, dotyczących reorientacji polityki opozycyjnej. Niebanalny wydaje się zwłaszcza postulat programowania działań pod kątem integrowania nowego podmiotu politycznego, niekoleżanego z nierozdzieloną, solidarnościową klasą pracowniczą ("społeczeństwem"), ale wyodrębniającego się w jej ramach jako układ lokalnych i środowiskowych grup nacisku. Grupy te zdobywają autonomię i przestrzeń działania

nie poprzez strajk generalny (dosłownie i w przenośni) czy powszechną akcję rewindykacyjną, ale raczej przez zastosowanie zasady, której łalenia nie podważa dziś nawet rząd, iż "to, czego nie zabrania prawo, jest dozwolone".

Postulat wyodrębnienia tego nowego podmiotu jest skądinąd oczywisty, skoro uwzględnimy poprzednie wnioski. W ich świetle bowiem to, co określane bywa często jako skonfliktowane z władzą "społeczeństwo", okazuje się fikcją, a powszechny bunt rozczelnioży — niekoleżany z ruchem ku rynkowi i pluralizmowi. Ten pierwszy sankcjonuje bowiem, choć nie chce, pozycję państwa, a zwłaszcza jego centralną pozycję ekonomiczną, gdy drugi, przeciwnie, zaczął musi od zaniegowania tej pozycji przez potraktowanie serio prawa jednostek i grup społecznych do samodzielnego kształtowania swych warunków życiowych.

Trudno oprzeć się refleksji, iż te programotwórcze przesmyślenia "Naprzodu", o ile potraktujemy je jako diagnozę społecznych tendencji, okazały się trafne.

W sferze ekonomicznej potwierdza je żywiołowy ruch społeczny, stwarzający aktywnością dziesiątków tysięcy ludzi nową, nieszaną dotąd przestrzeń działania i konstytuujący nową grupę społeczną, związaną z enklawami gospodarki rynkowej (we wszystkich szerszych sektorach), różniącą się od tradycyjnego, socjalistycznego sektora prywatnego skalą działania, rozmachem i mentalnością. Jeśli czynniki rządowe nie będą chciały sztucznie tego ruchu ograniczać, owa grupa ma szanse skryształować się i okrzepnąć — także politycznie.

Stworzy to naturalnie nową dynamikę interesów, w której tendencja "rozczelnienia" wyrażać będzie odmienne dążenia niż tendencja "aktywistyczna". Z całą pewnością nie będzie już możliwe zamknięcie w jednej, choćby najbardziej elastycznej, formule interesów rozbieżnych lub wręcz sprzecznych: pomiędzy sektorem rynkowym i centralistyczno-nakazowym, pracodawcami i pracownikami, grupami niskokwalifikowanych i specjalistów, itd.

Ta różnicowana dążenia poszukiwać będą swego wyrazu — również instytucjonalnego. Pojawiają się nowe struktury, nie będące mutacją już istniejących, bo wyrażające zasadniczo odmienną sytuację społeczną. Kto wie, może to właśnie będzie kolejny krok ku społeczeństwu pluralistycznemu?

W wypracowywaniu wizji politycznej antycypującej ten nadchodzący czas niewątpliwie i "Naprzód" będzie miał swój udział, o czym warto pamiętać.

M.O.A.

# SIERPIEŃ

# PO SIERPNIU

MARCIN REWERA

## ZWIĄZKOWY PRZYKŁAD FRANCUŚKI

## PLURALIZM:

1. Nie, gdybym miał powiedzieć, że wszystko rozumem s sytuacją, w jakiej funkcjonują tużysze związki zawodowe, byłoby to nieprawda. Zbyt wielu rzeczy nie da się przełożyć na naszą sytuację. Przede wszystkim tego, o czym szczególnie szybko zapomina Polak na paryskim bruku od 1939 roku nasza historia dzieje się w innym rytmie, w innej przestrzeni, ba, w innym wymiarze niż historia nie najczej Europy. Czasami tylko słowa, jakimś coś naszywamy, są podobne, ale to, co nazywamy — instytucje, mechanizmy, prawa — jest całkowicie odmienne. I tak ma się rzecz ze związkami.

Zacznijmy od związkowej struktury. CFDT to Federacja o podwójnej budowie — branżowo-regionalnej. Na najniższym poziomie znajdują się zakładowe sekcje związkowe np. potężnego związku metalurgii (ale także przemysłu maszynowego czy samochodowego). I dopiero te związki tworzące Federację dysponują prawem głosu w wyborach do władz regionów i samej Federacji. Związków jest bardzo wiele. Przykładowo Region Paryski gromadzi ich około 600, a w jednym Ministerstwie Łączności działa 12. Związki tworzą zrzeszenia departamentalne (w Regionie Paryskim 8), którym w strukturze branż odpowiada zrzeszenia zawodowe. Te ostatnie to podopieczni branż, tak jak zrzeszenia departamentalne składają się na regiony międzybranżowe. Takie właśnie jak paryski region CFDT liczący około 50 tysięcy członków, którymi zarządza (uwaga) 8-osobowy aparat administracji związkowej i 2-osobowe kierownictwo pochodzące ze związkowego wyboru. CFDT to jednak nie tylko Federacja związków, ale i politycznych tendencji. W efekcie kryżowały się trzy typy działaczy — bardziej związkowi, bardziej upolitycznieni (będący jednocześnie członkami jakichś politycznych organizacji, np. trockistów) i szóstwie branżowi. Tej wielości odpowiada mnogość instytucji towarzyszących związkowemu działaniu — związkowej prasy, instytutów, ośrodków szkolenia...

Ten pokorny galimatias nie tylko wynika z historycznego rozwoju związków, jest też, niestety, funkcjonalny, odpowiadający zasadom rządzącym spotkaniami z pracodawcą i państwem. I tu uwaga, bez której zrozumienia nigdy nie pojmimy, gdzie żyjemy my, a gdzie oni.

Odsłonięta sfera spotkań wyznacza prawo, administracja i zakłady pracy. Ale w strukturze funkcjonowania państwa ważną rolę odgrywają regionalne Komitety Społeczno-Gospodarsze, będące organem doradczym i jednocześnie instytucją wiążących uzgodnień między państwem, zrzeszeniami patronów (właścicieli) i związków zawodowych (CFDT, FO, OGT). Zdarza się, że w trakcie przetargów związkowej współpracy z „patronami” domaga się od państwa protekcyjnych środków ochrony miejsc pracy (tzn. dotacji dla ratowania nierentownych zakładów). Najłatwiejsza jest owa trójstronność: państwo —

właściciele — związkowcy. I nawet jeśli we Francji wapółniły wszystkie formy własności (prywatna, państwowa, mieszana — prywatny zarząd został państwowym), to wyeliminowały zostały strukturalny monopol władzy politycznej i ekonomicznej zarządem. Także i w tym sensie kapitalizm, o którym pisał Marks i jego koleśny, nie istnieje — rozpłynął się w wielkich procesach przekształceń politycznych (demokracja), ekonomicznych (skasowanie efektów gospodarczych od wydajności pracy), technologicznych (kolosalne rewolucje organizacyj i technologii) i kulturowych (świadomość obywatelskich praw i obowiązków).

Trudno się spierać, co jest tu gwarantem ceseg: obywatelskie wolności — ekonomiczne efekty (wolność = dobrobyt) czy wolności ekonomiczne — obywatelskich praw (kapitalizm = wolność jednostki). Ważniejsze, że dla moich związkowych rozmówców prawne problemy przestały już istnieć. Twierdzą np., że kwestia własności jest z punktu widzenia francuskiego robotnika sprawą drugo- a nawet trzeciorzędową. Albowiem niezależnie od tego, czy pracują w zakładach państwowych, prywatnych czy będących własnością mieszana (nieśmiało efektywność w porównaniu z zakładami nacjonalizowanymi do cna), niezmiennie jest miejsce pracownika w strukturze produkcji i zarządzania. Niezmiennie jest więc pracownikiem przedmiotowym (cał mówią o „produkcyjnym terrorze”) i to właśnie świadomość tego skłania do usilnego poszukiwania różnych form pracowniczej samorządności.

Chęć sadedykować to wszystkim, którzy wciąż jeszcze nie zdolali wyswobodzić się spod władzy pomarkuszowatych stereotypów: problem własności, fundamentalny dla markso-leninizmu, został cywilizacyjnie nie tyle rozwiązany, co sfunkcjonalizowany, tzn. regulowany (w różnym stopniu) przez procesy technologicznych, demokratycznych i kulturowych przemian. Sadedykowało o tym zapewne przejęcie od gospodarza ekstenzywnego do intensywnego — przejęcia, które po ras pierwszy realnie (nie zaś ideologicznie, jak w marksiźmie) odsłoniło rolę człowieka w procesie produkcji i konsumpcji. Podwójny charakter zachodniego rynku — ten, kto wytwarza wartość dodaną, jest jednocześnie niezbędnym uczestnikiem procesu sprzedaży (czyli odsykania zainwestowanego kapitału) i zdobycia spodzielanego syssku) — sprawia, że wysysak jest ekonomicznie ograniczony i równoważony. Ograniczony ekonomicznie nie zaś ideologicznie. Dopóki więc Polacy nad Wisłą nie pojną, że nie ma pełnych sklepów bez sprawdzonej ekonomii, opartej na zasadach wysysaku jawnego i jednocześnie ekonomicznie ograniczonego, ich rozejście porostauą tym, czym są — rojeniami wiaśule — podessa gdy co dnia będziemy wysyskiwaali — na przeróżne sposoby, czego tego nawet nie spostrzegając — przez realno-uczulityczne państwo-molocha. Był może krokiem w kierunku zrozumienia natury dalszego świata (w którym słowa „wszędzie sprawiedliwość” towarzyszące powinno słowo „kapitalizm”, a słowa „bezwzględny wyysak”

słowo „komunizm”) byłyby bezpośrednio kontakty z zachodnimi związkowcami. Kontakty, które naważną rzecz ważną i drobne — jak chociażby odmienny niż u nas stosunek do zakładu i pracy.

2. Pisząc o zachodnich związkach zawodowych, przez nieuleślaną dygrysjację, więcej pewnie niż o nich samych powiedziałem o sprawie najprostszej, a dla mnie, przybyła ze Wschodu, fascynującej — o wzajemnych związkach między ekonomicznymi prawami rynku a różnymi wymiarami wolności. Na odpowiedzialność mam jedno — wszak wszędzie na świecie związki zawodowe rodziły się jako organizacje służące obronie praw ekonomicznych i obywatelskich. I taki też jest rodzaj „Solidarności”. Wówczas, po Sierpniu, mówiliśmy sobie, że nasz Związek jest prawdziwy, taki właśnie jak związki zachodnie. Dopiero tu widział, że pewne podobieństwa są, powierchowne, a nawet pozorowe. Wezmy chociażby pod uwagę funkcje obronne związku zawodowego. Przed czym i kogo bronią tużysze związki? Odpowiedź rodem z „Trybuny Ludu” — pracowników przed wysyskiem pracodawców — jest niezwyklej nieprawdziwa. Państwo, prawo, demokratyczne otoczenie oraz warunki ekonomiczne decydują, że wyysak w tradycyjnym XIX-wiecznym znaczeniu jest już tutaj czystą abstrakcją. Strajki

i protesty placowe to margines związkowych działań. Akcje zasadnicze skierowane są przeciwko likwidowaniu nierentownych zakładów, niedoinwestowaniu branż, skracaniu czasu pracy przy jednoczesnych podwyżkach. Ten ostatni punkt szczególnie żywo dyskutowany jest w CFDT, która takarstwa na bezrobocie upatrzuje w 25-godzinny tydzień pracy. Ale, jak asyzyzałem, miał jeszcze trochę czasu wpływ, aby sami związkowcy zaprobowali skrócony tydzień pracy. O agrosie, większą popularnością — wśród bezrobotnej młodzieży — cieszy się rządowy projekt okresowych robót publicznych.

Wymienione centra zainteresowań związkowych dobrze obrazują przesuniecie, jakie się dokonuje na naszych oczach. Państwa zachodnie, krok po kroku tworząc coraz szerzej rozbudowane publiczne systemy socjalne, odebrały związkom funkcje samopomocowe (dawna Kasa Chorych to dość rozwinięty system ubezpieczeń). Sprawa druga to umacnianie samoregulującego się systemu równowagi między wzrostem wydajności pracy i podziału wysysków. Co więcej — związki w zasadzie nie bronią już wszystkich (tworząc, jak niegdys, „ludowe fronty”), lecz tylko zorganizowane i zagrożone w jakiś sposób grupy społeczno-zawodowe.

Ory to dobrze, czy dzieł Takty z 19-tego punktu widzenia chce się patrzeć. Jeśli chodzi o dobro pracownika, problemem numer jeden jest obecnie restrukturyzacja zachodniej gospodarki i niesolidaryzacja od takich zmian kryzyza. Jego odarą padają ludzie niepotrzebni, bezrobotni, którym nie grozi wprawdzie głód, ale stan potęgującej się frustracji. Związkowe koncepcje wyjścia z kryzyza dają się sprowadzić do dwóch modeli „amerykańskiego” — wedle którego zgoda związków na obniżenie płac realnych, wywołalaby koniunkturę (szczególnie w branżach eksportowych) i tym samym zmniejszyłaby bezrobocie; oraz „europejskiego” — prowadzącego do zamrożenia płac (a nawet ich wzrostu) przy jednoczesnym skasowaniu rozwiązań postprodukcyjnych (25-godzinny tydzień pracy, zatrudnienie rotacyjnie, rozwinięty system przekwalifikowań itp.). swolenakcy „naturalnych” reguł ekonomicznych chwala warianci „amerykański”, wyznawcy rozwiązań centralistycznych

## MARCIN OBLIKI

## O MIŁOŚCI WIEKUSZOŚCI, FUNDAMENTALISTACH I STABILIZACJI

Kilka uwag o sytuacji

Konsekwencje sierpniowych strajków nie są łatwe do przewidzenia. W wymiarze politycznym kontury ewentualnych następstw władzy nie rysują się tak wyraźnie, jak choćby 8 lat temu. Koncepcja "okrągłego stołu", do którego zasiadł mają przedstawiciele opozycji, jest mglista i nie przynajmniej do jednoznaczności postulatów strajkowych. Legalizacja "Solidarności" — jeśli nawet jest — jej teraz bliżej — nadal może w znaczącej mierze pozostać w duszy modnej dla jawności.

Wszystko to szlachanie może do własności, iż obecne strajki nie przyniosły żadnego wyraźnego restrukturyzacji, a zatem, z politycznego punktu widzenia, były co najwyżej swobodną manifestacją siły, po której — o ile nie dojdzie do najbliższym czasie do rzeczywistych następstw ze strony obywateli — nastąpił musi decydujący rozstrzygnięcie, co najmniej na dzień Sierpnia '80. Słuszny się zdaje czas: tegoż dnia strajki nie mogą być rozstrzygnięte, bo nie poparła ich czynnie milcząca większość. Wyższa się stąd własności milcząca większość wciąż jeszcze znajduje się w stanie niegotowości i ułaskawiania, lecz sytuacja ta w każdej chwili może zmianę i już nastąpi, bliżej być może, konflikt lokalny stanie się krąg na bezcie prochu.

Mie zwycięskiego Sierpnia utrwalili się w naszym myśleniu o wiele bardziej, niż cędzimy i wciąż podświadomie wyszukuje się strajki powołanego jako rozstrzygnięcia. Jeśli nie przelomowego, to przynajmniej skutecznego.

Strajki majowo-kwintkowe i sierpniowe miały ograniczony zasięg i to zarówno w sensie terytorialnym (bo były silnie okrajowe) jak i w sensie społecznym (głównie nie było strajków w opole), jak i — to istotna nowina — wewnątrzgrupowym (bo nie strajkowała cała załoga, a tylko, że nie strajkowała nawet jej większość). Czy rzeczywistie zatem był to tylko fakt do kolejnego Sierpnia, którego nadejście jest nieuchronne? Czy wyjątkowe twierdzenie, że ten właśnie ograniczony zasięg protestu to znak czasu i rezultat podległych procesów, które ustabilizowały zupełnie nową sytuację społeczną?

Nie sądzę zatem, aby zachowanie milczącej większości dobrze wpływało na Jacek Kuronia o apetycznym stanie świadomości społecznej, rozbitej pomiędzy absolutną frustracją, apatią i niewiarą w sens protestu a nagłym przychyleniem odważli i paroksyzmalni buntowi świadomości, która może wreszcie przełamać się — i przekształca na nowych zasadach — w zdeterminowaną wójt dalszania i solidarny, zbiorowy imperatyw walki.

Przeciwnie, myślę, iż wybuch masowego protestu na dzień Sierpnia '80 jest dość mało prawdopodobny, bo jego potencjalny podmiot, czyli milcząca większość, przedstawia sobą obraz bardziej skomplikowany.

Przytoczony biernociel kwik, moim zdaniem, tyle w ogólnym stanie nastrojów, co w uśrednionym poczuciu grupowych interesów, determinowanym przez odmianę na przedmieście lat siedemdziesiątych i całonocnych strukturę społeczną. Fakt, iż, statystycznie rzecz biorąc, obniżają się dochody realne całego społeczeństwa, nie oznacza, że dotyczy to wszystkich jednakowo; co więcej, istnieje grupa, której dochody i statystycznie rosną. Nieprzypadkowo odrodkiem sierpniowych strajków stały się kopalnie. To w górnictwie władnie — chcącym się przez co najmniej ostatnie lata sporych przywilejów i, jak to s właściwym sobie taktem przyznał wicepremier

Szaleją, przekazywanym za cenę sobotnio-niedzielną produkcję — nastąpiło w ostatnim okresie największe obniżenie dochodów realnych w stosunku do innych branż i grup zawodowych, a symbole górniczych przywilejów — ołowione "giewony" — zaczęły stopniowo upodabniać się do reszty pracowniczych aklepow. W strajkach górniczych nie szło tylko o pensję, zgodę. Ale to one legły u podstaw wżenia na Śląsku i co do tego nikt nie ma chyba wątpliwości.

Warto zatem popatrzeć na to i z innej perspektywy. Górnictwo przeszedł do dziedzina gospodarki, która w wyniku restrukturyzacji i rozwoju nowoczesnych przemysłów przetwórczych i prorynkowych musiał utracić swą uprzywilejowaną pozycję, z czym wiązać się będzie obniżenie prestiżu i rzęzi wódzu górnika. Strajki są w tej sytuacji nieuchronne, podobnie jak nieuchronne były odmianowe strajki górników angielskich. Ale czy oznacza to, że strajki są — i tu, i tam — być w interesie wszystkich grup produkcyjnych? Przed gospodarką rynkową — o ile myślimy o niej poważnie — dylemat ten stanie się jeszcze wyższe, a to dotyczyć będzie nie tylko górnictwa.

Patrząc z tej perspektywy, trudno zaprzeczyć, iż obecne postulaty górników wielu grupom zawodowym mogą się wydawać nieoczywiste, a przede wszystkim wewnętrznie sprzeczne. Jak bowiem postulat zagwarantowania górnikom przelicznej płacy w normalnie dal robocie w wysokości dwukrotnej średniej krajowej pogodzą z postulatem ukończoności kopalnie przez przekształcenie ich w jednostki samodzielną i samofinansujące po rozwiązaniu scentralizowanych gwarectw? Skoro kopalnie chcą być samofinansujące, nie może być zagwarantowane górnikom określonego poziomu dochodów, który dyktował wina tylko i wyłącznie sytuacja ekonomiczna każdej z nich. Jeśli jednak górnicy walczą o stały i dwukrotnie wyższy od reszty poziom zarobków, to już na wstępie zakładać ograniczenie gry rynkowej w swojej branży. Być może i szlachanie, bo podobnie dzieje się w całej Europie, nie jakie jest wtedy uzasadnienie dwukrotnie wyższych zarobków? Jeśli nie ekonomiczne, to tylko moralne, a więc — swolna rekompensata za ciężką i niebezpieczną pracę, także za niesprzykające warunkom środowisko naturalne, w którym zmuszeni są być. Ale te argumenty, choć zrozumiałe, nie są wcale oczywiste. Warto, byśmy na marginesie sierpniowych strajków uświadomili sobie, że tkwi w nich mocna, zdrowa bez wątpliwości, artykulacja interesu grupowego — co oznacza jednak, że slogan "Śląsk walczy za wszystkich" co najwyżej pod płóciem niektórych namiętnych publicystów może być podstawą uogólnień na temat "ogólnego" zachowania milczącej większości, która strajków tych czynnie nie popiera.

Milcząca większość nie jest bowiem monolitem i to banalne skądinąd spostrzeżenie jest znacznie bardziej aktualne niż na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, gdy rodziła się "Solidarność". Struktura społeczna ulega w latach osiemdziesiątych znacznym przemianom, a miała na to wpływ nie tyle reforma gospodarcza, ile raczej kryzys, który wyrwał w szerokiej grupach społecznych nieoczekiwane zasoby przedsiębiorczości i aktywności ekonomicznej. Stąd różnicowanie interesów jest dziś głębsze i ono również determinuje reakcje społeczne, w tym, rzecz jasna, reakcje na strajki.

Jest faktem statystycznym, że dochody realne poszczególnych grup zawodowych niegryją obniżenia, a słowka nie znajduje pokrycia w towarze. Ale to statystyczna prawda jest tylko prawdą częściową. W dalszej

Polce bowiem wesechobejrający drugi obieg gospodarczy sprawia, iż maleje liczba osób żyjących tylko i wyłącznie z oficjalnie wykazywanej pensji w sektorze uspołecznionym. Sytuacja tych właścicieli grup jest najcięższa i tu znajduje się potencjalna (choć przecież nie powzięta) baza społeczna strajków. Obecnie jednak równocześnie liczba tych, którzy pracując w sektorze uspołecznionym, zapewniającym minimalną bezprecedensową socjalnego, swe winię, nie wykazywane w statystykach dochody odlegają z udziałem w obrocie pół lub całkiem nielegalnych. Wspomnijmy o "fachach", a których byle caki uspołecznione budownictwa, o inspówkach, które są "dywidendą" biurokracji niższego i całkiem wysokiego szczebla, o nierestrukturyzacji pracy na rynku prywatnym, której chwytają się niemal każdy, kto tylko dysponuje poszukiwanymi kwalifikacjami, o różnych sposobach na dodatkowe dochody w sektorze państwowym, o wyjazdach zarobkowych na Wschód i Zachód czy wreszcie o wyjazdach handlowych do okolicznych KDL, a których byle — i to niekiedy — nie ma grupa, rekrutująca się ze wszystkich warstw zawodowych. Ci wszyscy "dwuzawodowcy", których liczbę bez żadnej przesady określić można na ok. 80% zatrudnionych w całej gospodarce uspołecznionej, żyją jedną nogą poza rytmem i w coraz mniejszym stopniu identyfikują swe interesy z firmami, w których formalnie są zatrudnieni. Czy nie tu tkwi niemala porcja obojętności milczącej większości wobec strajków?

A wreszcie, czy Polska w latach osiemdziesiątych nie przeżyła bodaj najbardziej burzliwego w powojennych dziejach (może poza okresem 43-45) rozwoju pozarolniczego sektora prywatnego, do którego przeszły setki tysięcy ludzi, często — w odróżnieniu od tradycyjnego rzemiosła — młodych, energicznych, wykształconych, myślących o prywatnym bisnesie w kategoriach osobistej i zawodowej samorealizacji? Wielu spośród nich było organizatorami strajków i "Solidarności" w sierpniu '80. Dzik stanowią, krepnąca już klasa biznesu, wciąż jeszcze porożająca poza głównym nurtem gospodarki, ale dynamicznie się rozwijająca, posiadająca niemala już base materiałną i finansową, dająca pracę i utrzymanie (wraz z rodzinami) kilku milionom osób w Polsce. Czy ta część milczącej większości nie ma swoich własnych, odrębnych interesów, ale rzadko sprzecznych z interesami pracowniczymi sektora uspołecznionego?

Przyczyną braku poparcia strajków jest być może jeszcze jedna ważna okoliczność, którą warto przemysleć, a mianowicie mała chwytność tzw. postulatów ogólnych. To, co w sierpniu '80 brzmiało świeżo i w poważnym odczuciu gwarantowało skuteczność, dziś nie wzbudza takiego entuzjazmu i nadziei. Dotyczy to, po pierwsze, ogólnych postulatów płacowych (obejmujących ogół lub całe grupy zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej), traktowanych jako ładanie dodatkowych pensji bez pokrycia. Prawda, że płace stanowią w ogólnych kosztach produkcji średnio ok. 10%. Ale prawda jest i to, że nawet tak niskie płace nie jest w stanie wciągnąć rynek w gospodarce, która ze względu na swą strukturę nie może nagie zacząć produkować o wiele więcej towarów rynkowych. Postulat restrukturyzacji byłby zapewne ekonomicznie rozsądniejszy i spokojnie bardziej ważny, choć, oczywiście, nie byłby postulatem wszystkich branż i grup zawodowych.

Po drugie, małą rolę jest dziś postulat niezależnych związków zawodowych (Jeżeli mówimy o legalizacji NSZZ "Solidarność") jako instytucji, które same przez się miałyby gwarantować poprawę sytuacji ekonomicznej, co w końcu jest daleko dla większości

Polaków problemem numer jeden. Jest w tym smutku sporo dowodów zdrowotności racji. Zwłaszcza zawodowej — obojętne jak — jest przeciek z natury swej instytucji rewindykacyjnej, której dalsze działanie w obecnej sytuacji tylko sprawiedliwemu daleczeniu negatywności. Problemem polskiej gospodarki jest zaś przede wszystkim brak efektywności, jej uruchomieniu skutkowałyby więc może bardziej wykrystalizowane się na poziomie przedsiębiorstwa — np. przez zmianę form własności — aliiżego interesu producenta, a nie pracownika. Czy postulat przekształcenia przedsiębiorstw państwowych w spółki prywatno-państwowe z udziałem kapitału pracowniczego nie byłby dalszą lepszymi, bardziej nożnym postulatem?

A wręczcie, nie można nie dostrzec, że postulat legalizacji "S", odbierany jest dziś przez większość jako postulat polityczny, a nie czysto ekonomiczny, czyli obronno-rewindykacyjny. Na poziomie walki politycznej milcząca większość radko jest stroną aktywną, częściej — zwykłym kibicem, a najczęściej — obojętną i nieświadomą w tym względzie masą.

Strajki, choć ograniczone, stworzyły wystarszającą presję na główne, aktywne sily polityczne, aby podważyły ich dotychczasowe strategię.

Zalazła się przede wszystkim była polityczna obojętność rządowego, polegająca na próbie przeprowadzenia powolnych wypracowań i stopniowych, ale w sumie dość radykalnych, jak na standardy ideologiczne realnego socjalizmu, reform ekonomicznych, przy pozostawieniu niemal bezładnych zmian systemu politycznego opierającego się na nieograniczonym monopolu władzy partii rządzącej. Dziś, po ostatnich strajkach, dla nielicznej części naszego aparatu, a zwłaszcza dla porządkowych ośrodków opłakotwórczych stało się jasne, że polityka "normalizacji" zbankrutowała, a niedługo reformy, sprawujące się do ostrożnej legalizacji wybranych ośrodków niezależnych lub wmontowane nowych grup i osób w stary mechanizm władzy — są punkta widzenia stabilizacji bezskutecznej. Kończąc po tej stronie barykady przedwładzenie, że dotychczasowe systemy władzy nie do się obronił na cześć drobnych koncesji. Niezbędna staje się daleko idąca inkajetywa otwarcia. Rzecz jasna, stanowiąca także nie jest stanowiskiem całej nomenklatury i jej uczestników. Bykowna byłaby nawet taka, że nie owo na soba większość, a aparat jest podzieleny na opeję reformatorów i zachowawców — tak wyznaczone bodaj po nas pierwszy od 7 lat. To również jeden z niezamierzonych skutków sierpniowych strajków.

Alie i strategia opozycji poddana została próbie. Olgające się co najmniej od "kryzysu poamerykańskiego" w 1988 r. spory i konflikty w "Solidarności" między "fundamentalistami" i "umiarkowanymi" od dłuższego czasu rozstrzygali na swoją korzyść ci ostatni, wywierając decydujący wpływ na kierunek działań opozycji. Widocznym znakiem były po pierwsze, niedługo próby rozmów między opozycją (czy, ściślej, niektórymi jej środowiskami) a władzą, podejmowane niejako obok fundamentalnego postulatu legalizacji "S" i przy wyraźnym braku chęci drugiej strony do jego uwzględnienia. Zwłaszcza po strajkach kwietniowo-majowych tendencja do rozmów i kompromisu nasiliła się, angażując coraz bardziej prominentne osoby z kręgu "S" lub związane z Episkopatem. Strajki sierpniowe, nieoczekiwanie silnie stawiające postulat legalizacji Zwizku, mogą, jak się zdaje, w sposób istotny zmienić ten układ sily.

Jak teraz łatwo zauważyć nasilenie się tendencji legalizacyjnych, wyrażających się w bezwzględny sposób kandydatury nasilenie Zwizku jako wstępnej warunku porozumienia. Te fundamentalistyczne też próby mają umiarkowani, wyrażali następujące sta-

nowisko, zaś fundamentalni konsekwentnie podbijają stawki, forsując na nowo swą nieakomplikowaną strategię, w myśl której Polska wchodził w okres zaburzeń i przelotu, a kolejne, coraz potężniejsze fale strajkowe, muszą władze do uszanowania "Solidarności" w jej przedgradulowym kształcie bez żadnych warunków wstępnych. W myśl tej strategii, prowadzenie w chwili obecnej jakikolwiek rozmów z władzą mijają się z celem, natomiast konieczne jest organizacyjne przygotowanie struktur "Solidarności" do następnej, bliżej konfrontacji strajkowej.

Warto rozważyć taki scenariusz. Bo choć wybuch masowych strajków wysuwających postulat legalizacji "Solidarności" wydają się mało prawdopodobny, realna jest z pewnością następna fala strajkowa, o znaczeniu szerszym zasięgu i większej sily nacisku. Taki rozwój wypadków umożliwiłby fundamentalistom przejęcie inicjatywy i odegranie po raz kolejny jednej z głównych ról. Pytanie o głębię sensu tej postawy ma zatem praktyczne znaczenie.

Strategia fundamentalistyczna nie uległa w ciągu ostatnich lat istotnym przemianom. Nadal u jej podstaw tkwi przedwładzenie, że koegzystencja niezależnych ruchów społecznych i demokratycznego państwa jest na dłuższą metę niemożliwa, toteż legalizowanie takich ruchów jest nieodwrotnie pierwszym krokiem do wymuszenia ewolucji całego systemu i jego stopniowego rozkładu. Sama wewnętrzna logika tej strategii skazuje się na rozwinięcie rywalizacji dwu- władzy umiarkowanej w dwóch swardających się ośrodkach decyzyjnych i opłakotwórczych: stanując ją system na status strategii okresu przejściowego i tymczasowego, w którym sily wyjątkowej równowagi nie są i nie mogą być trwałe.

Jest niemal pewne, iż wchodząc na scenę polityczną fundamentalisti odegrają to same role, w których oklaskiwali ich przed śledmim laty. Ale tymczasem nasza sytuacja uległa zmianie.

Jest chyba oczywiste, że każda formułowana dzisiaj publicznie strategia polityczna musi mierzyć się w szerzej perspektywie politycznej, która zawiera odpowiedź na pytanie dla wszystkich kierców: o polskie miejsce rozwojowe i warunki wyjścia ze stanu zaostaja i regresu.

Fairage z tego punktu widzenia, tworząc, iż niezbędne jest dzisiaj wytworzenie względnie stabilnej sytuacji politycznej przy uwzględnieniu realnego układu sily i możliwości artykulacji różnorodnych interesów. Myślę, że jest to warunek wstępny autentycznego rozwoju aktywności gospodarczej i tej odmiej, przede wszystkim z sektora prywatnego, i tej rozwijanej a udziałem kapitału zagranicznego, również poprzez dopływ kredytu. Stabilizacji nie jest dziś w stanie osiągnąć aparat władzy — zapewnił ją może wyłącznie stworzenie nowego układu politycznego, opartego na równowadze ważnych aktywnych sily społecznych i reprezentujących je struktur. Równowaga taka oznacza neutralizowanie pozostałych uczestników gry przez jeden ośrodek decyzyjny i opłakotwórczy: oznacza wytworzenie obszarów wspólnego interesu i współzależności, powstanie sytuacji, w której żadna ze stron nie jest na tyle silna, aby dalsze samodzielną czy w sferze politycznej, czy ekonomicznej. Stabilny układ polityczny jest zatem zaprzeczeniem sytuacji dwu-władzy prowadzącej do permanentnej walki "na wyniszczenie". Rzecz jasna, układu takiego nie da się zadekretować, bądź być po prostu odwołaniem równowagi wpływów w naszym społeczeństwie.

Czy sytuacja taka jest dzisiaj w Polsce możliwa? Myślę, że nie jest to jej o wiele bliżej niż śledem lat temu. Miałe są nasze na autentyczną stabilizację polityczną, dopóki nie wykrystalizuje się i nie ustabilizuje

centralizuje sily centrum, dysponujące własną tożsamością polityczną, strukturą organizacyjną i bazą społeczną, zdolne odgrywać rolę bufora pomiędzy aparatem władzy i oddolnym naciskiem rewindykacyjnym. Takiego centrum zabrakło przed śledmim laty, nie rytuje się, wyrażając równie i dziś, choć ogólny układ sily zmienił się na jego korzyść. Z tego punktu widzenia niebezpiecznie zauważyć, jak niewiele udało się zrobić przez ostatnie lata ludzkom środkom, sytuującym się w dalszym ciągu jedynie w roli mediatorów i doradczych pośredników.

Niezbędna staje się inkajetywa polityczna, wyrażająca świadomość tych grup społecznych, które nie są zainteresowane ani utrzymywaniem obecnego systemu władzy, ani, z drugiej strony, eskalacją i polaryzacją konfliktu. W sferze ekonomicznej naturalną bazą takiej inkajetywy jest odwołujący się coraz wyraźniej interes producenta, odrębny zarówno od interesu pracownika, jak też od interesu biurokracji. Interes ten reprezentuje sektor prywatny i gospodarka chłopka, a także niekiedy część ekonomicznie aktywniejszej kadry sektora upaństwowionego. W chwili obecnej, gdy nie można sobie pozwolić na to, by konstante walki politycznej stała się dingotowała destabilizacja ekonomiczna, stworzenie politycznej reprezentacji tego interesu staje się kwestią podstawową.

Jest dobry czas na organizowanie autentycznej centralnej partii politycznej — być może, w formie wstępnej, jako federacji stowarzyszeń, klubów i ośrodków już istniejących lub dopiero powstających; partii niekolektywnej, jednolitej ideologicznie, reprezentującej za to szeroki wachlarz postaw i programów pragmatycznych, nastawionych nie na realizację jakiegokolwiek stopni społecznej, ale na stworzenie w istniejących warunkach możliwie sprawnego i efektywnego systemu ekonomicznego i politycznego. Zainicjowanie takiej partii, takiego ruchu to aktualne dla autentycznych przywódców i organizatorów. To, czy się tego, zdawiający o naszej przyszłości.

Jest dobry czas, aby ogólny stan nastrojów społecznych wysunąć dla zdecydowanej akcji politycznej — organizacyjnej i propagandowej. Wynajdą się, mgliście jeszcze, kontury nowego systemu władzy, który mógłby stać się sensowną alternatywą dla dotychczasowego, niewydolnego centralizmu, z drugiej strony gwarantowałby niezbędną skuteczność władzy wykonawczej.

Propozycje takie — pojawiające się coraz częściej również w środowiskach porządkowych — wprowadzają się do kilku podstawowych nakład:

1. całkowite oddzielenie zarządzania gospodarczego od władzy politycznej i nalecenie nomenklatury w gospodarce;
2. pluralizm reprezentacji interesów społeczno-zawodowych i środowiskowych;
3. utworzenie III sily sijnowej, sily społeczno-gospodarczej, jako nadbudowy tego pluralizmu i demokratycznej struktury przedstawicielskiej;
4. ograniczenie tzw. kierowniczej roli PKP i do określonej procentowo liczby miejsc w kółko poszczególnych organach sily wybranych stanowisk rządowych;
5. wolne wybory w oparciu o wielość list na terenie lokalnym.

O ile donokoby do usgodnienia tych propozycji — a wiele wskazuje, że niektóre przy najmniej są całkowicie serio rozważane — stworzone by zostały rzecz jasna tylko pewne nowe instytucjonalne, które musiałby zostać

wypełnione konkretną treścią interesu politycznego.

Bardzo, że bez silnej orientacji centralnej trudno liczyć na stabilność takiego układu.

IRENEUSZ KRZEMINSKI

OO DALEJ I "SOLIDARNOŚCIĄ"

Chciałbym zastanowić się nad sytuacją, jaka panuje w Polsce w chwili, gdy zbliżamy się do drugiej rocznicy powstania "Solidarności". Sądzę, że jest to sytuacja pełna paradoksów. Podstawowym z nich jest to, że racjonalnie zwyciężała niekiedy idea "Solidarności", gdy tymczasem ludzie powściągliwie odwrócili się od "Solidarności" i od samych siebie — jakby byli i chcieli być wrożeni.

O jakiej idei chodził Sądzę, że przede wszystkim o przekonanie, że nie można efektywnie sprawować władzy bez poparcia opinii publicznej i że władza oparta na przemocy, a nie współpracy (choćby ograniczonej, choćby częściowo wymuszonej) ani nie jest w stanie osiągnąć pozytywnych celów, ani nie daje satysfakcji. Idea była bowiem tylko władzą "okupacyjną" wobec społeczeństwa. W tym sensie można utrzymywać, że "zadanie" było niewygodne, że "zadanie" było niewygodne, że "zadanie" było niewygodne.

Po drugiej, program reformatorski "Solidarności" zakładał ścisły związek reform politycznych i gospodarczych, którego sercem i ideą miały być relacje między rządzącymi państwem a "społeczeństwem". Utrzymywano bowiem — nieścisłe — że jakkolwiek reforma życia społecznego, a gospodarka za czasie może stać się efektywna tylko wtedy, gdy uruchomiona zostanie na szeroki skądnie inicjatywa ludzi i gdy ich gospodarcze przedsięwzięcia będą rozwijać się w atmosferze swobodnej i z myślą o długim przyszłości.

Po trzecie, charakterystyczne dla myślenia ludzi w "Solidarności" było nastawienie na długotrwały program reformowania strukturalnie życia społecznego, aby zbliżalo się ono do etycznie sformułowanych ideałów. Postawa ta była bardzo powściągliwa, mimo wszystkich przejawów niecierpliwości pomysłowych działaczy i całych grup członków.

Obod idea te nie wyczerpały ani licowego przesłania, ani szeregu postaw przyjmowanych powszechnie przez członków "Solidarności", w których — na te właśnie idee, ponieważ wynikał z nich — obecną bardzo istotną. Skłonny jestem sądzić, że "oni" — ekipa rządząca — przyjął — w sposób częściowy i na "wydanych szeregach" — świadomość siebie charakter — czysto negatywny — oraz władzy. Ekipa generała Jaruzelskiego, który ponosił się konsekwentnie fraszologicznie rewolucyjną, nie udolił się, uruchomił w konstruktynny sposób energii społecznej, a przy tym odległ się stan politycznej demobilizacji społeczeństwa, nie biernego czynnego działania w odpowiedzialności za los kraju. Potulność i słabymania nienawist i czas skrajny egoizm i nieważne próżności stały się treścią życia publicznego. "Rewolucyjna" władza ma wolał zdecydowanie i się, aby utrudzić obywatelom protest, zahamował działanie społeczne na szeroki skądnie, by zablokować inicjatywę, która sama na zakodowane dla siebie, ale nie oznacza to przecież uruchomienia pozytywnego działania społecznego na szeroki skądnie. Tak oto praca idea, która nieścisła "Solidarności" — że "polityka" nie polega na umiędzynosił stosunkami przemocy — z całą pewnością zaczyna odnosić zwycięstwo.

Ekipa rządząca od paru lat Polska jest o całą prawniczą przemoc. Ale program, jaki forsowała — stosując przemoc i przymus, by doprowadzić do wyjęcia z kryzysu gospodarczego — pomógł tylko trochę, jeszcze bardziej spektakularną niż program polityczno-rewolucyjny. Młokne osiem lat jest okresem nieustającego upadku gospodarki, chociaż już w roku 1989 wszystkim się zdawało, że stoją na skraju przepaści. Oczywiście, że warunkiem jakiegokolwiek reformy gospodarczej są reformy

polityczne, umożliwiające odwrócenie etycznego wymiaru państwa. W ten sposób druga z wcześniejszych wymienionych idei łączy się z trzecią.

Reforma państwa — aby doprowadzić do skutecznego zreformowania gospodarki — niekoniecznie polegać musi na pełnej demokracji, z całą pewnością natomiast musi przywrócić praworządność. Innymi słowy, że prawo — na dobrą sprawę — definitywnie "zawieszono" przez stan wojenny i późniejsze reformy ustrojowo-gospodarskie powinno odzyskać rolę nadrzędnego czynnika, kontrolującego poczynania zarówno "ludzi władzy", jak i "społeczeństwa". "Państwo", któremu udało się rozbić "społeczeństwo", zaraz potem samo uległo procesowi postępującego rozkładu. Trwałe bowiem państwo — nawet dyktatorskiego — jest niemożliwe bez minimum trwałych zasad, bez minimum treści moralnej.

Splot tych dwóch idei wydaje mi się również zwycięstwem "Solidarności" — sądzę bowiem, że świadomość związku, o którym wyjął mowa, stała się udziałem części ekipy rządzącej.

Ale ekipa ta jest również na swój sposób "zwycięska" — sprawiła, że "społeczeństwo" w chwili obecnej odwraca się zdecydowanie od uczestnictwa w odpowiedzialności za los narodu. Sytuacja jest także paradoksalna, bo przecież zarządem wielki, związkowy ruch reformatorski "Solidarności" wywnosił najpotężniejszą i, jak dotąd, najtrwalszą, elitę społeczną, o wyraźnych aspiracjach politycznych i znacznym poczuciu odpowiedzialności za to, co konserwatyści nazywają "dobrem wspólnym".

Leż tuż tużemy wobec następnego, paradoksalnego "spłotu", dotyczącego zarówno "ludzi władzy", jak i "solidarnościowej" opozycji. Jest to "problem tożsamości".

Sądzę, że autentyczna troska o los kraju, o owo "dobro wspólne" jest pewną nową postawą, która kształtuje się w obliczu władzy. Jest ona nowa na kilka sposobów. Po pierwsze, zakłada istotnie nową hierarchię "praktycznych wartości" — nade wszystko — są przemagają troski o los własnego kraju i jego przyszłość nad troską o pryncypia ideologiczne komunizmu. Po drugie, ujawnia skłonność do podporządkowania swego działania trwałym wartościom, trwałym zasadom — choćby minimalnym — a nie ich instrumentalizacji ze względu na sprawowanie władzy. Po trzecie, prowadzi do zmiany definicji "władzy" i pojmowania "rządzenia", a tym samym skłania "ludzi władzy" do przebudowy obrazu samych siebie w taki sposób, aby ich poczucie własnej wartości i sensu własnego życia związane było raczej z owymi trwałymi zasadami niż bieżącą możliwością podporządkowania sobie przemocy innych.

Z kolei "solidarnościowa" opozycja — mimo rozwijającej się ostrości w jej ramach refleksji krytycznej — jest wciąż skłonna sądzić, że nadal istnieje — choć w sformułowanej "odpórnej" formie — wielki, związkowy ruch społeczny "Solidarności" i charakterystyczne dlań postawy i motywacje do działania.

Zobowiązuje to jest — według mnie — całkowicie błędne. Idea i postawy, składające się na "popularny", masowy nurt "Solidarności", zostały wyparte ze świadomości albo też podane przeanalizacji, która nieścisła ze sobą sentymentowa samoponiżenie. Co więcej, ogół społeczeństwa wrócił do pragmatycznej definicji polityki jako czegoś, w czym lepiej nie uczestniczyć. I jakkolwiek można oczekiwać powrotu fall zaangażowania, z całą pewnością nie nastąpi to w formie jednorazowego aktu. Ostatnie atrakcje pokazały, że wyraźnie polityczną postawę prezentują obecnie najmłodszy — chociaż zarazem widzą, że postawa ta ma niewiele wspólnego z głębokim

obywatelskim zaangażowaniem twórców "Solidarności".

Tymczasem jednak przedstawiciele "solidarnościowej" opozycji zachowują się tak, jakby reprezentowali nadal masowy i obywatelski ruch społeczny. Co więcej, elita społeczna, jaka wyłoniła się z "Solidarności", prezentuje świadomość rewolucyjną i to w jakimś sensie. Po pierwsze, zakłada, że jakiegokolwiek reforma, jakiegokolwiek autentyczna przebudowa państwa jest niemożliwa bez masowego, aktywnego udziału społeczeństwa. Definiuje "solidarnościowej" opozycji sądzę się sądzić, że byłoby "zdrajcami", gdyby podejmowali działania bez zaangażowania się masowego ruchu politycznego i masowo popartego nacisku na władzę. Po drugie, elity te chciałyby uszykować od przeciwnika — jako warunków wstępny ewentualnej kooperacji — moralne sadościuczynienie, swoboly "akti sprawiedliwości": pokorne przyznanie się "ludzi władzy" do popełnionego zła. Władzę tę postawę — z gruntu moralistyczną — se "świadomością rewolucyjną", sądzę bowiem, że "rewolucja" w nowoczesnym wydaniu zawiera w sobie element takiej moralistycznej rewindykacji.

Zarówno ta diagnoza sytuacji, jak i obraz zobowiązań podejmowanych przez "solidarnościową" opozycję wobec społeczeństwa wydaje się głównym czynnikiem hamującym zarówno myślenie, jak i społeczne działanie. Mamny więc do czynienia z kryzysem tożsamości "ludzi opozycji" — tych wspaniałych uśmiechniętych ludzi, którzy potrafili i żyć, i myśleć oprócz się przemocy; którzy nadwładzali swoją własną wartościom i ideałom, za które wielu z nich zapłaciło wysoką cenę; dla których wolność i godność ludzka są naprawdę realną i konkretną sprawą. Paradoksem polega na tym, że nie można oczekiwać, aby postawa ta stała się powszechna. Zapewne, więźność ludzi czuje smak wolności i więźność ludzi skłonna jest się za nią, opozycję. Jednak historia dowodzi, że zwykle tylko nieliczni na tyle ceną sobie wolność, by czynić o tym świadomych, i tylko nieliczni potrafią być wierni ideałom, które "wolność" trybunał niezbędny wymiarem życia ludzkiego. Tylko straszkowo nieliczni potrafią też zachować wierność postawie obywatelskiej w codziennym życiu. W Polsce lat osiemdziesiątych — podobnie, jak i w Polsce innych czasów — masowy ruch "Solidarności" wywnosił liczną, wiebrało powiązany krąg społeczny ludzi ideowo zaangażowanych. Są oni niejako nośnikiem tamtych wartości i zarazem czynnikiem, od którego należy zarówno możliwość ich realizacji w praktyce, jak i — tym samym — ka Polska.

Zależy na jednaki od sposobu organizacyjnego i symbolicznego ujęcia myśli i działań wywniesionych z "Solidarności" elity społecznej. Baza związkowa ruchu — dawniej stanowiąca jego integrację, się — w obecnej sytuacji nie może być dłużej nośnikiem postawy obywatelskiej i podstawą przemian, które są potrzebne by całkowicie upadłemu krajowi. W tym sensie mówię o kryzysie tożsamości "solidarnościowej" opozycji: musi ona wyrazić siebie na nowo, na nowo sdefiniować ideową postawę, która otwiera masowy ruch związkowy, aby zawarte tam idee znalazły nową formę i nową postać organizacyjną.

W końcu rzeczy "Solidarności" przypomina obecnie nieformalizowane — nie można, pre-partyjne — struktury. Warto byłoby określić bliżej zarówno instancje społeczne, jak i myślowe tego kręgu, który tracił bardzo dużo energii na konflikt i rozgrywki wewnętrzne, spowodowane przede wszystkim niejasnością, własnej tożsamości i niedookreśleniem wspólnych celów ideowych

działania. Sądzę, że dla ratowania kraju konieczne jest utworzenie "partii Solidarności" czy, inaczej mówiąc, "partii obywatelskiej". Jaka miałaby być jej programowa ideologia?

Kiedy w tym miejscu odwołuję się do "Solidarności", czynię to w innym sensie niż dotychczas. Chodzi mi o podstawę działania społecznego, które rozwinęło się w sierpniu 1980 roku i którego logicznym uwiecznieniem był NSZZ "Solidarność" — mianowicie i ideę społeczeństwa obywatelskiego. Nie używam słowa "demokracja", bowiem "społeczeństwo obywatelskie" — jak mi się zdaje — niekoniecznie musi mieć w pełni rozwinięte demokratyczne instytucje ustrojowe. Z całą pewnością "społeczeństwo obywatelskie" w tym kierunku zmierza, ale ustanawia je co innego: przestrzeń wspólnej debaty, która jest zagwarantowana pewnymi niepodlegającymi kwestionowaniu przez kogokolwiek prawami obywatelskimi. Zakres tych praw może być różny, ale chodzi o to, aby państwo wspierało się na ich przestrzeganiu, a nie miało mocy ich zawieszania.

W obecnej sytuacji wykształca się takiego podmiotu politycznego jak partia "Solidarności" wydaje mi się i możliwe, i pożądane. Partia ta z konieczności musiałaby mieć bardzo szeroką programową ideologię — właśnie "obywatelską" — bazującą na tym konsensusie społecznym, jaki udało się w Polsce sbudować w roku 1981, a który obejmował również bardzo liczne rzesze członków PZPR i "ludzi władzy". Taka programowa ideologia pozwalałaby na efektywne współdziałanie z rządzącą PZPR, na ustabilizowanie tożsamości tak "ludzi władzy", jak i "ludzi opozycji" na nowym poziomie. Sądzę, że jest to warunek efektywnej troski o "dobro wspólne", które należy pojmować w chwili obecnej wyjątkowo dramatycznie: jako walkę o zachowanie integralności kraju i narodu.

Rządząca ekipa najwyraźniej poszukuje sposobu rozwiązania trudności — nie tylko trudności własnego rządzenia, ale i trudności, wobec których staje cały kraj. Z drugiej strony ruch związkowy "Solidarności" wypracował na I Kształcie program reform, skierujący w kierunku "Polski samorządowej". Bez względu na to, jak krytycznie go oceniam, warto doń nawiązać — był to bowiem jedyny całokształtowy program, jaki zarysowano w ciągu ostatnich lat, nie licząc programów strony rządowej, których każdorazowe flakosy drogo nas kosztują.

Być może jesteśmy po raz pierwszy w sytuacji, w której strona rządowa skłonna jest wypracować program działania wspólnie z reprezentantami społeczeństwa, z "ludźmi opozycji". Najprawdopodobniej trudno oczekiwać, aby komuniści chcieli zrezygnować z władzy, ale najwyraźniej skłonni są ją ograniczyć, czyniąc z niej coś więcej i coś innego niż zamowienie rządzących. Aby uzgodnienie było możliwe i aby przyniosło trwałe skutki, "społeczeństwo" i jego interesy muszą zostać wyrażone w jasnej, wyraźnej postaci. Stąd postulat "partii Solidarności" — jej utworzenie pozwoliłoby na bardziej klarowne wypracowanie alternatywnych programów reformy państwa, tak aby powstał materiał, który może stać się podstawą sformułowania treści społecznych porozumień.

Słowo "partia", którego użyłem w odniesieniu do "Solidarności", wymaga dodatkowego określenia. Kiedy mówię o "partii Solidarności", mam na myśli taką organizację, która nawiązywałaby raczej do amerykańskiej kultury politycznej niż do klasycznej tradycji europejskiej. Mam więc na myśli partię, której platforma ideologiczno-polityczna — w porównaniu do partii typu leninowskiego — nie jest trwale skryształizowana, a strukturę tworzy baza poro-

nego w wyraźnym kodeksie moralnym. Przynależność jest tu wyznaczona przez podzielenie określonego zbioru praw czy zasad, tworzących pewien rodzaj etosu. W jaki sposób partia wyraził w praktycznej sytuacji społecznej swoje cele polityczne, a ideologia rozpoznałaby się wśród członków partii — jest kwestią samego życia, rozwoju działania, świadomości i nie innych sposobów myślenia, takich a nie innych przywódców. Konieczne jest natomiast wyraźne sprecyzowanie podstawowych interesów, dokładne i szczerze przedyskutowanie zbioru "pierwotnych zasad" — tego, co jest wspólnie aprobowaną i niekonkurencyjną "basą przekonań moralnych".

Długo jestem zdania, że utworzenie takiej pojmowanej "partii Solidarności" byłoby dla Polski korzystne. Najważniejszym powodem jest to, że utworzenie tak pojmowanej partii byłoby najlepszą szkołą demokracji. W ramach jednolitej organizacji i w strukturze wzajemnej lojalności uczono by się formułować własne stanowiska i zarazem tak pokonywać konflikty, aby zasadnicza spójność partyjna została zachowana. Ważne to dlatego, że zagadnienie rozwiązywania konfliktów, zwłaszcza radzenie sobie z różnicami ideowymi, a różnicami celów politycznych i sposobów myślenia politycznego stanowi główne zadanie nie najpierw całej opozycji, a potem — całego społeczeństwa. Tradycja rewolucyjna i tradycja "narodowej irredenty" — jak mówi Mieczysław Żelazki — nie zacięła sprzeczności, konfliktów, istotnych różnicowań "we własnym obozie". W większym jeszcze stopniu — bo z moralistycznym usasadnieniem — wymuszała taką "jedność" tradycja narodowo-kościelna. Z drugiej strony, ideologia komunistyczna — również moralistycznie podbudowana — kazała przeciwników ideowych stawiać po prostu "pod stłenkę" i z największą zjadłością tępić wszelkie różnicowanie we własnym obozie. Tradycja "obłądzonej twierdzy", która — jak twierdzi Marek Król — wciąż doświadczyliśmy, uniemożliwiła, paradoksalnie, wytworzenie struktur porozumienia, które by same nie były kolektywistyczne i nie niosły "zgliszczachowania".

Drugim argumentem na rzecz przedstawionej propozycji jest fakt empirycznego różnicowania elity wyrażającej się ruchem "Solidarności". Z tego samego źródła, z tej samej inspiracji, ze wspólnego doświadczenia różne grupy i różne środowiska rozwijają własne, odrębne myślenie, czasem wręcz własny etos. Ale wszystkie te różnice — dalekie niekiedy bardzo duże — w większości wypadków mają wspólne źródło, wspólne ideowe i życiowe zakorzenienie. Stąd też wyrażenie na nowo, niejako ideowo ujawnienie owego źródła, jakim była "Solidarność" 1981 roku, stwarza możliwość znalezienia wspólnej programowej i politycznej energii wielu różnych grup (bez satysfakcji ich swoistości), a nie jej nieustannego rozpraszania, jak to się dzieje obecnie.

Po trzecie, ukonstytuowanie się nowego typu partynodeli przywracałoby "władczwe", wspólnotowe rozumienie "polityki" — jako obywatelskiego zaangażowania w sprawę wspólnego dobra i wspólnego losu — zarazem nie narzucając z góry owemu zaangażowaniu moralistyczno-ideologicznych ograniczeń. Utrwałoby wzór współżycia i współdziałania, który rany wspólnoty czynił trwałymi, zakorzeniając w uniwersalnych i transcendentnych wartościach, a dykturazę życiową, dykturazę różnic i wielości nie satruwa nieznadnym balastem politycznej moralistyki. Taka "partia Solidarności" byłaby więc znacząco głębszym, kulturowym przemian — takich, które mogłyby sprzyjać odrodzeniu ludzkich osobowości tak niechętnie wyjątkowych w Polsce ostatniej doby.

Ireneusz Krzeminski

felieton pożyczony

## DWA MANDATY

Lech Wałęsa rozmawiał z gen. Kłossakiem. Ci z nas, którzy uważnie wsłuchaliśmy w Polskę, pytają o rolę i miejsce Wałęsy przy "okrągłym stole". Władza konserwatywnie odmawia uznania w Wałęsie przewodniczącego nadal istniejącego Związku — NSZZ "Solidarność". Dla ludzi, dla "większej większości", sytuacja jest jednoznaczna. Władza stanu wojennego została zmuszona do rozmów z przeciwnikiem od 6 lat reprezentowanym, propagandowo dyskredytowanym, ale uznawanym politycznie. Władza została zmuszona do uznania w "S" partnera rozmów. Tak mówi ulica. I w sensie symbolicznym jest to prawda. Inna jest jednak prawda polityczna. Przy generalnym stole zasiadł Wałęsa jako człowiek szeroko rozumianej opozycji. Nie jestem formalistą, choć w życiu społecznym chodzi właśnie o FORMY — organizacje, instytucje, mechanizmy społecznego działania — nie zaś o symboliczne sceny. Nie jestem formalistą dla tego, że w obecnej sytuacji PRL, potrzeba zdecydowanego przełamania dotychczasowych form funkcjonowania państwa. A to wymaga sprecyzowania punktu wyjścia i punktu dociecia wszelkich rozmów.

Plan władzy, ogłaszany od maja br. w rozmowach kulturalnych, daje się sprowadzić do dwóch tez: pozytywnej i negatywnej. Pierwsza to propozycja otwarcia Sejmu dla debaty opozycji. Mówi się o 40% najmowych miejsc. Tę drugą — ma to być opozycja pozbawiona autokratycznego, organizacyjnego zakorzenienia w społeczeństwie. Stowarzyszenia, kluby, redakcje, środowiska — TAK. Niezależny ruch związkowy, masowa partia polityczna — NIE.

Z perspektywy Sierpnia '80 jest to daleko ideał modyfikacja systemu władzy w PRL. Rzecz w tym, że stan państwa wówczas i dalsze nie jest ten sam. Dalsze nie chodzi tylko o więcej prawdy i więcej wolności, lecz o więcej EFEKTYWNOŚCI. Państwo się rozpadła, czego najlepszym dowodem jest sabotowanie reformy przez aparat władzy: partyjny, gospodarczy, administracyjny, wszelkie szczeble. Z faktu, że w Sejmie zasiadą niezależni dotychczas działacze, nie wprost nie wynika. Przybędzie nam zapewne mów, interpelacji i głoszących przeciw. Dla ludzi w zakładach pracy, dla robotników, rzemieślników, handlu, dla młodzieży, sytuacja pozostanie bez zmian. Odyś bez zmian pozostanie aparat władzy na wszystkich poziomach. Ten aparat, który hamuje inicjatywne, korumpuje przedsiębiorczość, dewastuje bezkarnie kraj i tak już ogromnie zniszczony.

Nie jestem radykałem, wierzę w zasadę ewolucji, ale wiem także, że dalsze w Polsce dwa są tylko mandaty gwarantujące wszelką skuteczność. Pierwszy, związkowy, prowadził do utworzenia tysięcy "okrągłych stołów", przy których usadniać się będzie lokalne — zakładowe i środowiskowe — projekty samostanowienia państwa. I mandat drugi, polityczny, prowadzący do podzielenia się władzy przez PZPR. Dopiero wówczas, gdy wymianie ulegną dotychczasowy aparat władzy w tych płaszczyznach, które decydują o wewnętrznym stanie państwa, możemy obudzić w Polakach ODPOWIEDZIALNOŚĆ za całość państwa.

Andrzej Urbaniak

(Biuletyn Strajkowy Regionu Mazowsze, 1.6.1980 r.)

# DUSZPASTERSTWO LUDZI PRACY

CHRZEŚCIJAŃSCY  
DEMOKRACI —

WOLNOŚĆ  
I ODPOWIEDZIALNOŚĆ

MARIAN PARCZOWSKI

(...) Duszpasterstwo Ludzi Pracy "Wola" jest jednym z pierwszych tego typu środowisk w Polsce, które powstały przy Kościele po delegalizacji NSZZ "Solidarność". Złączyły nas, jak sądzę, trzy sprawy. Przywiązanie do naszego niezależnego od władzy Związku i ruchu społecznego, którego byliśmy działaczami. Nasza wiara i ufność do Kościoła, który wielokrotnie w Polsce dawał dowody troski o prawa człowieka i prawa narodu polskiego. I wreszcie nasza gotowość do podjęcia obywatelskich zobowiązań w sytuacji, kiedy władze pragnęły zachować całkowitą wyłączność w kwestiach decydowania o losie Polski.

Jesteśmy działaczami społecznymi i w naszej pracy sprawą pierwszoplanową są działania podejmowane na rzecz konkretnych środowisk pracowniczych i w sprawach dla tych środowisk najważniejszych. W tym szukać należy źródeł takich działań, jak pomoc charytatywna, prawna, w rozdzielnictwie leków, działalność namokształceniowa, wyjazdy wakacyjne dzieci i rodziców, różne formy upowszechniania kultury czy wreszcie zorganizowanie systematycznego kształcenia kadry, kształcenia alternatywnego wobec obowiązujących form propagandowych i edukacyjnych. Wszystkie te działania odwołują się do tych zasad katolickiego współdziałania w życiu społecznym, które najlepiej dają się opisać poprzez słowa: solidarność i współnota. Solidarność wobec spraw małych, trapiących jednostki i środowiska oraz solidarność wobec

sprawy najważniejszej — dobra naszej ojczyzny. Czasami trudno jest rozdzielić te dwa pojęcia, czasami wydają się one, że zajmując się sprawami małymi zapomniamy o sprawie najważniejszej. Ale przecież poprzez każdą działalność staramy się budować to, co w każdej rzeczywistości jest chyba najważniejsze — wspólnotę ludzi gotowych pomóc sobie i innym. Taki jest najprostszy sens naszej pracy w duszpasterstwie.

Z ogromną radością obserwujemy, jak rodują się i działają inne Duszpasterstwa Ludzi Pracy w Archidiecezji Warszawskiej i w innych miejscowościach w kraju — w Piotrkowie, w Radomiu, w Kielecach... Patrzymy, jak praca tego typu potrafi wpływać się, coraz śmielej w generalny projekt Polski naszych marzeń — Polski demokratycznej. Trudno jest dziś przewidzieć, jak długo jest jeszcze nasza droga do tej Polski, jak wiele jeszcze przyjdzie nam przeżyć: męczący protestów i represji, jak dalece władze gotowe są dopuścić do współdecydowania o losie kraju niezależnie zorganizowane środowiska pracownicze.

Myślę, że takie wizyty, jak ta dzisiejsza, bardzo dobrze służą przypomnieniu tego procesu. Oto reprezentanci świata zachodniego poraz pierwszy od zakończenia wielkiej wojny mają szansę spotkać się z autentycznymi niezależnymi środowiskami pracowniczymi w Polsce. Są tu na mił przedstawiciele MKK, "Kaspraka", "Nowotki", "Świeczewskiego", "Róży Luksemburg", "Waryńskiego", przedstawiciele Krajowej Komisji Rolników "Solidarność" oraz nasi przyjaciele z Regionalnej Komisji Wykonawczej "Solidarności" "Masowian".

To spotkanie jest również szansą dla nas — oto mamy możliwość poznać tych, którzy współdecydują o losie Europy najbliższych lat. Sądzę, że takie przybliżenie dwóch, być może podobnych, punktów widzenia na sprawy człowieka i państwa w Europie zawsze są ludzkom bardzo potrzebne. Zbliżają bowiem to, co s powodów ideologicznych i geopolitycznych było ażuacnie do siebie odległe. Spotkanie takie daje szansę porozumienia, a przecież wolna, nieskrępowana wymiana jest jedną z tych wartości, które są nam i naszymi gośćmi ogromnie bliskie. (...)

## DELEGACJA PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO NA WOLI

W dniach 20-24 czerwca br. przebywała w Polsce delegacja frakcji parlamentarnej EPP Europejskich Partii Ludowych chrześcijańskich demokratów Parlamentu Europejskiego z przewodniczącym frakcją, dr. Egonem Kiebachem. W skład delegacji wchodził wiceprzewodniczący: Michel Debatisse, Lambert Oroux i Johanna Majj-Weggen oraz Panayotis Lambrias. Ponadto przybyli wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego Siegfert Alber, generalny sekretarz frakcji EPP Sergio Gueciono, członek frakcji Gustavo Selva oraz doradca Jurgen Wahl.

Podczas rozmowy oficjalnymi z przedstawicielami rządu i Sejmu PRL parlamentarzyści zachodnioeuropejscy odbyli szereg spotkań ze środowiskami opozycyjnymi, m.in. z Klubem Myśli Politycznej "Dzielniki" i DLP "WOLA". W Gdańsku miało miejsce spotkanie z Lechem Wałęsą.

Poniżej publikujemy tekst powitania Mariana Parczowskiego, wywiad z Egonem Kiebachem i Johanną Majj-Weggen

## CHRZEŚCIJAŃSCY DEMOKRACI —

WOLNOŚĆ I ODPOWIEDZIALNOŚĆ

W formule chrześcijańsko-demokratycznej wybory polityczne motywowane są racjami religijnymi. Jako jedyna partia masowa ma chadecja w tytule wyróżnik wyznaniowy. Rodzi to szereg problemów praktycznych i teoretycznych. Jak na przykład: czy chrześcijaństwo użyte w tytule nie jest traktowane instrumentalnie? Czy formuła chadeccka, powstała w określonej sytuacji historycznej, nie jest już dziś anachronizmem?

**EGON ELLBSON:** Formuła polityczna chrześcijańskiej demokracji opiera się na zasadzie rozumianej po chrześcijańsku odpowiedzialności, tzn. jest to polityka oparta na określonych założeniach i jasnej koncepcji człowieka. Chrześcijańska koncepcja człowieka jest nadrzędną wartością, która nas zobowiązuje w działalności politycznej i która tę działalność ukierunkowuje. W, daje mi się, że jest to formuła wciąż nowocześnie, odpowiadająca wyzwaniom naszych czasów, ponieważ akceptuje ona człowieka w pełnej skali jego ludzkiej godności, osobowości, tożsamości.

**JOHANNA MAJJ-WEGGEN:** Jeśli mogę dodać do tego jeszcze słowo. W naszej działalności szczególnie bliska jest nam zasada konfliktu. Doprowadzanie przez konflikt do porozumienia, unianie politycznej i konfrontacji. Co oznacza to, jeśli przełoży

ć zasadę na język polityki? Dla przykładu — partie lewicowe mają naturalną inklinację do reprezentowania interesów pracobiorców, partie prawicowe — konserwatyści, liberałowie — wyrażają z reguły punkt widzenia pracodawców. Chrześcijańscy demokraci sąware podejmują wyniki analizy optymalnego, konstruktynawego rozwiązania godzącego te skrajne stanowiska.

**E.K.:** Ta nasza orientacja, o której mówił Majj-Weggen, jest związana z naszą komplementarną w stosunku do koncepcji człowieka ideą pokoju — zarówno w stosunkach społecznych wewnętrznych, jak i między narodami.

Nasze pryncypia opierają się — jak wiadomo — na trzech głównych ogólnych zasadach: personalizmu, solidarności i suby-dialności. Dla chrześcijanina — mówię tu o moim osobistym poglądie — najpełniejszym przesłaniem, które winno go prowadzić w jego praktycznym działaniu, również politycznym, jest przesłanie, jakie wynika z ewangelicznego "Kazania na górze". Może ono stanowić trwały punkt oparcia dla rozwiązywania aktualnych problemów naszej współczesności. Przynajmniej Państwo, że obecne programy chrześcijańskich demokratów oraz socjaldemokratów, a nawet liberałów nie różnią się od ste-

ble znacznie. Na przykład SPD w swoich programach a Godesberga również powołuje się na inspirację chrześcijańską.

**E.K.:** Tak jest. Socjal-demokraci przejęli od nas w tym programie zasadę, która my już dawno przed nimi sdefiniowaliśmy i która została pozytywnie zweryfikowana. Użyłbym tutaj polityki chrześcijańsko-demokratycznej w ten sposób: jest to polityka wychylona ku przyszłości, a oparta na sprawdzonych wartościach, co daje jej szansę znajdowania pragmatycznych rozwiązań problemów, które niekiedy się sobą współczesność. Dla przykładu, sukcesy chrześcijańskich demokratów, jakie odnieśli oni w okresie powojennym w Europie Zachodniej, wynikały z dwu rozstrzygających czynników: po pierwsze, ugrupowanie chrześcijańsko-demokratyczne zdecydowanie odrzuciło walkę klas jako metodę rozstrzygnięcia problemów społecznych, głosząc zasadę solidarności i partnerstwa. Wyrażło się to w postaci partii ludowej, obejmującej wszystkie warstwy społeczne. Po drugie, chrześcijańscy

demokraci znaleźli właściwą drogę, aby pokonać zadawnione nienawiści między narodami, doprowadzić do pojednania, a wczorajnich śmiertelnych wrogów uczynić sojusznikami. Chrześcijańscy demokraci wnieśli obrzymi wkład w dzieło budowy Wspólnoty Europejskiej.

**J.M.-W.:** Ochłabym zwrócić uwagę, że rzeczywicie również u nas w Holandii stanowiska liberałów i socjaldemokratów znaczą



nie abiliły się do naszych. Daje się tak, ponieważ nasi rywale zauważyli, że programy chrześcijańsko-demokratyczne zdobywały coraz większą liczbę zwolenników. Partie lewicowe i prawicowe zaczęły się coraz bardziej orientować w stronę centrum, bowiem tu znajdowała się najrozsądniejsza baza społeczna. Nie mamy nic przeciwko temu, że nasze programy i poglądy przejmowane są przez rywalizujące z nami ugrupowania. Stwarza to korzystne warunki dla formowania koalicji, co często praktykujemy. Przypomnijmy tylko gwoli prawdy historycznej, że te sesady zostały właśnie przez nas już wcześniej sformułowane i mają one chrześcijańsko-demokratyczny rodowód.

**E.K.:** Chodzi również o to, aby nie konglować tymi zasadami swobodnie dla poszukiwania wyborczej większości czy innych doraźnych korzyści. Chodzi o wierność im bez względu na sytuację czy koniunkturę.

Jaki jest tradycyjny elektorat partii chadeckich? Innymi słowy, gdzie chrześcijańscy demokraci mają swoją bazę społeczną?

**E.K.:** Jak już powiedziałem, jesteśmy partią ludową, tzn. staramy się tak opracowywać nasz program, by był on do zaakceptowania przez wszystkie grupy społeczne. Doprowadziło to do tego, że w warunkach demokracji partii chadeckie dochodziły w wyborach do 60% głosów. Chodzi więc o program możliwie powszechnie przyjmowany. Odkrywają się głosy, że na przykład na CDU głosują głównie chłopcy. Jest to tylko część prawdy. W ostatnich wyborach CDU odniosła duże sukcesy, ponieważ otrzymała również większość głosów wykwalifikowanych robotników sektora przemysłowego oraz umocniła znacznie swoje wpływy w wielkich ośrodkach miejskich.

**J.M.-W.:** W Holandii tradycyjną bazę dla CDA stanowią ludzie związani w taki czy inny sposób z Kościołem — katolickim i reformowanym. Jest to trwała baza. Niemniej jednak w ostatnich latach przystąpiło do CDA wiele ludzi, dla których przynależność do Kościoła nie jest aż tak ważna, lecz który wybierają opcie chrześcijańsko-demokratyczną ze względu na program polityczny czy społeczno-gospodarczy partii. W ostatnich pięciu latach wstąpiło do CDA więcej młodych ludzi niż do innych partii. Daje nam to stale około 25% głosów w wyborach.

**E.K.:** Chcę podkreślić jeszcze raz: nie traktujemy naszej działalności politycznej jako "religijnego ersatzu". Nie uważamy, aby brniał dla wszystkich chrześcijan przymus głosowania na nas. Nasze programy są naszą własną propozycją, interpretacją i sposobem realizacji wartości, które odczytujemy, niejako na własny rachunek, w chrześcijańskiej koncepcji człowieka. Te wartości mogą również podzielać ludzie innych religii czy światopoglądów. Jeśli akceptują ponadto naszą linię polityczną, wstępują w nasze szeregi.

Przejdźmy teraz do celu wizyty w Polsce przedstawicieli frakcji parlamentarnej EPP.

**E.K.:** Przystępujemy do Polski na zaproszenie Sejmu PRL jako przedstawiciele Parlamentu Europejskiego, co do niedawna było jeszcze niemożliwe. Jaki jest cel naszego przyjazdu? Chcemy zapoznać się bliżej z funkcjonowaniem systemu politycznego i gospodarczego PRL, wyrobić sobie poglądy na realizowany przez rząd polski tzw. program reform, poznać rzeczywistą sytuację kraju zarówno na płaszczyźnie gospodarczej, jak i społecznej. Chcemy mieć możliwość szerokiego kontaktu z różnymi grupami i reprezentatywnymi osobistościami polskiego życia. Chcemy poznać ich poglądy i ich potrzeby.

Taka wizyta — oficjalna wizyta przedstawicieli Parlamentu Europejskiego w Polsce — ma charakter precedensowy. Powiedział Pan, że było to dotąd niemożliwe. Dlaczego i co udało się osiągnąć?

**E.K.:** Przez długie lata rady komunistyczne rządziły we Wspólnocie Europejskiej "apłesek multinacjonalizm" i naraziły Imperiałyścijskiej ekspansji i eksploatacji. Uważano, że jest to ostatni akt rozpadającego się kapitalizmu. Takie było stanowisko zarówno teoretyków, jak i polityków bloku wschodniego. Tymczasem eksperyment Wspólnego Rynku zakończył się powodzeniem. Stworzono model, który sprawdził się w praktyce. Z drugiej strony kryzys krajów "realnego socjalizmu" musiał dać do myślenia. Nawet w kręgach oficjalnych EWPG zaczęły pojawiać się głosy i opracowania (np. prof. Hermann Berga, doradcy ekonomicznego Komiteta), ocenające model EWG pozytywnie. W rezultacie doszło do pierwszych kontaktów między EWG i EWPG. Od razu okazało się, że są to dwie kompletnie różne struktury gospodarcze, co zresztą nie było zaskoczeniem biorąc pod uwagę hegemonię struktur EWPG zdominowaną przez ZSR. Przez 2-4 lata dyskutowano na temat danych statystycznych, ale strona wschodnia nie była w stanie ich przedstawić. Pracom w rozmowach nastąpił wówczas, gdy ZSR zdecydował się uznać EWG jako rzeczywistość, jako określoną całość.

Na tym tle politycznym doszło do ubiegłorocznego spotkania oficjalnego między przedstawicielami EWG i EWPG w Moskwie?

**E.K.:** Tak. Chciałbym przy tym podnieść bardzo istotną dla nas sprawę. Stwierdziłbym na wstępie, że nie mamy nic przeciwko nawisaniu oficjalnych stosunków między EWG i EWPG, ukłmiej jednak jest jasne, że biorąc pod uwagę strukturę EWPG, jeszcze ważniejsze od stosunków EWG — EWPG są dla nas stosunki EWG jako takiej z poszczególnymi państwami EWPG. W ten sposób dochodzimy do tzw. równoległości stosunków. Zostanie więc wydane wspólne oświadczenie Wspólnoty Gospodarczej oraz Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, które służyłoby sędniej przykrywkę ze normalizowanych w przyszłości bilateralnych stosunków między poszczególnymi państwami — członkami EWPG oraz Wspólnoty Gospodarczej. I tak ZSR, Bulgaria, Czechosłowacja i NRD są już gotowe wystąpić o nawiązanie stosunków dyplomatycznych z EWG.

**A PRL?**

**E.K.:** Z Polską, Węgrami i Rumunią sytuacja przedstawia się nieco odmiennie. Węgry i Rumunia są bliżej do układu handlowego z EWG i właśnie te dwie płaszczyzny, tj. układ i stosunki dyplomatyczne, pokrywały się. Z Polską sprawa jest bardziej skomplikowana. Tu występują również inne problemy. Na czoło wysuwa się sprawa zadłużenia Polski. Góra polskich długów zmniejszają znacznie zaufanie MFW co do solności płatniczych Waszego kraju. Tęcza się sreasta na ten temat rokowania rządu polskiego z Klubem Paryskim i MFW, ale nie są to instytucje identyczne z Wspólnotą Gospodarczą. My, jako EWG, jesteśmy gotowi rozmawiać z PRL na temat układu handlowego oraz umowy o współpracy. Musi to następować krok po kroku — najpierw nawiązanie stosunków dyplomatycznych i podpisanie układu handlowego, a w jego rezultacie umowa o współpracy. Takie jest nasze stanowisko.

O ile Panu dobrze rozumiem, chodzi o to, o rząd polski liczy sprawę nawiązania stosunków dyplomatycznych ze Wspólnotą Gospodarczą z rozwiązaniem problemu polskiego zadłużenia?

**E.K.:** Takie mam wrażenie i to oczywiście znacznie komplikuje rozmowy, ponieważ w tych sprawach EWG nie jest samodzielnym kontrahentem.

**J.M.-W.:** Wracając do ubiegłorocznego spotkania w Moskwie. Poruszyliśmy w jego trakcie także m.in. sprawy, jak chociażby przeskok wschodni granic EWG (chodzi o problem Berlina), interwencję radziecką w Afganistanie, sprawę wolności religijnych w ZSR oraz problem mniejszości narodowych (chodzi o swiataczkę o Żydów i Niemców). Podstawowe jednak znaczenie, jak mówił pan Klebich, miał problem niezależnych stosunków między EWG i poszczególnymi państwami EWPG.

Z tego, co Państwo mówili, wynika, że Polska i inne państwa bloku wschodniego będą mogły podpisać układ handlowy już nie z poszczególnymi państwami EWG, lecz jedyne z całą Wspólnotą?

**E.K.:** Tak to wygląda. Jesteśmy ciałem zintegrowanym. Poszczególni członkowie EWG przešli swoje suwerenne prawo zawierania umów gospodarczych na Wspólnotę, której funkcjonowaniem jest de Ciere — komisarz ds. handlu zagranicznego. On też w imieniu Wspólnoty podpisuje umowy z USA czy Japonią. W stosunkach z tymi państwami również występujemy razem jako EWG, co znacznie zwiększa naszą siłę.

W 1992 roku Wspólnota wnieście się na jasno wyrażony poziom integracji. Powetanie rzeczywistej jedynego rynku, przekraczający wszystkie dotychczasowe ograniczenia. Jakie to będzie miało znaczenie dla stosunków z Europą Wschodnią?

**E.K.:** Jedno jest zupełnie oczywiste. W 1992 r. rynek Wspólnoty Europejskiej będzie funkcjonował formalnie jak wewnętrzny rynek jednego kraju. To rynek 320 mln mieszkańców, bez ograniczeń dla przepływu towarów, usług, pracy.

Nasz problem w stosunkach z Europą Wschodnią polega na tym, że gospodarki poszczególnych państw EWPG mają bardzo jednostronną strukturę. Powstała również sprawa wzajemnych korzyści. Tylko na tej podstawie zawiera się porozumienia handlowe. Nie oznacza to, iż samorzany podlegały wszystkie państwa Europy Środkowej i Wschodniej pod jeden strychniak. Musi np. w przypadku Polski dojść do jakiegoś generalnego uregulowania, pewnego moratorium rozwiązywanego sprawie nadłużenia. Każde z państw bloku wschodniego ma swoje indywidualne problemy i tak należy je też traktować.

**J.M.-W.:** Jesteśmy oczywiście zainteresowani współpracą gospodarczą z Europą Wschodnią, ale musi się ona stać dla nas bardziej interesującym partnerem. Oznacza to zasadniczą przebudowę gospodarczą. To dotyczy wszystkich państw bloku wschodniego. Mamy nadzieję, że sprawy idą w tym kierunku.

**E.K.:** Mówiliśmy o tym również w Moskwie. Możemy podejmować różnego typu "joint venture", ale nie może to oznaczać, że to my będziemy ponosić całe ryzyko i trud podnoszenia upadającej gospodarki "realnego socjalizmu". Oni musi zrobić również i druga strona. Chciałbym zapytać, jak w kontekście procesu integracji państw Wspólnoty Gospodarczej elity polityczne EWG widzą problem podziału Europy? Innymi słowy, czy nie tracą z pola widzenia Europę jako całość?

**E.K.:** Jest powszechnie wiadome, że oficjownie Wspólnota (Schuman, de Gasperi, Adenauer) widzi EWG jako wspólnotę otwartą dla wszystkich państw Europy, które były gotowe wnieść do niej swój wkład, dzięki czemu wspólnie wartości i podejmować z same sobą

wiązania. Ta idea leży u podstaw Wspólnoty. Europa jest jednak dziś podzielona na 3 części: 12 państw EWG, państwa gospodarki wolnorynkowej nie należące do EWG jak Norwegia, Szwajcaria, Islandia, Austria, Szwecja itd. oraz państwa gospodarki scentralizowanej bloku wschodniego. Ta trójca grupa znajduje się obecnie w stadium strukturalnych przeobrażeń. Powiem wprost, byłoby to brutalne. Wydaje mi się, że formula tych przeobrażeń jest następująca: utrzymanie monarchii plus wolny rynek. Są to jednak wzajemnie wykluczające się elementy. Trzeba się na coś zdecydować.

POLITYKA WOBEC  
CHREŚCJAŃSTWA I NSPIRACJI

Wracając do kwestii integracji Europy Zachodniej. Odbywa się ona w formach federacyjnych. Państwa nie zanikają — wciąż są tylko strukturalnie bardziej harmonizującej współpracy. Centralną dla nas kwestią jest sprawa bezpieczeństwa. My nie zagradamy nikomu, dlatego też możemy śmiało oczekiwać, aby i nam nie było niebezpieczeństwa. Istnieje różnica interesów między supermocarstwami. Nas dzieli różnica interesów z ZSRR. Dlatego podnosimy sprawę rozbrojenia. Kładę nam na jak najdłuższą postawę redukcji zbrojeń, która w sposób rzeczywisty zmniejszy zagrożenie, które stanowi dla nas przewaga militarna ZSRR. W tym kontekście należy widzieć nasz związek obronny z USA. Nie dysponujemy wystarczającą samodzielnie siłą militarną, która bez tego związku nie byłaby nam skutecznie chronić. Najbardziej jest dla nas obciążenie redukcja broni konwencjonalnych — z tej strony pytanie dla nas bowiem największe zagrożenie.

**Ż.M.** — W. Nie jest celem Wspólnoty budowa potęgi militarnej. Są znaczne właśnie sedna, na które dół powinno się przeznaczyć środki — takie jak ochrona środowiska naturalnego, pomoc krajom rozwijającym się. Kwestia mała optymalizacja budżetowej przez odwołanie między USA i ZSRR...

Chciałbym wobec tego prosić o skomentowanie możliwości tego rodzaju — Gorbaczow.

**Ż.M.** — Jest to z pewnością kolejny krok na wieloletnim kierunku, ale powtarzam, że dla nas Europejski trybun, centralna sprawa, jest sprawa redukcji broni konwencjonalnych. Najważna nas wielką troską fakt, że wielkie mocarstwo nawzajem między sobą porozumienia, które wcale jednak nie wyklucza konfliktu na innym poziomie. Pragnęliśmy, aby system porozumień rozbrojenia był tak synchronizowany, aby eliminował wszystkie czynniki zagrożenia.

Chciałbym zakończyć stereotypowym pytaniem. Jak z perspektywy brukselskiej patrzy się na sprawę polską?

**Ż.M.** — W. Zaświadczenie przyjąć z efektywą pomocą. Polska tylko wtedy, jeśli dokona się to przez zasadniczych reform gospodarczych i politycznych, które ustrzeżają gospodarkę i demokratyzację system polityczny.

Jest to uwagi, która powinna zostać nadzwyczajna do czasu wizyty w Polsce. Opozycja w Polsce jest dobrane i takiego samego rodzaju. Natomiast spotkaliśmy się w Europie Zachodniej z podaniem, że działalność "Solidarności" czy też all niezależnych w Polsce są "niebezpieczne".

**Ż.M.** — To badana. Tak mogą uważać tylko jakiegoś krajnie lewicowej kregi.

**Ż.M.** — W. Nie uważamy opozycji za czynnik destrukcyjny. Przeciwnie, wnoszą ona do życia politycznego wiele pozytywnych. Musi być jednak poważnie uwzględniona w procesie współdziałania, na i współodpowiedzialności.

Emmanuel Andrzej Kosciuszko

\* Wąsy podpisał 20.09.1988 r. w Warszawie z EWG. Wspólnie z jego partnerami należał do 1988 roku członkiem wszystkich komisji barier celna na węgierski eksport do EWG oraz import z EWG na Węgry. (przyj. Red.)

PO WYBORZE  
MITTERRANDA

François Mitterrand został ponownie wybrany na prezydenta Francji, uzyskując o 6% więcej niż Jacques Chirac. Czy ukinął się politycznych we Francji zapowiada wynik wyborów, które powszechnie, wbrew temu, co autorytatywnie stwierdził Aleksander Hall w "Przeglądzie Kulturalnym", został oceniony jako "tragedia stoni"?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba się chyba cofnąć do 1981 roku, do poprzednich wyborów prezydenckich...

W 1981 roku Mitterrand wygrał z dwóch powodów. Po pierwsze, Francuzi byli zmęczeni i zawiązani liberalną polityką Giscarda d'Estaing. Po drugie, dzięki porozumieniu zawartemu z komunistami, Mitterrand jawił się jako rzecznik tych warstw społecznych Francuzów, którzy pragnęli zmian (mniej lub bardziej radykalnych). Nic więc dziwnego, że społeczeństwo francuskie, z natury rzeczy prawicowe, po raz pierwszy wybierając na prezydenta Francji socjalistę, zapewniło mu także większość w parlamencie, umożliwiając mu tym samym przeprowadzenie radykalnych zmian.

Jakie były najważniejsze przesłanki nowego prezydenta w najbliższym czasie?

Na przekór tendencjom, które występowały wówczas w świecie kapitalistycznym, Mitterrand — jak każdy uczciwy socjalista — zwiększył rolę państwa. Upaństwowił więc znaczną część dużych przedsiębiorstw. Podwyższył część zarobków i świadczeń społecznych, w tym także zasiłki dla bezrobotnych. Wiązało się to z kosztownym rozbudowaniem aparatu administracyjnego, zwiększeniem biurokracji. Wobec tego zwężono podatek, wprowadzono też podatek od wielkich fortun. Natomiast bezrobocie nie udało się zmniejszyć. Wreszcie przeciwnie, sztywna wiara w moc sławną państwa i chęć poglądów spowodowały nawet osłabienie gospodarki francuskiej.

Czy ideologia zdecydowała również o innych przesłankach Mitterranda?

Stała się także przyczyną tak zwanej wojny szkolnej, która 24 czerwca 1984 roku doprowadziła w Paryżu do aulionowej manifestacji zorganizowanej przez prawicę. Uczniowie i ich rodzice protestowali przeciwko ujednoliceniu systemu szkolnictwa. Socjaliści popełnili duży błąd, podważając autonomię szkół prywatnych. Zresztą badania socjologiczne wykazują, że szkoły państwowe wbrew pozorom lepiej przygotowują kandydatów na studia. Tym bardziej więc taki krok socjalistów daje się wytłumaczyć wyłącznie względami ideologicznymi. W ten sposób można usadzić zaproszenie do udziału w rządzie premiera Mauroy (1981-1984) czterech ministrów — członków francuskiej Partii Komunistycznej. Wzbudziło to szereg zrozumiałe niepokojenie USA. Wreszcie pewne elementy polityki międzynarodowej były wyraźnie uwarunkowane ideologicznie. Myślę zwłaszcza o dotychczas się dostrzeżone tendencjach antyamerykańskich.

Powiedział, że Mitterrand wygrał także wybory między innymi dzięki pomocy komunistów. Sojusz ten nie trwał jednak długo. Czym było to spowodowane i jak zmieniła się rola partii komunistycznej podczas poprzedniej kadencji?

Rozmowa z MARCINEM FRYBESEM, współzałożycielem i pierwszym przewodniczącym Samorządu Studentów Uniwersytetu Warszawskiego (1980-1991), od 1984 roku przebywającym tymczasowo we Francji, współpracownikiem Ecole des Hautes Etudes en Sciences Sociales (Wyższej Szkoły Nauk Społecznych) w Paryżu.

Trzeba zacząć od tego, że były w historii Piątej Republiki chwile, gdy komuniści zdobywali ponad 30% głosów w wyborach. W pierwszej turze ostatnich wyborów prezydenckich osiągnęli nieco ponad 0%. Spadek ich popularności można tłumaczyć dwojako. Po pierwsze, Francuska Partia Komunistyczna jest postrzegana jako najbardziej spośród wszystkich zachodnich partii komunistycznych zaleźna od Związku Radzieckiego. Komuniści francuscy robotnik to coraz rzadziej znany nam ze szkolnych czytańek proletariusa, a coraz częściej facet żyjący w sposób charakterystyczny dla klas średnich, pracujący przy komputerze. Dobrze jest o tym pamiętać, gdy się walczy o przywrócenie legalności robotniczego związku zawodowego "Solidarność".

Rok 1984 przyniósł zmiany w polityce Mitterranda...

Poza odsunięciem komunistów, Mitterrand dokonuje zmiany premiera. Nowym premierem zostaje Fabius. Ideologię następuje pragmatyzm. Odtąd największy nacisk kładzie się na ekonomię, na próby zahamowania kryzysu gospodarczego. Hasła sprawiedliwości i równości społecznej ustępują miejsca hasłom efektywności i konkurencyjności. Tak kończy się socjalizm.

Czy ufa się saharowej kryzys?

Mimo tego zwrotu w stronę pragmatyzmu i realizmu — nieznacznie. Nowa polityka socjalistów nie przyniosła skutków i w 1986 roku, w wyborach parlamentarnych, większość uzyskuje prawica. Socjaliści ostatecznie przekonują się, że czym innym jest tworzenie programów opozycyjnych, a czym innym — rządzenie krajem. Sprawując władzę, jesteśmy bowiem uwikłani w wiele uwarunkowań, zwłaszcza międzynarodowych, z których będąc w opozycji nie zdajemy sobie sprawy. W wyborach w 1986 roku społeczeństwo udzieliło ostrzeżenia socjalistom. Jako że jednak większość w parlamencie, jaką uzyskuje wówczas prawica, nie jest duża, Mitterrand nie podaje się do dymalsi, tylko mianuje premierem Chiraca, szefa RPR (Zgromadzenie na Ehre Republiki).

Interesująca sytuacja: prezydent i premier reprezentują swatające się kierunki polityczne.

Francuzi nazwali to "cohabitation", czyli "wspólnym mieszkaniem, współżyciem". Ta sytuacja dwuwładzy może się skończyć dla Francji tragicznie. Tych dwóch polityków zaczęły się nienawidzić i gdy tylko nadarzyła się po temu okazja, podkładało sobie świnię. Trzeba jednak zaznaczyć, że gra między Mitterrandem i Chiracem toczyła się w ramach dopuszczonych przez Konstytucję Piątej Republiki, w ramach demokratycznej konstytucji. Mianowanie Chiraca było ze strony Mitterranda sprytną zagrywką taktyczną. Ustawił bowiem przynajmniej kandydata na pozy-

ejl, na której najłatwiej go było zwalczać. Oczywiście, można "cohabitation" interpretować inaczej: przez te dwa lata Mitterrand bronili Francuzów przed polityką neoliberalną w stylu Reagana i pani Thatcher, która próbował wprowadzić Ohirac. Takiej polityki Francuzi po prostu nie lubią. Myśl neoliberalna nie cieszy się we Francji dużą popularnością.

*Przejdźmy do oceny kampanii wyborczej, która przyniosła zwycięstwo Mitterrandowi.*

Francuzi zgodnie stwierdzili, że nie widzieli nigdy równie nudnej. Przede wszystkim, od kilkunastu lat polityka francuska prowadzona jest ciągle przez tych samych ludzi. Przynajmniej czterech z nich — Giscard d'Estaing oraz premierzy Fabius, Ohirac i Rocard są absolwentami słynnej ENE (Ecole National d'Administration), szkoły kształcącej wyższy aparat państwowy. Mitterrand jest znany całemu społeczeństwu co najmniej od roku 1965, kiedy to konkurował w wyborach prezydenckich z de Gaullem. Trudno było oczekiwać, że przedstawiciele esterech głównych ugrupowań politycznych Francji — to znaczy socjalistów, RPB, UDF (Unii na Rzecz Demokratów Francuskich) oraz komunistów — powiedzą coś nowego. Mitterrand zachowywał się bardzo sprytnie. Do ostatniej chwili zwlekał ze zgłoszeniem kandydatury, przez co zmusił kandydatów prawicy, by zwalczać się nawzajem.

*Jak interpretowano wyniki pierwszej tury wyborów?*

Aż 30% Francuzów nie głosowało na przedstawicieli esterech głównych partii politycznych. Świadczy to o znudzeniu obywateli od lat układem, który nie zapewnił Francji wyjścia z kryzysu. Ponadto w ciągu ostatnich kilku lat struktura społeczna i poglądy oraz podziały polityczne zmieniły się we Francji do tego stopnia, że tradycyjny układ partyjny nie bardzo im odpowiada.

*Czy dlatego tak duży sukces odniósł w pierwszej turze wyborów Le Pen?*

Le Pen uzyskał 16% głosów. Nie interpretowałbym tego zbyt dosłownie. Wiadomo, że Le Pen jest rasista i antysemity, iż torturował ludzi w Algierii w latach pięćdziesiątych. Nie można natomiast powiedzieć, że co słodki Francuz jest rasista. Le Pen zdobywał głosy atakując "wielką czwórkę", mówiąc: zobaczcie, oni tak długo rządzą i z niczym nie dają sobie rady. Głosujcie więc na mnie. A skoro już mowa o Le Penie, to można na marginesie dodać, że posłużył on socjalistom jako narzędzie do prostej manipulacji. Podkreślając jego fałszywe poglądy, socjaliści doprowadzili do tego, że w drugiej turze wielu wyborców nie głosowało na Ohiraca — bo jak można głosować na kogóż, kto, być może, będzie się porozumiewał z faszystami. Ludzie ci mieli niekiedy świadomość, że postępują wbrew własnym interesom, co więcej, mieli świadomość manipulacji, bo przecież we Francji żądanych faszystów (poza garstką fanatyków) nie ma, a Ohirac jest zwyciężającym politykiem liberalno-konserwatywnym — ale nie utnieśli znaleźć wyjścia z tej sytuacji. Znam takich, którzy teraz planują wyjazd z Francji, bo przewidują, że pod rządami Mitterranda nie dobrego w sferze gospodarki zdarzyć się nie może.

*Jakie wnioski można wyciągnąć z wypowiedzi Ohiraca i Mitterranda między pierwszą i drugą turą wyborów, gdy wiadomo już było, że któryś z nich zostanie prezydentem?*

Mitterrand, nauczony doświadczeniem, nie powiedział niczego konkretnego. Wystarczy porównać jego zachowanie z rokiem 1961, kiedy to wystąpił z etapowym programem, żeby zobaczyć, jaką drogę przebył — a wraz z nim cała partia socjalistyczna — przez te siedem lat. Trudno jeszcze w tej chwili powiedzieć, czy jest to zmiana autentyczna, czy tylko taktyka doradcza Mit-

terrandowi przez jego ekspertów. W każdym razie ograniczył się on do bardzo ogólnego mówienia o wartościach, przy czym jest pikantnym szczegółem, że ukazywał się jako spadkobierca Piątej Republiki, którą ongiś wytrwale zwalczał. Uznał, że w dobie kryzysu wiary w cingły postępu, na której to opierała się kultura Zachodu, najbezpieczniej jest mówić ogólnikami, a przede wszystkim robić dobre wrażenie. Ohirac także nie powiedział wiele. Próbował jednak nakreślić szarys programu liberalno-konserwatywnego. Prowadzę politykę od dwóch lat — mówił poza tym — i zobaczcie, wszystkie zmiany na lepsze są moją zasługą.

*Czy można sobie wyobrazić takie wybory, w których obaj kandydaci nie przedstawiają żadnego programu?*

Może do tego dojść. Warto zauważyć, że już ta kampania była w większym stopniu walką dwóch osobowości, dwóch różnych typów wrażliwości, niż dwóch programów. Nie odzierały się tu ze sobą dwa modele społeczeństwa czy dwie wizje świata. Specjaliści mówili, że polityka się bardzo personalizuje. Główny nacisk przesunął się ze sfery dyskursu w sferę obrazu. Nikt nie wierzy w żadne generalne rozwiązania, w jakiejś rewolucje czy powstania narodowe. I w takiej rozgrywce Mitterrand zwyciężył, gdyż przedstawił się jako "siła spokoju, zapewniająca bezpieczeństwo". Rocard — obecny premier — po ogłoszeniu wyników drugiej tury powiedział, że zwyciężyła "pogoda ducha". Trudno nazwać to programem politycznym. Trzeba jednak pamiętać, że w dalszym świecie państwa stają się coraz bardziej od siebie uzależnione. Dostrzega to nawet Gorbaczow w swojej kaitce, którą nota bene warto przeczytać. Dlatego też nie ma teraz różnych polityk francuskich, jakie można by było prowadzić. Polityce francuskiej można co najwyżej nadać różne odcielenie. Komunistki i zwolennicy Le Pena, atakując główne ugrupowania polityczne Francji, posługują się argumentem przecież tak naprawdę, to Fabiusa się od Ohiraca niktym nie różni. I w gruncie rzeczy mają rację. W końcu, jak już mówiłem, obaj premierzy chodzili razem do szkoły.

*Można już zatem wyrokować, że w następnych wyborach zwycięży ta strona, która lepiej opamięta techniki oddziaływania na społeczeństwo, iż ostateczny wynik wyborów będzie od tego tylko sakrany?*

Tak. Chciałbym też zwrócić uwagę na to, że, w bardzo ogólnym sarysle, zaczyna to oznaczać przypominając sytuację w Europie Wschodniej. Daje się przewidzieć tylko jedną politykę...

*Tam system polityczny jest nieco inny...*

Owszem. Ale oba systemy są archaiczne, choć może nie dla wszystkich jest to oczywiste. Z archaicznością komunizmu Gorbaczow zdaje sobie świetnie sprawę. Kłopot polega na tym, że nie wie jeszcze, jak go zmienić. Wybory we Francji potwierdziły, że system polityczny demokracji parlamentarnej nie w pełni odpowiada rzeczywistości także tutaj. Przypominam że 30% głosów w pierwszej turze. O trzech Francuzi nie odnajdują się w pełni w istniejącym układzie politycznym, choć — rzecz niebagatelna — ten układ opiera się na zasadach demokracji. Nie dzieje się tak bez powodu. Przeprowadzamy próby mierzania sytuacji na Wschodzie i Zachodzie Europy tą samą miarą, ale wydaje mi się, że w naszym, polskim interesie leży dostrzeżenie podobieństw a nie różnic. Granie na specyfice narodowej zabarwionej mesjanizmem nie ma w dalszym świecie większych uzasadnień. Można powiedzieć, że wyzerpaliśmy dwa główne modele rozwoju społecznego XX wieku — model liberalno-kapitałistyczny i model państwowo-komunistyczny. To, że stało się tak z różnych powodów, a jeden z tych modeli sprawdził się lepiej od drugiego, to już inna sprawa. Można jednak patrzeć i analizować kryzys modelu po-

litycznego w bloku wschodnim jako szczególny przypadek ogólniejszego kryzysu dającego się zaobserwować we wszystkich krajach uprzemysłowionych. Kieś to zastanowić nie nad pojęciem państwa, którego rola będzie się stopniowo zmniejszała.

*Na Zachodzie tak, na Wschodzie za pewno dużo wolniej.*

Wolniej, ale proces ten jest nieuchronny. W dyskusjach politycznych w Polsce często powraca słowo "niepodległość". Nie wiem oczywiście, co za kilka lat będzie oznaczać to słowo. Czy chodzi o niepodległość państwa, społeczeństwa czy wręcz niepodległość jednostki?

*Ale wiesz, co we Francji oznacza słowo "suwerenność". To tyle, że Francuzi sami wybierają swego prezydenta.*

Tak, natomiast to, jaką politykę będzie on prowadził, zależy już od układów międzynarodowych i wielu innych stałych czynników. Podam konkretny przykład; w 1966 roku studenci francuzi protestowali przeciwko zmianie ustawy o szkolnictwie wyższym. Wszyscy wiedzieli, że Ohirac pragnie zmienić ustawę nie tylko dlatego, iż jest prawnikiem. Po prostu obowiązujące warunki dostępu do studia, opierające się na zasadzie powszechności i bezpłatności, są nie do utrzymania, gdyż powoduje to, że absolwenci uczelni francuskich nie wytrzymują często konkurencji z absolwentami z innych krajów. Teraz rząd lewicowy ma ten sam problem. W taki właśnie sposób istniejące społeczne bywają sprzeczne a uwarunkowaniem międzynarodowym.

*Jaki wpływ będą miały wyniki tych wyborów na politykę Francji w Europie?*

Francja jest krajem tradycyjnym, zamkniętym w sobie — w czym sresztą przypomina Polskę. Ostаточно jednak coraz więcej mówi się na temat europeizacji Francji, zwłaszcza ludzie młodzi wiedzą dobrze, że jest to jedyna szansa podtrzymania jej pozycji w świecie. Odbywa się wiele konferencji na ten temat, toczą się polemiki w prasie itp. Jest to sresztą problem ważny nie tylko dla całej Europy Zachodniej, ale również dla nas. Jeśli Europa chce się liczyć w układach międzynarodowych, musi zjednoczyć się nie tylko gospodarczo, ale także kulturowo i — z czasem — politycznie. Dlatego też najważniejszą w najbliższym czasie debatę jest zarówno dla Francji, jak i całej Europy (w tym również Polski) — rok 1992, kiedy to formalnie zostaną wprowadzone w życie decyzje o integracji Wspólnoty Europejskiej.

*A jeśli chodzi o kontakty z blokiem wschodnim?*

Nie można i w tym wypadku patrzeć na politykę francuską bez jednoczesnego spojrzenia na politykę Wspólnoty Europejskiej, a także USA (choć w coraz mniejszym stopniu). Owsy, kiedy prezydent Francji jechał z własnej inicjatywy, tak jak to zrobił w 1979 roku, po agresji na Afganistan, Giscard d'Estaing do Warszawy, by się spotkać z Breżniewem — za co sresztą został nazwany "małym telegrafistą warszawskim", bo oczywiście niczego nie satulwł — bezpowrotnie minęły. Większe kraje Europy Zachodniej są dziś raczej zgodne co do głównych kierunków polityki międzynarodowej. Dużej różnicy między Ohiracem i Mitterrandem tu nie ma, choć Ohirac patrzy na Związek Radziecki w sposób, jeśli tak można powiedzieć, bardziej antykomunistyczny. W czasie kampanii wyborczej zaznaczył wyraźnie, że nie ma mowy o rozbrojeniu Francji, bo skończy się to anihilacją całej Europy. Dostrzega więc niebezpieczeństwo, wobec którego stol Europa Zachodnia w chwili, gdy USA usną, że nie mają już w niej większych interesów. Będzie musiała dawać sobie radę sama. Przypuszczam natomiast, że Mitterrand będzie lepiej dogadywał się z Niemcami, którzy nie patrzą na ESRE w kategoriach dobra i zła, lecz bardziej zależy im

## SPRAWA METALU

Czasami pytamy się, w jakich to czasach żyjemy? My — Polaki. Że w ciekawych niż a końca lat sześćdziesiątych, to pewnie. Że po Judasz, Sierpielowej zmianie, a — być może — przed kołofon — wierzymy wszyscy. Fyrtelaję o czas przeniesienia myślenia przede wszystkim o zegarze politycznym — przeobrażeniu praw i instytucji. Przeobrażeniach takich, które mądrzejszym o wiele gorzkich doświadczeń Polakom dawałyby szansę obywatelskich rywalizacji. Ale to jest tylko jeden wymiar polskiego życia. Zapewne, ważny ogromnie. Jest jednak jeszcze wymiar inny — kultury, rozumianej jako normy i wartości realizowane na co dzień, po prostu, z potrzeby, przyzwyczajenia, obojętności, i jako nasze myślenie codziennie w nas samych. Myślę się ci, którzy nadsza, że ta kultura jest czymś odrębnym, innym wymiarem rzeczywistości, że da się ją pomieścić w owym myśleniu politycznym. Dobrze to ilustruje sprawa metalu.

Wieloletnia ostatnich lat to odkrycie praktycznych możliwości zercerowania "nadprzewodnictwa wysokotemperaturowego". Wszyscy zapewne pamiętają, jedną z postaci "Lalki" Bohdana Prusa, profesora Gelsta; jego idea metalu leżącego od powietrza. To już jest fakt — taka jest jedna z zmian ważnych właściwości "nadprzewodników" (już dziś myśli się o podłożach odlegających prędkość samolotów). W Instytucie Fizyki PAN już to umieją robić. Wprawdzie o technologicznych zastosowaniach w warunkach Polski mowy nie ma, ale ciężko, że w dalszemu myśli krytycznej (teoretycznej) staramy się utrzymać kontakt warokowy z czołową.

Jest i inny aspekt "sprawy metalu". Jak opowiada mi znajomy siemski właściciel w tamtejszych stronach, o rzuci kamieniem od Warszawy, gospodarcze zapotrzebowanie na metalowe ształy zaspokaja się w prosty sposób — wycinając je ze stalowych konstrukcji słupów wysokej napiecia. Przyniesły są przesłane. W punktach przydziału podobnego materiału nie ma, a jak się nawet zdarzy, to jego jakość i struktura pozwalają nawet chętnym gospodarom sawijać ształy na szybach niepełnowzrostłych małżonków. A w gospodarstwie to i owo, od czasu do czasu przy pomocy metalu zrobić trzeba. Więc się wycina. Gdzieś jest oczywiście granica tego wycinania i słup runie (miękkim nadejść, że bez odpar) odciągając najbliższe wieś od elektryczności.

To wiedząc, pytam sam siebie — gdzie się kończy, a gdzie zaczyna Polska jako wspólna wartość — własność — odpowiedź? I co w tej całej sprawie zmienia szkolny przymus czytania, stałej się "Lalka", pana Prusa.

MODEST

\* Sąd ten żadną miarą nie wyraża stanowiska redakcji — przyp. (oczywista) red.

## TADEUSZ SOBOLEWSKI

praca domowa

POLSKO-ROSYJSKA ROZMOWA NIE KONTROLOWANA

Byłem w tym roku świadkiem drobnego wydarzenia, które osłabiło moją odruchową sympatię dla "pierestrojki". Przez moment zobaczyłem odwrotną stronę medalu: "pierestrojka" jako "przestrajanie się" na nową modę, przy zachowaniu starych nawyków. Albo inaczej: spód mentalności "nowocześniejszej" wyłania się, wcale nie sympatyczniejsza, mentalność "stara".

Było to na festiwalu w Pesaro, we Włoszech. Rosjanie pokazali zdjęcie z półki etażu siry Giermana, jeden Konesalowski i parę nowszych. Wśród nich montażowy dokument Sokurowa "Tertium non datur", o współpracy radziecko-ukraińskiej podczas ostatniej wojny. Zrobiony parę lat temu, z wyraźną intencją pojednawczą wobec Zachodu, film nie ubrał się na ekranach. Wtedy byli zbyt śmiały, dziś — kiedy się płacze o sojuszu Stalina z Hitlerem — okazał się niepełny, fałszywy. Ale nie to jest ważne.

Poruszył nas w tym filmie krótki obrazek sekwenca polska, na której pisał nami alibi pewno się wrócić uwagi. Podróż kadrowy ze Stalinem, Hitlerem, Churchillem i Rooseveltem zobaczyliśmy nagie krótkowłose Schleswig-Holsteina pod Westerplatte, bombardowane Warszawy, asarę ulanów (pod młotem, masurka). Po czym padła informacja (niektórzy uważają, że 16 września 1939 władze polskie opuściły kraj... to wszystko. Mimo kolejnych "pierestrojek" pewne elementy propagandy nie zmieniły się od 1940 roku. Wtedy oczywiście nie mówiliby się o "bohaterkach obrony", tylko o "zwykłych sprawiedliwych działawców", ale jakich ton pozostał podkreślenie polskiej słabości, która musi iść pod rękę i która w gruncie rzeczy usprawiedliwia każdą przemoc. Ten darwinizm historyczny był zawsze przewodził motywem radzieckiej propagandy. Konieczność działania — to jej akjomat.

Delegacja radzieckiej w Pesaro przewodząca wizytą Sokurowa. Podczas konferencji długo i wzniosło reklamował "nieodwracalne przemiany", odmieniając na wszystkie sposoby pojęcie "pierestrojki" i "glasnoti", a na dowód, że jest to nowe myślenie, mówił "rosyjski" zamiast "radziecki" i wciąż używał aporizmy "Bach chocest", "Bach smajet". Władimir Rożan, który sabslerali głosi, mówił tylko o tym, że on mówi już inaczej, że już wolno. Ale co wolno — tego nie było wiadomo. Nowomowa zastąpił metajęzyk. A powiewał Sokurowa określano wciąż jako "radziecki młodego kina", postanowiliśmy zakłócić następny powstaniej adonacji i powiedzieliśmy, co myślimy o filmie "Tertium non datur". Za to niesolidarne wytykanie scotaliśmy przez Sokurowa ostro skarceni; ssa stoła przysiadłszy zarsuceli nam, że niepotrzebnie wprowadzamy ton polityczny, zamiast mówić o sztuce. Tłumaczyli, że w historii jest jeszcze wiele błahych plam i trzeba dużo czasu, zanim wszystkie zostaną wywielcone... itd. Ujął się za nami Wloch, a wiedzy Inni Rosjanie zaczęli się od słów Sokurowa odciąć, podkreślając, że teraz u nich już nie ma jedynomyślności. Filmologia z Leningradu poinformowała o spotkaniu filmowców i krytyków polskich i radzieckich w kwietniu tego roku w Moskwie, gdzie była mowa o wmysłkach "trudnych sprawach", a teatry wystąpił drukowała "Literaturnaja Gazeta". Na tym urwał się wątek polski, i dobrze, bo robiło się zbyt gorąco. Dwie starze Francuzki spoglądały w naszą stronę, leżyliśmy nie byli tacy "wielkimi", bo na całym świecie propagandę robi się tak samo, na przykład we Francji i w Ameryce...

Opowiem o tym, żeby nawygnać do właściwego tematu, mianowicie do polsko-radzieckiego spotkania, które miało miejsce w Warszawie, we wrześniu tego roku. Jak inna była to rozmowa, jak inaczej zachowywali się Rosjanie Inny był też czas. Gasety pokłkie pełne były artykułów i przyczynków historycznych, które przed walekami byłyby nieuczynane. W takiej atmosferze odbywała się druga część sympozjum "Destalinizacja kultury".

Długości właścicie filmowcy znaleźli sobie spotkanie, na których najważniejszym tematem wcale nie było kino, ale to wszystko, co Polakom i Rosjanom leży na sercu? Po prostu, oni pierwsi się za to wzięli (pierwszy krok zrobiła strona radziecka). Inicjatywa również dobrze mogła wyjść od pisarzy albo dziennikarzy, ale tak się składa, że wzięli w Związku Filmowców, po obu stronach, nadsza ton ludzki otwarcia i liberalni, a przy tym pozbawieni szowinizmu.

Siedli więc za stołem w sali ZAKS-u, w Domu pod Krótkimi historii, znawca XIX-wiecznej Rosji Natan Ejdelman, autor snaszej książki o Luninie i również głośnego porównania reform Gorbaczowa do reform Aleksandra II dalej — zaprzyjaźnieni z wieloma Polakami krytycy filmowi, Irina Rubinowa i Milron Czerntenkow reżyser Władimir Motylj dokumentalista Eduard Dubrowski; młody krytyk Siergiej Lawrientiew (który zgłosił sporny projekt zrobienia czegoś w rodzaju antystalinowskich agitek); poeta Pawło Mowczan, mówiący po ukraińsku ("potrzebna jest nie tyle destalinizacja, co desimperializacja" — potępienie imperializmu rosyjskiego); wreszcie młody, nieposorny Nikołaj Ryżikow, jeden z głównych inicjatorów nasytych spotkań. Z początku mieli ośce cel praktyczny. Chodziło o sprowadzenie do Moskwy zakazanych filmów polskich, takich jak "Wierna rzeka", "Dreazca", "Młaska Królów", nawet "Yesterday", nie mówiąc już o Wajdzie, który od czasu "Człowieka z marmuru" traktowany był jako wróg nr 1. Filmy polskie ruszyły w objazd po ZSRR i okazało się, jak i tkwi w nich ładunek sapahy, jakby dopiero dla tej widowni były przeznaczane.

Ryżikow opowiadał o burzy, jaką wywołali "Dreazca" wyświetlane pracownikom KGB, już przyimowany był "Człowiek z marmuru" na Kaukazie. Mówił po polsku, kiedy było mu brak słowa, ssa podpowiadała. Mówił to, co chciał się natysnąć i choć nie stał za nim jeden autorytet naukowy ani artystyczny, efekt był słaby. Tak mówi Rosjanin nienawidzący przemocy. W prostej słowach, przy okazji "Dreazca", słował pod względem skutków stalinizm z feaszyzmem. Opowiadał o swojej wyprawie do Katalyni (chciał robić dokument). Odnalazł świadka, kobietę, która w latach 1939-40 pracowała w tamtejszych lasach. Spytał: kto was na mnie napadł? Sekretarz obwodowego komitetu pytał czy macie na to papier? W końcu odgórnie odradzono mu temat. "Oni nie chcą wypuścić z rąk kłosa od dokumentów — mówił Ryżikow. — Jedną ręką trzymają nas za gardło, a drugą wanoją tożsamość Stalina. To nieprawda, co się mówi, że stalinizm, w odróżnieniu od hitleryzmu, nie miał twarzy. On ma twarz — o tym świadczy Katalyn".

Spotkanie trwało trzy dni. Prowadzili je kolejno, z ramienia Stowarzyszenia Filmowców: Andrzej Werser, Kazimierz Żurawski, Janusz Barak. Na sali obecni m.in. Wajda, Michnik, prof. Ajnenkiel, który w gęwym od faktów wykładał dowodzą, że w okresie międzywojennym "polityka polska nie miała nigdy charakteru aktywne antyradziec-



# MACIEJ ZAŁĘWSKI

## PROLOG O CONRADZIE

Doświadczenie wojny, czasu, w którym świat tak przylatywał człowieka, uformowało krąg problemów, od których myśli krytyczna Jana Strzelskiego nie potrafi i nie chce się uwolnić. Charakterystyczne przy tym, że jest to doświadczenie podmiotowe, które znaczy i jest postrzegane o tyle, o ile odbiera swój ślad w rzeczywistości ideowo-psychicznej jednostki, w świecie wartości, w porządku wyjaśniania ról i zachowań ludzkich. Wojna nieobca jest jako doświadczenie przedmiotowe — użyte w "Próbach świadectwa" określenie folkloru narodowej pamięci zwalnia z obowiązku rejestracji i wyjaśniania faktów, przebiegu procesu historycznego. To nie materiał historyczny formuje interpretację dwudziestowiecznego totalitaryzmu. Materiał historyczny, który zazwyczaj odkrywa przed badaczami słowami mechanizm funkcjonowania umrogu, obywatela i zachowania ludzkiego, jest w "Próbach świadectwa" zakryty przed dociekliwością myśli.

Ryzykownie i konsekwentnie Strzelski odwraca się od sceny pozaludzkiego świata, kierując ku niej właśnie zwracając się sąwyczącej ludzkiej doświadczeniu postrzegania. Uposzczelony wysiłek rozumienia i wartościowania świata ku rzeczywistości podmiotu, ku problematyce wyborów moralnych jednostki, jej wypracowania ideowego i światopoglądu, wraca do problemom realizacji wiary, rozumianej zarówno socjo-psychologicznie, jak i filozoficznie. Aktywność podmiotu moralnego budującego wspólnotę przeciwnie cięgiarowi i okrucieństwu świata, nie daje się ani wywodzić, ani zasadniczo wyłączać przedmiotową wiedzę; nie wyznacza jej też ładów obiektywnej układ rzeczy. W tym sensie rozpoznanie sceny pozaludzkiego świata, tworzącej obiektywne układy rzeczy, nie służy do zrozumienia podmiotowego aktu oporu wobec praw i mechanizmów świata przedmiotowego. Dopiero doświadczenie świata pozaludzkiego, ujętego tak, jak potrafiła go rejestrować i racjonalizować świadomość podmiotu, wraz ze zmianami, jakich doświadczenie to dokonało w nastawieniach ideowych i działaniach jednostki czy wspólnoty — oddziałania rzeczywistej obraz świata wojny i okupacji. Pisanie świata historii polega na porzuceniu świata podmiotu. Bieżącej między granicami świata osoby, która ogranicza i wchłania rzeczywistość pozaludzką, a granicami pozaludzkiego, które wywierają nacisk na samoświadomy podmiot, nie uda się wyznaczyć inaczej, jak przez wysiłek podmiotowej samoświadomości. Releże to są, nie ustatkowane i zmienne. Ogęto jednostka, ustępując i zamykając się w kręgu swych wartości przeciwko światu zewnętrznyemu, zdobywa i wymusza na świecie pozaludzkiem to, co było nielegalne poprzez aktywność postrzegania i czynnościową. Należy tu na nowo sens zmieniając się i formując wobec zagrożeń, które są, przeciw rezultatowi jej suwerennego działania. Niemożność uchylenia się od odpowiedzialności za kształt świata pozaludzkiego i równocześnie niemożność przystania na świat nieładki to fundament niepokoju, który Strzelski notuje i chce poznać. Pojawia się pytanie o granice ludzkiej podmiotowości, czyli ludzkiej odpowiedzialności za świat pozaludzkiego. Wojna i historia odnawiają w takiej refleksji swój filozoficzny i ideowy wymiar. Dopiero w tym wymiarze odkryć można realny ciężar wojny i ludzki kłopot historii. Z tego zdawane jest świadectwo.

### PROLOG O CONRADZIE

Kiedy w powojennym sporze literackim o realizm pojawił się przykład twórczości Josepha Conrada, z pewnością nie słu o specjalistyczne ustalenia polonistów i pisarzy, Con-

radowska formuła stawiająca literaturze zadanie *wymierzania sprawiedliwości widzialnemu światu*, sytuacja conradowska z jej uniwersalizmem etycznym stanowiły argumenty w sporze o filozoficzną jakość doświadczenia okupacji i o podmiot społeczny tego doświadczenia, o pokolenie wojenne. Spierano się nie o kwestie estetyki, raczej o historyczne racje rozstrzygnięć politycznych, o zachowania społeczne i ich filozoficzną głębokość. Po 30 latach wrócił do tej dyskusji w esaju "W służbie Wielkiego Armatora" Jan Jacek Szczepański. Warto przypomnieć jego spokojne, wyważone racje.

Najpierw o tym, o czym Szczepański nie pisze: o okrucieństwie historii, o jej kosmarności, nieludzkiej obojętności wobec tych prawd i praw, które dla siebie, dla własnej obrony nie potrafiły wytworzyć wystarczającej siły. Tydzień wystarczał, żeby rząd tego kraju stał się wędrownym, jak każdy jego najlichszy obywatel. Gnany bombami wroga, oburzeniem podwładnych, przemyczał się zatłoczonymi drogami, aż w blachę miecinie pokuckiej poruszył swoje granice, skoro od wschodu ruszyło plemię drugie. Prezydent na obecnej siemni ukazał cudzoziemski paszport. Marszałek wojsk zgubił gdzieś bulawę. Kardynał dwa nieśmiertelnych pobłogosławił je przez graniczny szlaban. Ja nie sądzę, tylko wspominać. Szydła historia. Tekst pisany przez asystenta Uniwersytetu Jagiellońskiego w końcu sierpnia 1943 roku, gdy zagony niemieckie wytyczały szlak w polach Kaukazu, pełen jest rezygnacji i sarkazmu, których oszczędza Szczepański. Pozostawia widoków. Jakaś *besużyteczność moralna historii*. *Kiedy zaczął pisać, że wyślizgnął oszyszczeni i poprawiał kłamstwo. Kiedy s koturą jęka, kłamstwo. Kiedy powołują się patetycznym głosem, że byli uczestnikami, kłamstwo. Wiedział tylko, nie więcej.*

To była wojna totalna w sensie socjologicznym. Lokomotywy pędziły na Wschód. *Rader mussen rollen fur Sieg*. Tak ujawniała się totalność wojny w świecie przedmiotowy, ożywionych i zagarniętych w służbę ideologii podboju. Ale nie dotyczyło to tylko świata przedmiotowy. Wszystkie funkcje społeczne i gospodarcze narodu zostały napięte do ostrożności i wyzyskane. Wymiary społeczne, moralno-obyczajowe i ekonomiczne okupacji nie były jednak — pomimo totalności wojny — takie same dla wszystkich. Reagowano różnie, nie wszystkie z tych reakcji utrwaliły się w zbiorowej świadomości, chociaż wszystkie mają swój udział w zbiorowym doświadczeniu wojny.

Szczepański o tym nie pisze, ale dobre pamięta. Jego wybór jest precyzyjny i służy kondensacji obrazu. Doświadczenie okupacyjne Polaki, tak zróżnicowane i złożone, filozoficznie zawiera się bez rezerwy w tym specyficznym i wcale nie powszechnym typie reakcji, jaki ujawniał się w pokoleniu dwudziestolatków. *Kiedy mówię "moje pokolenie", myślę o przeszłości. Myślę o narodzie dwudziestolatków, wytrąconym z koleiny zaplanowanego dla nich normalnego życia postawionych w obliczu dramatycznych wy-*

borów. Tamte lata ujawniają *znajomość naszej inności, ukazują nas wyraźnie jako odrębną fałę na rzecze historii*. Dla narodu dwudziestolatków doświadczenie wojny, jego filozoficzna inność, od której nie można się było uchylić, przyszło nagle. Z bohaterami Conrada łączy ich moment zaskoczenia i dziecięca z początku bezradność. To była jednocześnie pokusa nierozpoznania zawczasu krytycznego momentu groźby. *Na tym esaju rzecz polegała że to przychodzi z zasadzką*. Historia była dla nich jak grad na marcowe zajęcia. Uległ jej potężnemu potokowi nie było się gdzie schronić, bo rozpadły się jedne po drugich wszystkie narodowe mitologie i wyjaśnienia, a nie każdy traktował to jak burzenie wierzeń. *Niezycielska siła nie znała pojęcia selekcji*. Nie pozostał ani jeden przytułek przeszłości, w którym chcieliby pozostać.

Porażenie potęgą i bezwzględnością historii jest polską specjalnością. Najbardziej wzruszająca pieśń z grudnia 1931 roku, śpiewana na melodii starej kolędy "Ociha noc", zaczyna się od słów: *W ciemną noc, w świętą noc, Pan Bóg stracił swoją moc*. Nagle, a zasadniczo spada na nieprzygotowanych wyrost historii. *Ważną rolę pojęcia — powstaje niebezpieczna próżnia psychospołeczna*. Jej podciśnienie, szac jak pompa, sprawia, że se wszystkich zakamarków narodowej pamięci wypływają gotowe rozwiązania ożywione mocą społecznej bezradności schematy historyczne. To one kierują zachowaniem, one przesadzają o typie społecznego reakcji na kataklizm — ale rzadko sprzyjają przyszłości.

Jedeli pokolenie wojenne było nieprzygotowane jak wszyscy na przyjęcie ciężaru agresji i okupacji (wszystko czego nas nauczono — nieprzydatne), to co sprawiło, że władnie dwudziestolatkowie uchronili się w tym decydującym o przyszłości narodu momencie od wyboru schematów najłatwiejszych, najbardziej fabularnych i... najbardziej w klęce narodowi potrzebnych? Szczepański wystrzegł się mitologizowania, choć odkrył pragmatykę ich inności, nie tylko po to, by być wernym przestrogom Wyki z "Życia na ulicy".

Pokolenie wojenne roło w atmosferze inności, z którą kultura polska nie bardzo potrafiła sobie dać radę. *Byliśmy pierwszym, normalnym, zdrowym psychicznie pokoleniem Polaków od paru stuleci (...)*. *Władziciela lat bez garbu owej wyjątkowości narodowego losu, bez piętka przeszkliwa i świętości, w przekonaniu, że już za nami cała ta atmosfera pokuty, anielstwa, dlabelstwa, infantylizmu i wianości, które z historii naszej uczyniły rodzaj misterjum — patetycznego i nieco historycznego zarzemu*. *Chcieliśmy sromieć świat, nasze w nim losy w kategoriach racjonalnej konieczności, nie chcieliśmy już więcej uczestniczyć w tajemniczym dramacie*. *To manifestacja woli wyrwania się z polskiego szacianka czy getta*. *Otoczonego murem nieufności i obawy od Wschodu (przedmurze), otwartego na Zachód, akąd wygłądano prawdy i pocieszenia*. *Było to getto pełne konfliktów, co próbowano przeslonk hasłem o jedności narodowej w obliczu zagrożenia, wspólnym dziełstwem, sadaniu kulturowym itp*. *Była w tym pokoleniu wielka nieufność polityczna, alechę do deklaracyjnych programów, do hasel, do gadaniny i politykierstwa*. *Kiedyś sprawy były proste*. *Wystarczyło hasła "Bóg i ojczyzna" albo "Za wolność i lud"*. *Hasła widniały na wzniesionych tajnych gazetkach, w programach polityków, ale my nie wypowiadaliśmy się nigdy*. *Jednak powinności były jasno określone: walka o suwerenność człowieka, wydobycie go z niewoli paktów, jakie nas po nas — szalenie od okoliczności — zawiera z samym sobą i se światem*. *Władzimy, czemu służą pakti*. *Stawiamy posorny sens naszego istnienia*. *Są rodzą-*

Jeżeli scenicznych kulb, pasornych horyzontów, zasłaniających te prawdziwe (...) nigdy nie potrafił uwiaryć do końca w jedyną prawdomość naszych fikcji.

To nie ekłanie okupacji wymusiło cudownym zbiegem okoliczności właśnie na nich taką reakcję, którą potrafiła ocałić i przenieść przez fatalizm historii tożsamość narodu, jego zdolność do racjonalizowania doświadczeń, jego wierność wobec praw, które wywodził ze swej kultury i które porządkują życie jego społeczeństwa, a których poważnością jest zagrożona. To nie historia ich wybrała, to nie objawienie pomogło im w wyborze. Raczej

wszystko to, co było nieświadomione w ich wroście kultury, w czasie rezygnacji i snulacenia znalazło nikłą szansę wstania. Nie byli nieprzygotowani — nie wiedzieli, że są gotowi. To cała przepaść różnicy.

Wechodili w okupację z przesłoniętym wrokiem, ale nie jak ślepy, bo nie posiadali, nie wydobyli jeszcze z siebie jaśniejszej świadomości sytuacji zakorzenienia w kulturze i jej równoczesnego przekształcenia, zgodnie z sakrytym prae ich obojgiem projektem. Potrafili to odkryć wysiłkiem wyobraźni. Prześlanki przemiany kultury acalił już w sobie. Był już w służbie Wielkiego Armatora, samim zdali sobie sprawę z własnego zadania. By dostatec wąskie burty żaglowca i sfalowany ocean globu, by zaprzeć się na flagę na ruś, której honoru strzelić się wierna służba — uczciwym wypełnieniem wszystkich punktów umowy — potrzebowali zagrożenia i bezlitościwej prostoty wyboru wojennego. Ujawnia ich tożsamość, tak potrzebną polskiej duszy kulturalnej, sytuacja conradowska. Ale właśnie zakorzenienie w specjalnych pokładach kultury, zapominanych albo nie odkrytych, pozwoliło nieomylnie wybierać drogę. Między świadomością nieodgadzonego sensu istnienia i determinacją stawiania sobie tego sensu na własną odpowiedzialność.

Sytuacja graniczna — osuwała granicę własnej kultury — była osłabiona, wręcz, decydującą fazą zmagała się z romantyzmem jako formacją kulturalną. Jeżeli według formuły Stanisława Brzozowskiego romantyzm był (nieprzeswycięszonym) buntem kwiatu przeciwko swoim korzeniom (stan świadomości i kultury romantycznej polegał na tym, by zaprzeczyć wartości tym atrybutom formom dostatkowości, mocą których istnieje społeczeństwo utrzymujące samą tę świadomość), to pokolenie wojenne doświadczyło uprawy ogrodnika historii. Niezmieszane i utajone, gdzieś tam w zakamienionych kątach wchodzące kleki, przesadzane potężną ręką — czy w tym procesie tryła się bezużyteczność moralna historii — albo potrafiła się zakorzenić, albo smarowała, a razem z nimi apustozowanie pola uprawy.

Ich doświadczenie — można je nazwać potrzebą metafizyki — nie ma nic wspólnego z cewojoną religijnością, z narzędnem samozadowolenia. Religia była jedną z tych rzeczy, które okazały się w ich edukacji kulturalnej nieprzydatne. Nie dlatego, że wywodzący się z niej scapół usadawiać dla ludzkiego działania był zbyt słaby, zbyt powierzchowny wobec grozy i kradawości codziennych sporów (potrzebowaliśmy natychmiastowych usadawień dla imperatywnego, nie podlegającego dyktacji TAK TRZEBA — jedynego objaśnienia oświecającego nasze ryzykowne drogi). Podstawową przyczyną odnunięcia automatyzmów religii ale była też przeciwność między astywnymi regułami jej moralności a przymusem działań sprzecznych często z dekalogiem, chociaż podejmowanych w obronie tego samego dekalogu. Nieprzydatność religii ale wynikała z historii, jeżeli rozumieć przez nią wyłącznie zewnętrzny nacisk wywierony na jednostkę przez zmagające się siły społeczne, oddziaływałe makrostruk-

tur, narastanie procesów nie kontrolowanych do końca nawet przy pomocy najogólniejszych kategorii. Doświadczenie historii, eschatologia codzienności nie były głównym motywem odrzucenia gotowej pociechy Objawienia. Historia odlatiała to, co żyło w słonce kultury już od dawna, dla czego historia była uzasadnieniem, ale nie poprzez dramatyzm wielkiej przemiany, wojen i rewolucji — ciągle odczuwanych przez jednostkę jako coś zewnętrznego. Coś zewnętrznego, coś, co nie posiada organicznej więzi z jednostkowym istnieniem, które dla każdego, kto choć na

chwilkę potrafił wydostać się z pulspki jednostkowego szczęścia i redukcji świata do problemów własnej psychiki, a nie pochłania go równocześnie wir wielkiej historii, polityki, doświadczenia społecznego (będącego w locie pulspki egoizmu w wielokrotności skali), polegać będzie na przewycięzanej samotności. Samotności wobec drugiego, najbliższego nowego człowieka, w najdoskonalszym, to znaczy najdoskonalej pomyślanym urzędzeniu życia społecznego i w obliczu Armatora, dalekiej potęgi wyznaczającej kursy statkom po oceanach globu, wyposażonej w moc nagradzania i karania, króć obowiązków i przedmiot lojalności.

W świecie wielkiej historii, w świecie agrecji, gdzie każdy walczy przeciw każdemu, a Bóg — swoja obojętnością — przeciw wszystkim, w świecie, w którym problematykę przebudowy świadomości społecznej daje nie spraważać do mechaniki przemocy, a sila — pozostałe ostatnim i decydującym argumentem wysyła i panowała, w świecie, któremu każdorazowo trzeba stawić czoła, by ocałić kruchy sens własnego w alim istnienia — w tym świecie problematyka przewycięzania samotności nie licyła się, nie dawała się sumować w ładną domayn, grupowy interes, ale zyskiwała społeczną intersubiektywność. Samotność, będąc doświadczeniem rozproszonym, niepoważnym, dzikującym na społeczeństwo na tyle mało skutecznie, by wykluczyć możliwość jej wykorzystania w grze politycznej czy manipulacji masami, ale podlegała wpływom wielkiej historii. Historia rozrywała tylko zasłone. Dramat samotnienia jednostek stawał się świadomością świata, groza swyeczajnego dnia smutała do swyeczajnego osu na osobę ludzką przedstawiało to być wykretem, egoizmem czy nieleką w świat dla wszystkich, byle dalej od siebie.

Historia była usadawieniem potrzeby metafizycznej tylko w tym sensie, który pozwalał ją widzieć jako całość zbiorowego doświadczenia ludzkiego, w którym aswarławiało się przetywanie tajemnicy ludzkiej wędrowki w przyszłość bez jaśniejszej świadomości celu, bez żadnej gwarancji wyboru drogi, bez wiary w osłabnięcie właściwego kursu. Forma istnienia historii, którą uwewnętrzniali, była kultura, trwająca i przekształcająca się jednocześnie, zgodnie z prawem samorozwoju. Naród dwudziestolatków poddawał się jej tym usłaj, im trudniejsze było odrzucanie dyktatu historii okrutnej, historii sily, instynktu i przemocy. Nie asznając przemocy jako rozstrzygnięcia i placąc cenę za takie rozumienie historyczności, pokolenie wojenne nie ulegało duchowej wojny i wielkiej historii. Duchem kraju — tak Szezepański rozumie Conrada — był duch cywilizacji. Kultura była tą formą historyczności, która kryła w sobie możliwość samoprzekształcenia. Historia mogła przetrwać życie narodu, mogła go łamać i naginać według własnego planu, mogła wrzescać ten naród zniszczyć, niwecząc jego kulturę. Ale nie mogła przeczekać o życiu narodu, nie mogła nauczyć go żyć na nowo. Dopiero sily kultury odczynały historyj sens przemiany. Nie musiał oszacować podporządkowania się historii. Ta padająca była potrzeba metafizyki. Okieciłany

asosumień świat i nasze w alim losy. Okiecił tym bardziej, im dłużej sfera ludu świata pozostawała nieodstępną lech poznania.

Szezepański relacjonuje skoro sfera ludu absolutnego porastała nieodstępna asensuemu poznaniu maszyny przyznajmającej okasać się godał tego ludu, który pas ukazał, którego dalszktwo z dntną asznajemy sa własne i którego prawom wiani jest dntny włerność. Co to był za porządek, który powstawał na ruinie filozofii, który nie pozostawał — już nie pozostawał — odnajdywał

sensu istnienia w prawdzie objawionej, pierwszej i bezpośrednio poznawanej? Mogł mieć wiele imion, w tradycji conradowskiej była to alegoria Wielkiego Armatora, jeden z tych wysiłków wyobraźni, jakie podejmują ludzie zbyt świadomi własnych ograniczeń, a może naszyli wobec siebie ucstwi, aby asnać Objawienie. Ludzie malej wiary, ale wielkiej tęsknoty. Ich nieosłabiany Bóg manifestuje się hipotesami cywilizacji, kosm. tub. obowłaska. Jest równie aurowy jak Najwyższy Sędzia, jak biblijny Pan Zastępów. Jest bestrzeglądzie wyznający. Brak mu tylko miłości.

Na czym polegała, czym była usadawiona negacja starego porządku wyjednania świata? Dlaczego obumierała stara metafizyka, rodząc potrzeby metafizyki nowej, dla ludzi malej wiary i wielkiej tęsknoty?

Historia Kościola ukazała się nam jako sprawa ludzka — w całej swej ludzkiej będy. Szezepański poszukuje wymiara postawy metafizycznej, który nie podlega redukcji, która sytuuje wyaltek odnowienia prawa poza granicami Kościola. Szko o rozrywaniu więzi kościelnej, więzi niemalnego autorytetu, obarczonego odpowiedzialnością za praktykę społeczną, rezerwującego sobie prawo do aszkralizowanych rozstrzygnięć w tej najbardziej intymnej i osobistej sferze ludzkich doznań. Niewiera w instytucje wiary — to był punkt wyjścia.

Niepewność filozoficzna była konsekwencją przyjęcia pokantowskich reguł filozoficznych. Krytyka ludzkiego poznania dostarczyła w każdym ludzkim ustaleniu tyle samo prawdy o poznawającym świecie, co o poznającym człowieku. Przyjęcie — bezwzględnie — pełną świadomością — kategorie poznawczej skłaniają przedmiot poznawany na pełną niezależność od podmiotu poznającego. Powatający obraz jest rezultatem usgodnienia typu kategorii i eschami przedmiotu, dostrzegającym przy asztokowaniu tych kategorii. "Prawda o świecie" w sposób nieodwołalny nalywa filozoficznego cudzokowu umowność. Ten proces "uhistorycyzowania" prawdy (to znaczy usadawienia jej od historycznego smiennej jakości naszych kategorii poznawczych) jest usasny poważnie nie za asadawienie filozoficzny przedmiot — ale tylko epistemologiczny. Ale czy naszywało zmienilo się coś historycznego w naszej sytuacji — nas poszukujących prawdy o świecie? Czy świadomości, że waszka wiedza, wiara, przekonanie, episteme mają charakter pozycyjny, są relatywizowane przez smienne doświadczenie historii i strajającej jej przebieg i sens kultury, smienka cokolwiek w nowej tekaście za prawdą? Czy teoria niebezporedkacji poznania sności problematyki filozoficznej, metafizycznej i wielkie pytania egzystencjalne? W końcu nie ldsie przecież o umowną cyfrowość i poprawność logiczną światopoglądu — w życiu nie obowiązuje usywa reguły semantycznej dysputy. ldsie o postawę, o wole ogarnięcia własną świadomością i własnym doświadczeniem lęków i wątpliwości.

Jak można zrekonstruować to stanowisko filozoficzne, które stawia wagę problematyki metafizycznej?

Punkt wyjścia był wiernym powtórzeniem sytuacji conradowskiej, obowiązuwały przynajmniej każdej refleksji egzystencjalnej: kruche istnienie człowieka wobec bez-

